

# A to My

ABSOLWENCI LAT 1956 i 1957  
WYDZIAŁU BUDOWY MASZYN  
POLITECHNIKI SZCZECIŃSKIEJ  
W SZCZECINIE

MATERIAŁY ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ

*Mieczysław Walków*

Wydanie drugie uzupełnione i poszerzone  
dla strony Internetowej w 2020 roku

Motto:

*„Szczęśliwe kraje! Gdzie pokoleń praca  
Nie idzie w niwecz wśród gromów i burzy,  
Lecz gdzie czyn wszelki Ojczyznę wzbogaca  
I gdzie myśl każda Jej tryumfom służy.”*

*Adam Asnyk*

*Szczecin 2000 r.*



*Moi Drodzy! Dobrze, że już koniec pisania! I jest „to dzieło” wydrukowane. Wiele razy powtarzałem sobie „rzuć wreszcie to pisanie i nie zawracaj sobie głowy, jeżeli masz błagać kolegów o materiały. Nic z tego. Powracałem do zbioru, który mimo woli stale się powiększał, bo albo przypominały mi się nowe „momenty” albo któryś z kolegów mi je przypominał. Dziękuję Im za to. Dziękuję Julkowi Kacprzakowi, Jasiowi Czajce, Staszce Jardziochowi, Heniowi Krenke, Krysi Soleckiej, Romanom: Nowosadowi i Niemczykowi, Bogdanowi Chmieleckiemu. Dziękuję za cenne zdjęcia Tadeuszowi Krawczukowi. I za materiały oraz zdjęcia Januszowi Skibińskiemu, Zdzisławowi Zaleskiemu, Aleksemu Mikołajczykowi.*

*Myszę: Nie! Jestem przekonany, że po przeczytaniu tego, co zostało napisane, wielu przypomni sobie swoje przeżycia i zechce podzielić się nimi. Tych zachęcam, by usiedli i napisali nie tylko swój życiorys, swoje opowiadanie o sobie, ale także o innych z lat studenckich i lat późniejszych. Tych, co już napisali też zachęcam do uzupełnień. O ile zdrowie dopisze, a moje koleżanki i moi koledzy szybko napiszą to przewiduję drugie wydanie – poprawione, uzupełnione i poszerzone.*

*Szczerze dziękuję żonom zmarłych naszych kolegów, Paniom: Wandzie Desz, Grażynie Głębockiej, Annie Skrobisz, Alinie Turek, Romanie Wianeckiej, Danucie Wróbel i Henryce Zawidzkiej za materiały z życia swoich mężów.*

*Żałuję, że nie wszyscy dotrzymali kroku. Wątpiących przepraszam za mój upór w zbieraniu materiałów, przez co Ich nękałem, a wierzącym we mnie serdecznie dziękuję za wspieranie. Dziękuję Alince – mojej żonie, która mnie stale popierała w dążeniu do napisania tych wspomnień i była pierwszym cenzorem: tekstu, stylu..., Jej zawdzięczam także pomysł na okładkę.*

*Wasz kolega – Mieczysław Walków, Szczecin 2000*

## List Profesora Wiesława Olszaka

Wiesław Olszak

Szanowny Pan  
mgr inż. Henryk KRENKE  
w Kutnie

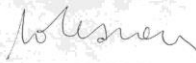
Drogi Panie Inżynierze !

Wiele listów, telegramów i telefaksów otrzymałem z okazji zaszczytu jaki mnie ostatnio spotkał, ale gratulacje i życzenia przesłane przez Pana w imieniu absolwentów z 1956 roku sprawiły mi szczególną radość, przyjemność i satysfakcję.

Waszą bowiem grupę wspominam wyjątkowo miło. Często mówię znacznie młodszym od Was studentom, że z rocznikami studentów i absolwentów jest podobnie jak z rocznikami win; są różne, od bardzo dobrych do bardzo złych. Rocznik, który Pan reprezentuje należy do najlepszych, z jakimi miałem okazję pracować. Mam żywo w pamięci Waszą młodość, chęć do nauki, rzetelność, radość życia i poczucie obowiązku społecznego - aby wymienić cechy najbardziej charakterystyczne.

Nie jest zatem przypadkiem, że z Waszego rocznika wywodzi się nieprzeciętnie dużo osób, które odgrywały i odgrywają nieprzeciętne role w gospodarce, oświacie, nauce. Ze tacy ludzie pamiętają starego nauczyciela - to wielka satysfakcja. Bardzo za to dziękuję.

Łączę serdeczne pozdrowienia  
i życzenia wszystkiego co najlepsze



Szczecin, 2 listopada 1996 roku

## **Nasi wykładowcy i prowadzący ćwiczenia asystenci**

Antoni Bućkiewicz (mgr inż.) – rysunek techniczny

Bolesław Briks (mgr inż.) – technologia budowy maszyn,  
normowanie techniczne, technologia  
budowy obrabiarek

Władysław Borkowski (mgr inż.) – rysunek techniczny, silniki  
spalinowe

Bogdan Dopierała (mgr) – podstawy ML (II sem.)

M. Bohaterewcz (mgr inż.) –

Tadeusz Domański (mgr inż.) – części maszyn

Leon Darmochwał (mgr inż.) – obróbka skrawaniem metali,  
narzędzia

Stanisław Degórski (inż.) – rysunek techniczny

Edward Dobrzycki (mgr) – ekonomia polityczna

Mieczysław Franaszek (mgr inż.) – elektrotechnika obrabiarek

Mieczysław Gordon – podstawy ML (I sem.)

Bronisław Jurkowski (mjr LWP) – studium wojskowe

Jan Jabłoński (mgr) – podstawy ML (IV sem.)

Stefan Kula (mgr) – matematyka

Konstanty Lisowski (dr inż.) – mechanika płynów

Zbigniew Lutosławski (mgr inż.) – ekonomia, organizacja w  
przemysle i planowanie

Konstanty Miściuk (mgr inż.) – chemia, technologia metali

Aleksandra (Olga) Michalska (mgr) – język rosyjski

Władysław Marzyski ( mgr inż.) – pomiary warsztatowe,  
obrabiarki do metali i  
hydraulika obrabiarek

Józef Meder (prof. dr hab.) –matematyka

Zbyszko Mikołajski – podstawy ML (III sem.)

Ryszard Makarewicz (mgr inż.) – teoria mechanizmów

Wiktor Nowak (mgr) – fizyka

Wiesław Olszak (prof. dr inż. dr h.c.) – miernictwo  
warsztatowe, analiza wymiarów

Wiesław Oświęcimski (mgr inż.) – elektrotechnika ogólna

Stanisław Prowans (prof. zw. mgr inż.) – metaloznawstwo,  
technologia przeróbki plastycznej

Jerzy Parczewski (mgr inż.) – rysunek techniczny

Józef Rabiej (mgr inż.) – laboratorium elektryczne

Włodzimierz Radyski (mgr) – geometria wykreślna

Roman Sawa (mgr inż.) – teoria maszyn cieplnych

Steś (ppłk WP) – studium wojskowe

Stanisław Smotrycki (mgr inż.) – dźwigi i przenośniki

Józef Tatar (mgr inż.) – pompy i turbiny wodne

Roman Tyjewski – wychowanie fizyczne

Kamil Wendeker ( mgr inż.) – mechanika teoretyczna,  
wytrzymałość materiałów

Władysław Winkler (mgr inż.) – kotły, silniki parowe,  
gospodarka ciepła

Edward Wysocki (mgr inż.) – urządzenia elektryczne siłowni  
cieplnych

Stefan Żabicki (mgr inż.) – Bezpieczeństwo i Higiena Pracy



**Eugeniusz Bielakowski.** Ur. 21.01.  
1927 r. w Grudziądzu.  
Żona Lena - lekarz ginekolog.  
Córki: Hanna - radiolog;  
Dorota

Dyplom inż. mechanika otrzymał w Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Budowy Maszyn w 1956 r.

Po ukończeniu studiów z nakazem pracy został zatrudniony w fabryce maszyn budowlanych FAMABUD, gdzie kierował działem serwisu zakładowego. Przez długi czas był na placówce gwarancyjnej w Chinach. W 1965 r. (26.01.) został powołany na stanowisko dyrektora Zakładu Urządzeń Grzejnych „SELFA”. W SELFIE pracował do 14. 11. 1967 roku.

Później, jako zastępca dyr. d/s środków produkcji pracował w SPISIE (Szczecińskie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnej i Energetycznej). Tam pracował do 1970 roku. Kilka miesięcy przed „wypadkami grudniowymi” został zatrudniony w SFM POLMO na stanowisku specjalisty do spraw produkcji. Brał czynny udział w strajku w grudniu 1970. Dyrektor Prugar, jako szef strajku, powierzył mu funkcję dowódcy straży strajkowej, która miała zadanie - ochronę fabryki.

Chyba w roku 1971, inż. Jan Adrian (kolega ze studiów), ówczesny dyrektor naczelny Zjednoczenia Budownictwa - Wschód w Lublinie zaproponował mu pracę na stanowisku swego zastępcy. Eugeniusz pracował tam aż do śmierci. Umarł po ataku paraliżu.

Pochowany jest na CC w Szczecinie.





### **Andrzej Briks.**

Ur. 1935.01.03 r. w Lublinie.

Rodzice Maria i Bolesław byli nauczycielami.

Żona Lutomira (Kasia), lekarz stomatolog

Wnuki: Andrzej, Antoni, Barbara, Olga, Jan, Mateusz, Szczepan, Wojciech, Stanisław, Mieszko

W sierpniu 1946 przyjechał z rodzicami do Szczecina i tutaj, wyrósł, wykształcił się i związał się na wiele lat z ZHP.

W 1952 ukończył II państwowe gimnazjum i liceum męskie z dyplomem przodownika nauki i pracy społecznej i rozpoczął studia w ówczesnej Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn.

Studia kończył w czerwcu 1957 roku. Otrzymał dyplom magistra inżyniera mechanika ze specjalizacją technologia budowy maszyn.

25 maja 1963 roku ożenił się z Lutomirą Konopacką, lekarzem stomatologiem. Mają czworo dzieci: DOROTA ur. 1965 r. magister resocjalizacji, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego; Piotr - ur. 1966 r. - kapłan katolicki wyższe seminarium duchowne, Jerzy - ur. 1967 r. mgr inż. architekt, Grażyna - ur. 1974 r. - technik fizjoterapii (obecnie 4-ty rok Uniw. Poznańskiego, Wydz. Wych. Fizycznego).

Po dwumiesięcznej praktyce dyplomowej w Żelaznej Jasenicy (Jugosławia), 15 października rozpoczął pracę w szczecińskiej fabryce motocykli JUNAK na stanowisku technologa. Od 1-go października 1959 r. równoległe z pracą w SFM podjął pracę w katedrze technologii i budowy maszyn Politechniki

Szczecińskiej (na 1/2 etatu), a od 1960 pracował na całym etacie na stanowisku asystenta. Do 1970 roku pracował już, jako starszy asystent, a później wykładowca rysunku technicznego. W tym czasie dwukrotnie podejmował próbę obrony pracy doktorskiej.

Pierwszego września w 1970 r. został zatrudniony przez WSM (wyższą szkołę morską) na stanowisku starszego wykładowcy na wydziale mechanicznym gdzie wykładał geometrię wykreślną i rysunek techniczny. Równocześnie pełnił szereg funkcji - opiekun roku, rzecznik dyscyplinarny, członek komisji postępu w dydaktyce, członek senatu WSM.

W roku 1972 kończył roczny kurs „niezawodności maszyn, urządzeń i systemów”. Brał udział w pracach badawczych na rzecz gospodarki morskiej i jest współautorem kilku opracowań dotyczących niezawodności systemów okrętowych.

W ramach praktyk morskich w latach 1972 - 76 wraz z młodzieżą akademicką WSM odbył kilka rejsów, a przez to, zwiedził Murmańsk, Amsterdam, Londyn, Marsylię i Galvestone.

Od 1957 był instruktorem ZHP i przez osiem lat prowadził 3-cią szczecińską drużynę harcerzy hufca Szczecin Pogodno i pełnił szereg funkcji w hufcu. Z harcerstwem związany był długie lata. Za wieloletnią pracę społeczną, dydaktyczną i badawczą otrzymał szereg nagród, wyróżnień i odznaczeń: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny i Złoty Krzyże Zasługi, Złoty Krzyż „Za zasługi dla ZHP”, „Zasłużony instruktor Chorągwi Zachodniopomorskiej”, Medal Komisji Edukacji Narodowej. Ośmiokrotnie otrzymał nagrodę rektora WSM w Szczecinie.

1-go listopada 1992 r. przeszedł na emeryturę i cały czas pracował społecznie.

Andrzej zmarł 22 listopada 2020; jest pochowany na Cmentarzu Centralnym.



### **Bogdan Chmielecki.**

Ur. 4.06.1930 r. w Toruniu

Żona Alina - długoletni pracownik banku BGŻ obecnie na emeryturze.

Córka Bożena - absolwentka inżynierii materiałowej Wydziału Mechanicznego P.S. zatrudniona w Fabryce Urządzeń Budowlanych Bumar - Hydroma.

Wnuków dwóch: Mariusz i Adrian.

W latach 44-45 pracuje jako uczeń na lotniskach w Toruniu i Finsterwalde w Niemczech. Od 1946 do 1948 pracuje w charakterze pomocnika magazyniera i pomocnika biurowego w Toruniu, w Spółdzielni Kolejowej, w Państwowym Kierownictwie Odbudowy Mostu Drogowego, a następnie w firmie „Fundament”. W latach 1950-52 nadal pracuje w Toruniu w Zakładach Gazownictwa w charakterze starszego referenta dokumentacji technicznej. W tym czasie kończy wieczorową szkołę średnią i kurs kreśleń technicznych. Po zdaniu egzaminów wstępnych, od 1952 r. rozpoczyna studia na Wydziale Budowy Maszyn Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie. W 1956 r. otrzymuje dyplom inżyniera mechanika P.S. Na podstawie nakazu pracy obejmuje stanowisko Głównego Konstruktora w Spółdzielczych Zakładach Mechanicznych w Szczecinie, by w krótkim czasie awansować na Kierownika Technicznego. Po roku przenosi się do Zakładów Sprzętu Elektrogrzejnego SELFA, późniejszego PREDOM-SELFA, na stanowisko Gł. Konstruktora. W późniejszym okresie jest kierownikiem rozwojowego biura konstrukcyjnego, które zostaje przekształcone w zamiejscowy oddział grzejnictwa elektrycznego ośrodka ELGOS, działającego przy Zjednoczeniu Kabli i Sprzętu Elektrotechnicznego. Do zadań oddziału należy koordynacja przedsięwzięć w branży elektrogrzejnej. Oddział

ten kolejno podlega: od 1970 do 71 - „Kablosprzęt” w Ożarowie Mazowieckim; od 72 - 75 - OBR (ośrodkowi badawczo – rozwojowemu) ELGOS w Czechowicach; od 75 - 81 – „OBR - Predom” w Warszawie. Oddział nigdy nie zmieniał adresu. Po likwidacji oddziału wraca do zakładu „Predom-Selfa” najpierw na stanowisko kierownika działu maszyn specjalnych, a następnie na stanowisko głównego specjalisty d/s gospodarki narzędziowej.

W 1985 przechodzi do SI (spółdzielni inwalidów) „Jedność” i tam pracuje w charakterze głównego mechanika. W 1986 r. zostaje zatrudniony w technikum samochodowym w Szczecinie w charakterze kierownika działu przygotowania produkcji warsztatów szkolnych.

W 1976 ukończył studium organizacji badań dla kadry kierowniczej zaplecza naukowo-badawczego i rozwojowego.

W czasopismach technicznych i biuletynach branżowych opublikował 11 artykułów fachowych z zakresu grzejnictwa.

Z racji wykonywanej pracy był wielokrotnie za granicą.

Jest twórcą wdrożonego do produkcji wynalazku pt. „Masa ceramiczna do zaprasowywania elementów grzejnych” (patent nr 68589).

W 1990 r. przeszedł na wcześniejszą emeryturę, lecz pracy nie przerwał. Pracował nadal w niepełnym wymiarze godzin, wykorzystując znajomość języka niemieckiego. Wykonywał tłumaczenia dla różnych firm, w tym turystycznych.

Bardzo interesował się historią Szczecina i jego rozwojem.

Za całokształt pracy zawodowej otrzymał odznaczenia wyróżnienia: Srebrny Krzyż Zasługi (1964). Złotą Odznakę „Za zasługi dla rozwoju Przemysłu Maszynowego” (1980).

Zmarł po ciężkiej chorobie 14 maja 2002 roku w Szczecinie.

Jest pochowany na Cmentarzu Centralnym.

**- Baczość! Dzisiaj będziemy mówić o sławnych dowódcach WP – mówi młodziutki podporucznik politruk.**  
**– Powiedzcie studenci, kogo zaliczamy do najslawniejszych dowódców Wojska Polskiego – i wskazał na studenta.**  
**Ten się wyprężył i zaczął regulaminowo od swojego nazwiska ... A porucznik na to: – Wy student, to dopiero nosicie buławę w plecaku, a tym dowódcą jest marszałek Konstanty Rokossowski. Rozumiecie?**



**Jan Czajka.** Ur. 5.04.1932 r. w Ciechominie – woj. Siedleckie. Żona – Natalia (zmarła 2013) Dzieci: Syn Tomasz – Technikum Budowlane, obecnie handlowiec, Syn Jarosław – absolwent PS Wydział Budowy Maszyn, pracuje w Niemczech, Córka Dorota –absolwentka US Wydziału Filologii Polskiej oraz Pedagogiki Specjalnej Uniwersytetu

Northridge w Kalifornii.

Wnukowie: Paweł, Piotrek.

Studia ukończył w 1957 roku i uzyskał stopień mgr inż. mechanika. Otrzymał nakaz pracy w Zakładach Przemysłu Maszynowego Leśnictwa Szczecin-Kijewo. Jako zastępca głównego technologa kierował przygotowaniem produkcji i nadzorował produkcję różnych maszyn do prac leśnych, takich jak: roztrzaskacze, glebogryzarki, oprzyrządowanie do ciągnika URSUS pod nazwą „Dzik”.

Praca nie była jednak zbyt ciekawa. Inni koledzy pracowali w Stoczni, w SFM JUNAK ... i dlatego na początku lat 60-tych przeszedł do tworzonej fabryki fabryk, czyli do późniejszej fabryki kontenerów UNIKON w Płoni. Na początku fabryka ta wykonuje kompletne urządzenie służące do suchej destylacji drewna. Były to początki trudne, wymagające wiedzy z dziedziny technologii spawania zbiorników ze stali kwasoodpornej, tłoczenie dennic metodą ładunków wybuchowych w specjalnych studniach. (specjalistą od „wybuchów” był w tym czasie inż. Mieczysław Ustasiak, późniejszy senator RP). Była to praca ciekawa, mocno absorbująca. A dla młodego inżyniera doskonała, dalsza nauka. Pełniąc w tym czasie funkcję technologa i szefa produkcji

eksportowej i będąc dociekliwym inżynierem zapobiegł szeregu błędom konstrukcyjnym, które popełnione były przez BCHMOT w W-wie.

W „fabryce fabryk” pracował do 1964 r. W tym miejscu należy podkreślić, że Jan, wśród naszej gawiedzi, był najwcześniejszym biznesmenem nazywanym wówczas prywatną inicjatywą.

Od roku 1957 równoległe z pracą zawodową prowadził własny zakład (50 osób) produkcji prefabrykatów betonowych. Z jego wyrobami spotykaliśmy się niemalże w całej Polsce. A były to: śmietniki szczuro-szczelne, ustępy prefabrykowane, komórki gospodarcze, fontanny, kosze betonowe (np. Warszawa zamówiła ich 13 tys. sztuk), ławki parkowe, pustaki i słupy do ogrodzeń, garaże prefabrykowane i wiele innych wyrobów. W okresie rozwijającego się budownictwa firma Jana wspomaga przemysł materiałów budowlanych produkcją pustaków, bloczków betonowych itp. Na terenie Szczecina i województwa przez długie lata służyły wyroby Jana: ławki parkowe na Jasnych Błoniach, al. Jedności Narodowej, Teatrze Letnim, Międzyzdrojach i na całym wybrzeżu, na stadionie w Stargardzie Szcz. Na placu przy ul. Wawrzyniaka siadaliśmy na ławkę typu amerykańskiego produkowanej w zakładzie Jana. Na ławce typu retro siadziemy i dziś na Cmentarzu Centralnym przed kaplicą i przy pomniku Jana Pawła II na Jasnych Błoniach, oraz przed każdą z uczelni szczecińskich i w wielu innych miejscach (oczywiście sukcesywnie są wypierane przez bardziej nowoczesne, ale wyroby Jana służyły miastu wiele, wiele lat). Prywatny zakład utrzymał się nieprzerwanie od 1957 do 1998 r. i cały czas patronował mu Jan. Zmieniała się jedynie liczba zatrudnionych. W latach 90-tych pracowało jedynie 10 osób. Przez cały ten czas Jan pracował społecznie w samorządzie rzemiosła i prywatnych wytwórców. Od 1967 do 1971 był prezesem ogólnopolskiego zrzeszenia prywatnych wytwórców z siedzibą w Warszawie i jednocześnie

przewodniczącym rady wojewódzkiej ZPW w Szczecinie. Do roku 1972 r. był dwukrotnie przewodniczącym rady nadzorczej spółdzielni rzemieślniczej BUDOMETAL. Był również członkiem rady IR (izby rzemieślniczej).

Odnaczenia, które otrzymał to: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, dwukrotnie Gryf Pomorski i odznaki 25- i 30-lecia PRL. Przez wiele lat działał w Stronnictwie Demokratycznym. Na emeryturze jest od stycznia 1999 r. Zajmuje się domem, turystyką krajową i chętnie spędza wolne chwile nad jez. Klecko we własnym domku letniskowym. Uwielbia wspólne spędzanie czasu z córcią Dorotą i zięciem Witkiem, którzy odwiedzają Jana w Szczecinie.





**Błażej Daszyński.** Ur. 8.10.1931 roku w Poznaniu.

Żonaty. Dwoje dzieci, córka Agata ur. 1965 r. i syn Antoni ur. 1965 r.  
Wnuczka: Oleńka.

Absolwent P.S. Wydziału Budowy Maszyn. Jeden z Akademickiej Czwórki Wokalnej - piękny tenor. Ulubieniec koleżanek, nie tylko z Politechniki.

Jego życiorys najlepiej przedstawi list, jaki otrzymałem 30.11.96.

*„Ja, Błażej Daszyński urodziłem się w Poznaniu, przy ul. św. Wojciecha 5/1 - parter w prawo, dnia 08.10.1931 r. z ojca Władysława i matki Marii z domu M. Ile ważyłem nie pamiętam, dzisiaj ważę ok. 55 kg w porywach 60 kg., pamiętam natomiast, że owijano mnie w zwykłe pieluchy - co za ohyda - dzisiaj "co nieco" robiłbym w luksusowe pampersy. Potem ożeniłem się z Elżbietą, która za moją przyczyną urodziła Agatę rocznik 1963 i Antoniego rocznik 1965, a jeszcze potem ożeniłem się z Ewą, przy czym nie popełniłem bigamii.*

*Agata ukończyła romanistykę i mieszka w Warszawie samotnie, bo w miesiąc po urodzeniu synka Krzysia zmarł nagle jej mąż. Krzysz urodził się w roku 1992. - Antoni ukończył psychologię i mieszka wraz z żoną i córeczką Oleńką w Poznaniu. Oleńka urodziła się w roku 1990. Tyle oficjalna ankieta personalna.*

*Praca dyplomowa: Projekt i eksploatacja elektrociepłowni.*

*Po zdaniu egzaminu dyplomowego otrzymałem nakaz pracy do Stoczni Szczecińskiej, która się jeszcze nawet nie nazywała im. Adolfa Warskiego i 19.09.1959 roku rozpocząłem pracę w*

biurze projektowym głównego mechanika. Pierwsze moje zadanie polegało na dokonaniu inwentaryzacji i oceny możliwości naprawy wysadzonych przez opuszczających Szczecin Rosjan dwóch kutrów parowych zasilających niewielką siłownię. Samą siłownię wywieźli, kotłów nie oplacało się chyba demontować, więc je wysadzili w powietrze. Po tej „operacji” stały się bezużyteczne. U Gł. Mechanika, który przekształcił się wkrótce w Szefostwo Ruchu zajmowałem się następnie nadzorem eksploatacyjnym nad urządzeniami energetycznymi: kotłownie, stacja sprężarek, acetylenownia i wszelkiego rodzaju rurociągi. W grudniu 1958 roku zastąpiłem na stanowisku mistrza "urządzeń centralnych" /tak się nazywały urządzenia, nad którymi wcześniej pełniłem nadzór eksploatacyjny/ naszego nieżyjącego już kolegę Włodka Skorupę.

W roku 1961 po krótkiej, acz męskiej rozmowie z ówczesnym szefem ruchu stoczni, poprosiłem o przeniesienie służbowe do firmy „Energoparatura”, która montowała systemy przeciwpożarowe na budowanych w Stoczni jednostkach pływających. Pełniłem tam funkcję kierownika filii f-my, której dyrekcja znajdowała się w Katowicach. Po roku otrzymałem od nowego szefa ruchu stoczni (inż. Romana Kamińskiego- przypis MW) propozycję powrotu i objęcia stanowiska z-cy gł. Energetyka w Stoczni im. Warszawskiego.

W roku 1963 objąłem stanowisko głównego energetyka Stoczni. Praca była ciężka i niewdzięczna, chociaż dawała sporo satysfakcji. Ciężka, bo wymagała stałej gotowości do działania niezależnie od pory dnia i roku niewdzięczna, bo potencjał energetyczny był mniejszy od możliwości i ambicji produkcyjnych Stoczni; dająca satysfakcję, bo pracowałem w swoim zawodzie, jako „cieplarz”. Musiałem podolać nowym dla mnie zagadnieniom związanym z elektroenergetyką, i przy dużym wysiłku udawało się na ogół wiązać „energetyczny” koniec z końcem. Podejmując pracę, jako gł. energetyk otrzymałem od dyrektora Stoczni "cart blanc" w zakresie

koncepcji rozbudowy energetyki, tak by doprowadzić do pełnego zaspokojenia potrzeb produkcyjnych i stworzyć sytuację, w której potencjał energetyczny wyprzedzałby potrzeby i apetyty produkcji. Powstawały nowe stacje elektroenergetyczne, powstała nowoczesna acetylenownia, wytwórnia tlenu ciekłego, nowoczesne stacje sprężarek, nowe kotłownie, własne ujęcia i stacja pomp wody pitnej, przepompownie ścieków, nowoczesna jak na tamte czasy, centrala telefoniczna, kanały energetyczne, estakady, nowe rurociągi gazów technicznych itp. To wszystko oczywiście wymagało czasu i ciągłego wyklócania się z kolejnymi szefami inwestycji o realizację zaplanowanych przedsięwzięć. Uważam, że założony sobie cel osiągnąłem. Udało mi się stworzyć zespół współpracowników: inżynierów, techników i robotników prawdziwie oddanych sprawom energetycznym, na których w każdych okolicznościach mogłem liczyć i to w warunkach, gdy płace służb energetycznych znacznie odbiegały od płac w bezpośredniej produkcji. Sądzę, że częściowo udało mi się zmienić mentalność szerokiego kierownictwa Stoczni, dla którego produkcja była „fetyszem” i nic poza nią się nie liczyło. Oczywistym wyrazem tego było wywalczenie tzw. „niedziel energetycznych” /raz w miesiącu/, w których zakład był dla produkcji „wylączony” i można było wykonywać niezbędne naprawy urządzeń energetycznych oraz sieci centralnych rurowych i kablowych. - Na stanowisku gł. energetyka Stoczni pracowałem prawie 30 lat. W roku 1991 objąłem stanowisko szefa ruchu Stoczni. Ilość podległych pracowników wzrosła ze 180 do 540. Wzrosła również ilość i ciężar gatunkowy problemów. W lipcu 1993 zostałem zastąpiony przez młodszego kolegę i przeniesiony do Biura Rozwoju Stoczni z zadaniem przygotowania i wybudowania dla Stoczni nowoczesnej cynkowni.

Cynkownia miała działać pod szyldem "Porta Eko Cynk" Spółka z o.o. Dlatego powołano mnie do jednoosobowego zarządu spółki w charakterze prezesa. Z przyczyn zmiany przez

*Stocznę lokalizacji cynkowni i z powodu przewlekłego załatwiania przez urzędy administracyjne formalności związanych z pozwoleniem na budowę, roboty fizycznie nie zostały rozpoczęte. Z tych powodów tego zadania już nie zrealizuję.*

*Szkoda - dojrzałem do pójścia na emeryturę. Kalendarz powiedział mi, że w październiku 1996 roku ukończyłem 65 lat.*

*To wszystko, czym mogę "pochwalić się" w moim życiu zawodowym. Aha - była również działalność racjonalizatorska. Popelnilem kilkadziesiąt projektów wynalazczych, z których zdecydowana większość doczekała się realizacji i przyniosła znaczące efekty ekonomiczne. Jestem również posiadaczem (wspólnie z innym kolegą) jednego patentu, który jednak nie został zastosowany na szerszą skalę. Były również odznaczenia - za działalność zawodową: Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyże Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, odznaczenia za działalność w Związku Zawodowym Metalowców, odznaczenia za działalność na rzecz Obronności Kraju.*

*Czy to są to „dokonania”, którymi mógłbym się przechwalać? Z pewnością nie. Uważam jednak, że dobrze wypełniłem zadania, które z racji zajmowanych stanowisk stawiano przede mną. Taki miałem charakter pracy i na to wyraziłem zgodę decydując się na pracę w „ruchu Stoczni”.*

*W miarę posiadanego wolnego czasu pracowałem społecznie. Działalem w Związku Zawodowym Metalowców, jako członek Prezydium Związku w Stoczni, byłem także członkiem Plenum Zarządu Okręgu ZZM w Szczecinie, byłem przez wiele lat*

*Przewodniczącym Komisji Wynalazczości w Stoczni. Oczywiście byłem również członkiem PZPR - nie dla kariery, bo gł. energetykiem zostałem przed wstąpieniem do partii, ale bez należenia do niej długo bym nim nie był.*

*Sadzę, że przynależność do partii przy dość wysokim stanowisku zawodowym zajmowanym w Stoczni i zaufaniu, jakim cieszyłem się u moich przełożonych pozwoliła mi w wielu przypadkach pomóc innym w nierównej walce z kacykami partyjnymi, których przecież nie brakowało.*

*Moje hobby, czyli konik? Mamy działkę, na której z żoną pracujemy i wypoczywamy. Lubimy muzykę poważną, a więc koncerty symfoniczne. Lubimy czynnie spędzać urlopy: zimą na nartach w Tatrach, Karkonoszach, lub Beskidach. Jesienią też bywamy w górach. Czasem bywamy w Dziwnówku gdzie stale mam wiele do zrobienia. Z uwagi na stale rozbudowujący się ośrodek wypoczynkowy dla załogi Stoczni.”*

Błażej zmarł 29.07.2014. Jest pochowany jest na cmentarzu w Poznaniu.



**Ewald Desz.** Ur. 27.08.1931 roku  
w Czechowicach pow. Pruszków.  
Żona: Wanda - ekonomista.  
Synowie: Andrzej, z dyplomem  
Wydziału Budownictwa i  
Architektury Politechniki  
Szczecińskiej i  
Marek – z dyplomem Wydziału  
Inżynierii - Ekonomiki Transportu  
P.S.  
Wnuki: Joanna, Dariusz, Sebastian.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. ukończył w 1956 r. i otrzymał dyplom inżyniera mechanika.

Pracę zawodową rozpoczął w 1958 r. w Szczecińskiej Fabryce Motocykli „Junak” na stanowisku technologa. Od samego początku brał czynny udział w uruchamianiu serii przemysłowej motocykla „Junak M10” i trójkołowca B-20 oraz przyczepy bocznej do motocykla. W FMS „Junak” pracował do 1962r.

Od 1963 do 1967 r. pełnił funkcję zastępcy kierownika WZPPPT (Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Państwowych Przemysłu Terenowego)

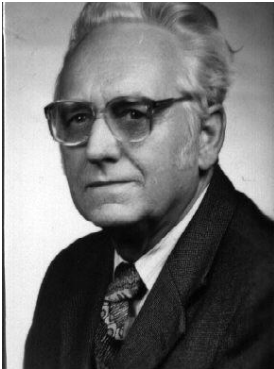
W drodze awansu został przeniesiony w 1968 do Szczecińskich Zakładów Metalowych Przemysłu Terenowego na stanowisko z-cy dyrektora d/s technicznych. W tym czasie zakłady te uruchamiały szereg nowych wyrobów, takich jak wózki do niskiego unoszenia, wózki magazynowe, wózki do supersamów i inne. W 1972 roku, jako główny technolog rozwijał technologię produkcji elementów grzejnych w fabryce sprzętu elektrotechnicznego SELFA w Szczecinie. W pogoni za coraz to nowymi problemami zawodowymi w 1974 r. objął stanowisko głównego specjalisty d/s inwestycji i kierownika stacji obsługi w PP „Polmożbyt” w Szczecinie. Pracował tam do 1983 r. Od

1984 do 1990 r. kierował stacją obsługi „Kołbaskowo” wojewódzkiej spółdzielni usług motoryzacyjnych.

Od chwili podjęcia pracy w szczecińskiej fabryce motocykli JUNAK był zaangażowany w pracy społecznej w Polskim Związku Motorowym. Był wielokrotnym prezesem Klubu Motorowego w Szczecinie, współorganizatorem wszystkich imprez motocrossowych, a także brał czynny udział w tworzeniu jednego z ciekawszych torów motocrossowych w Szczecinie przy al. Wojska Polskiego. Ponadto był przewodniczącym Okręgowej Komisji Sportowej, międzynarodowym sędzią w zawodach motocrossowych. Za działalność zawodową i społeczną odznaczony został Srebrną i Złotą Odznaką Honorową PZMot, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką - „Gryf Pomorski”, Srebrną Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej i PZMot.

Od stycznia 1991 r. był na rencie inwalidzkiej. Zmarł 17.04.1991 roku. Pochowany został na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

**Waldek twierdził, że ojczyzną dorsza jest „Dorsche Demokratische Republik”.**



### **Marian Fudel.**

Ur. 12.04.1932r. w Nowym Sączu.

Żona Halina. Dwoje dzieci: syn  
Dariusz ur. w 1966 r. – Policealne  
Studium Obsługi Ruchu  
Turystycznego; córka Magdalena

Studia na Wydziale Budowy  
Maszyn P.S. ukończył w 1956.

Od września 1956 do lipca 1957  
pracował w Rafinerii Nafty w Jaśle w charakterze starszego  
inżyniera energetyka, a od sierpnia 1957 r. w Miejskim  
Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Nowym Sączu na  
stanowisku głównego mechanika.

W latach 1960-1961 w Miastoprojekcie - Kraków projektował  
instalacje wodno-kanalizacyjne i centralnego ogrzewania. W  
1961 r. przeszedł do Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych  
by pełnić funkcję inspektora nadzoru instalacji wodno-  
kanalizacyjnej i centralnego ogrzewania.

W 1965 r. pracował w Sądeckich Zakładach Eksploatacji  
Kruszyw, jako naczelný inżynier, czyli z-ca dyr. d/s  
technicznych.

W 1979 został przeniesiony służbowo do Zakładu Robót  
Inżynieryjnych w Nowym Sączu, gdzie powierzono mu  
stanowisko dyrektora. W lipcu 1982 przechodzi na wcześniejszą  
emeryturę. I, aby nie „rdzewieć” – jak powiadał, pracował na  
1/2 etatu w Urzędzie Wojewódzkim.

Przez cały czas poświęcał się pracy społecznej. Wiele lat był  
ławnikiem Sądu Rejonowego i Wojewódzkiego.

Jest posiadaczem: Złotej Tarczy Herbowej Miasta Nowego  
Sączu, Odznaki „Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu  
Materiałów Budowlanych” oraz dyplomów. Posiada również  
odznakę „Racjonalizator Produkcji” i „Zasłużony



Racjonalizator”. Jak sam twierdzi, tylko przez cztery lata pracował w swoim zawodzie. Pozostałe lata pracował w budownictwie, bo taka była specyfika tego regionu. I zarobki były lepsze.

*(tekst z listu pisanego w 1986 roku – MW)*

Po jedenastu latach Marian Fudel dopisał:

*„Już nie pracuję na 1/2 etatu. Urząd Wojewódzki w 1990 roku zlikwidował taką możliwość pracy. Obecnie zajmuję się numizmatyką, która przynosi mi radość.”*

Syn - Dariusz ożenił się. Mieszka i pracuje w Wiedniu. Przed wyjazdem do Austrii ukończył zaoczne studia na Wydziale Turystyki Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie.

Córka Magdalena wyszła za mąż i prowadzi gabinet kosmetyczny. W 1992 r. urodziła Paulinkę - ukochaną wnusię dziadka.

**Marian, kiedy mu nie szło w kartach zwykł przyprowadzać zastępcę do składu grających. Sam wybierał się do miasta, aby się trochę „zabawić”. Zawsze na odchodne prosił kolegów o zgłoszenie na milicję jego zaginięcie. „Ale dopiero po trzech dniach” – dodawał na odchodne.**



**Adam Głębocki.** Ur. 14.04.1933. w Grubnie k/Chełmży.

Żona Grażyna – długoletni nauczyciel akademicki, adiunkt Wydziału Rybackiego Akademii Rolniczej w Szczecinie – obecnie emerytka.

Synowie: Jerzy – absolwent AWF w Gorzowie Wlkp. – prowadzi własną firmę;

Andrzej – absolwent WSM, obecnie pływa jako mechanik.

Wnuki: Natalia i Adam.

Po ukończeniu studiów w 1957 r. i uzyskaniu stopnia mgr inż. rozpoczyna pracę w Stoczni im. Warskiego. Przez 15 lat jest budowniczym statków, a później kierownikiem rurowni. Tu wykazuje swoje zdolności organizacyjne i jest niekwestionowanym ekspertem wykonawstwa wyposażenia statków. Statki były różne: do penetracji dna morskiego, masowce, chemikaliowce itp. Adam jest zakochany w morzu.

Po zdobyciu doświadczeń w produkcji przenosi się do Biura Projektów Budownictwa Morskiego gdzie zajmuje się urządzeniami rurowymi statków.

Po trzech latach pracy projektowej nad nowoczesnymi statkami dla żeglugi morskiej postanawia zrealizować swoje największe marzenie. Tym marzeniem jest pływanie. Rozpoczyna pracę w PLO i pływa, jako I mechanik. Zwiedził niemal cały świat, w tym porty Morza Śródziemnego, Brazylii, Japonii, Afryki i USA.

Najdłużej jednak pływał do Chin, na tzw. linii Polsko-Chińskiej.

Ponieważ był zapalonym turystą starał się dużo zwiedzać. Fotografował – szczególnie wykonywał przeźrocza. Adam z

natury był niewylewny. Nie zawsze chciał się dzielić z innymi wrażeniami. Stale powtarzał innym: – Chcesz wiedzieć jak się przeżywa? – Musisz tam być.

Adam był bardzo wysoko cenionym pracownikiem, ale nie pracował dla zaszczytów i medali. Dobrze wykonana praca była dla niego najważniejszą nagrodą.

Po przejściu na emeryturę zamieszkał z żoną nad pięknym jeziorem w Człopie. Zmarł 27 maja 1997 r. i został pochowany na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

*( Nie zdążył napisać swojego barwnego życiorysu - MW)*



### **Zbigniew Gniewoszewski.**

Urodzony 6.06.1928 r. w Wilnie

Żona Alicja. Dwie córki:

Ingeborga - dr romanistyki -

dyrektor d/s studentów na

Wydziale Romanistyki

Uniwersytetu Poznańskiego im.

Adama Mickiewicza.

Grażyna - absolwent SGPIS w

Warszawie – informatyk w firmie  
budowlanej k/Hamburga.

Zbyszek wielokrotnie „zjeździł” Europę.

W 1946 r. wrócił z Kaukazu i zaczął pracować, jako ślusarz na PKP. W latach 1948 - 51 uczył się w szkole średniej, gdzie zdobył dyplom technika-mechanika i zgodnie z nakazem pracy, pracował w tej samej szkole, jako wykładowca. Z uwagi na pochodzenie w 1952 roku staczał wiele potyczek na różnych uczelniach (w Białymstoku i Gdańsku), walcząc o przyjęcie. Na studia został przyjęty w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie (na Wydział Budowy Maszyn).

Studia ukończył w 1956, otrzymując dyplom inżyniera mechanika. Nadal pozostał na uczelni, ale teraz w charakterze asystenta w Katedrze Mechaniki i Wytrzymałości. W roku 1957 obronił pracę magisterską.

Do roku 1960 pracował na uczelni, ale z uwagi na potrzeby rodzinne zmienił pracę na bardziej popłatną. Przeniósł się do Fabryki Urządzeń Budowlanych „Hydroma” w Szczecinie na stanowisko konstruktora urządzeń hydraulicznych, awansując później na kierownika kontroli technicznej. W „Hydromie” pracował do 1972. W tym czasie tłumaczył również książki (rosyjskie) z dziedziny hydrauliki siłowej i napisał kilka artykułów do pism technicznych. Kiedy doszedł do wniosku, że jakość wyrobów produkowanych przez „Hydromę” jest w

sprzeczna z zasadami technicznymi i zamierzeniami zarządzających fabryką, przenosi się do ZEAP „Meratronik”, w Szczecinie na stanowisko z-cy głównego konstruktora. Okres ten wspomina z zadowoleniem, bo była to praca ciekawa i zajmująca. W roku 1978 nowy dyrektor powierzył mu kierowanie działem gospodarki narzędziowej. W 1980 roku, gdy zorganizowano Ośrodek Badawczo-Rozwojowy, kierownictwo powierzyło mu kierowanie tym ośrodkiem. (Ośrodek został zlikwidowany w 1990 r.)

Jest współtwórcą układów automatyki stosowanej na statkach, za co został wyróżniony II nagrodą zespołową NOT w 1985 r. Posiada medal 40-lecia i odznaczenie: Gryf Pomorski. Za działalność w SIMP otrzymał brązową, srebrną i złotą odznakę honorową. Za „Przetwornik temperatury” otrzymał w 1986 roku nagrodę zespołową NOT, a za „Centralkę Pomiarowo - Sygnalizacyjną dla przemysłu okrętowego” otrzymał nagrodę w 1987 r. Wyroby te zostały wdrożone do produkcji.

Uzyskał patent za opracowanie pt. „Uniwersalny System Alarmowy dla Samochodów ze sterowaniem radiowym”.

Od 1990 r. był wykładowcą w Technikum Samochodowym w Szczecinie. Pracował tam długie lata. Od 1960 roku był biegłym sądowym, a od 1963 roku egzaminatorem kierowców. Wieloletni filatelista. Na różnych wystawach krajowych i zagranicznych zdobył 10 złotych medali.

**Porucznik w naszym wieku, dopiero co po szkole oficerskiej, trafił do nas, aby wyklądać teorię strzelania z armat przeciwlotniczych kalibru 85 mm. Wykład musiał być poparty prostym wyliczeniem kąta wzniosu lufy dział, aby strzał był celny. Tak się zagalopował, że wartość sinusa w jego obliczeniu była większa od jedności. Zbyszek – jak zwykle siedział w pierwszym rzędzie – natychmiast zareagował i... zaczął udowadniać porucznikowi, że górna wartość sinusa wynosi jeden. Porucznik przez dłuższą chwilę przeglądał swój konspekt, zastanawiał się... i wreszcie powiada:**

– Studenci, wy macie rację z tą wartością sinus, ale tylko dla warunków pokojowych. Bo w czasie, kiedy trwa zażarty bój, sinus rośnie i może osiągnąć pięć i więcej.



### **Remigiusz Gmitrowicz.**

Ur. 10.12.1934 r. w Gdyni.

Ojciec służył w Marynarce  
Wojennej i bronił Helu.

W 1945 roku wraz z rodziną  
przenosi się do Szczecina. Ojciec  
pracuje w Urzędzie Morskim i  
odbiera port od wojsk radzieckich,  
później jest pierwszym pilotem  
portowym, następnie szefem pilotów  
i kapitanem portu.

Żona - Krystyna - lekarz stomatolog.

Dzieci: córka Ewa - absolwentka Akademii Rolniczej w  
Szczecinie, syn Maciej - student V-go roku Wydziału  
Budownictwa i Architektury Politechniki Szczecińskiej.

Wnuki: Kubuś - ur. 1995 r.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn w Wyższej Szkole  
Inżynierskiej rozpoczął w 1952 r. Dyplom mgr inż. mechanika  
otrzymał w roku 1959. Pierwsza praca to, 10 dni w Fabryce  
Motocykli „Junak” w Szczecinie, następnie w Zakładach  
Mechanicznych w Kijewie k/Szczecina.

Za odmowę pracy w niedzielę na rzecz walczącego  
Wietnamu został zwolniony.

Od 1.07.1959 roku rozpoczął pracę w Centralnym Ośrodku  
Konstrukcji Okrętowych i tu pracował do września 1983 roku,  
to jest do czasu przejścia na rentę inwalidzką.  
Przez cały ten okres pracował w dziale wyposażenia

pokładowego, zajmując się urządzeniami sterowymi, sterami strumieniowymi, stabilizatorami przechyłów, urządzeniami kotwiczno-cumowniczymi i urządzeniami ratunkowymi. Był kierownikiem zespołu, który jako pierwszy opracował konstrukcję kluz cumowniczych dla Kanału Panamskiego i przewłok rolkowych dla drogi Św. Wawrzyńca. Zespół ten, jako pierwszy zastosował płetwę sterową półpodwieszoną typu Mariner.

W zespole stosowano różne materiały do łożyskowania, zaczynając od gwajaku, lignofolu, mosiądzu lub stali nierdzewnej. Te wszystkie fazy musiały być nie tylko zaprojektowane, ale także sprawdzone w praktyce.

Osobiście opracował konstrukcję biernego stabilizatora oraz zaadaptował licencyjną konstrukcję stabilizatora czynnego. Były one stosowane na promach pasażerskich, a że co roku zmieniały się przepisy towarzystw kwalifikacyjnych i władz administracyjnych projektowanych statków, zachodziła konieczność projektowania nowych, unikalnych rozwiązań.

W czasie eksploatacji statków konieczne było szybkie i niezawodne rzucanie kotwicy.

Dokumentacja wykonywana w Gdańsku nigdy tego nie zapewniała, pomimo wykonania makiety z drewna w skali 1:1. W 1964 roku Remigiusz opublikował własny artykuł pt. „Projektowanie kluzy kotwicznej kołnierzowej oraz kluzy z wnęką.”.

Mając wpływ na projektowanie kształtu dziobu statku, w części nawodnej, projektował kluzy kotwiczne, które odtąd były niezawodne i nie powodowały zakleszczania się kotwicy w kluzie. Za to rozwiązanie otrzymał dyplom uznania Stoczni Gdańskiej.

Z wielkim zaangażowaniem pracował społecznie w radzie robotniczej biura konstrukcyjnego Stoczni, tak po 1970 roku, jak i po roku 1980.



**Antoni Gorycki.** Ur. 15.01.1931 r.  
w Koprzywnicy woj. Tarnobrzeskie.

Żona: Maria Jadwiga - mgr prawa.

Dzieci: syn Piotr ur. w 1960 r.

inżynier elektronik

Córka Beata urodzona w 1963. -

magister prawa, absolwentka

Uniwersytetu Marii Curie

Skłodowskiej w Lublinie. Obecnie  
pracownik naukowy.

Wnuków dwoje: Magdalena - lat 15

i Michał lat 6. (*dane z 1987– MW*)

Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Sandomierzu, w 1952 r. przystąpił do egzaminów wstępnych w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Wybrany kierunkiem był Wydział Budowy Maszyn.

Studia wyższe kończył w 1956 r. otrzymując dyplom inżyniera mechanika o specjalności Maszyny i Urządzenia Energetyczne (elektrownie wodne).

Jako absolwent Politechniki Szczecińskiej otrzymał nakaz pracy do Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu. W elektrociepłowni, od września 1956 r. w charakterze mistrza zmianowego pracował tylko 3,5 miesiąca. Rozwiązanie umowy o pracę było skutkiem niewywiązania się zakładu pracy ze wstępnej umowy, w której zakład zobowiązywał się do zapewnienia mieszkania rodzinnego.

W listopadzie 1956 roku znalazł zatrudnienie w Elektrowni Stalowa Wola. Początki pracy były bardzo trudne, ponieważ nie były zgodne z kierunkiem ukończonych studiów. Wyuczoną specjalnością Antoniego były elektrownie wodne. Tutaj zetknął się z elektrownią cieplną. Był zmuszony na nowo



uczyć się teorii i praktyki z innej niż wyuczona dziedziny. Był to okres, kiedy elektrownia ulegała poważnej modernizacji i rozbudowie.

Właśnie w tym czasie przystąpiono do budowy Elektrowni Stalowa Wola II o mocy 110 MW składającej się z dwóch turbozespołów firmy „Skoda”, każdy o mocy 55 MW z czterema kotłami parowymi. Po zakończeniu tej budowy rozpoczęto kolejną budowę – Elektrownię Stalowa Wola III o mocy 250 MW (dwa bloki, każdy po 125 MW). Teren budowy obu elektrowni gromadził wiele firm, powstało ogromne zaplecze wykonawcze. Wśród wielkiej ilości kadr technicznych o różnych specjalnościach, młody początkujący inżynier mógł sporo się nauczyć, zobaczyć i spotkać się z wieloma problemami. Doskonała szkoła życia.

Nauka trwała jedenaście lat. Z każdym przepracowanym dniem był bogatszy o wiedzę teoretyczną i praktyczną. Przechodził z jednego stanowiska na następne. Stale awansując, brał na siebie coraz to większe obowiązki. Stąd jego udział w procesie budowy, rozruchu i eksploatacji urządzeń energetycznych był coraz większy i znaczniejszy.

Pracując w eksploatacji, w nadzorze montażowym i rozruchu poznał wielu ważnych w energetyce ludzi, wysokiej klasy fachowców i decydentów, z którymi przez wiele lat utrzymywał żywe kontakty.

Antoni bardzo sobie chwali okres pracy w Elektrowni w Stalowej Woli, ponieważ mógł zdobyć doświadczenie, które później zaczęło procentować.

Pracę w Elektrowni Stalowa Wola kończył na stanowisku kierownika działu remontów i inwestycji. W 1967 r. został przeniesiony służbowo do Zakładu Remontowego Energetyki w Lublinie, na stanowisko głównego inżyniera, zastępcy dyrektora naczelnego, z zadaniem zorganizowania wykonania remontów urządzeń energetycznych w elektrowniach ciepłych we Wschodnim Okręgu Energetycznym.

Praca w ZRE polegała na przeprofilowaniu dotychczasowej produkcji - remontu transformatorów na działalność remontową w elektrowniach. Jednocześnie należało dobrać odpowiednie kadry inżyniersko - techniczne, zorganizować produkcję części zapasowych i wyposażać brygady remontowe w odpowiedni sprzęt i narzędzia.

Realizacja tych przedsięwzięć była wyjątkowo trudna ze względu na rozległy teren, brak odpowiednich fachowców, trudności materiałowe i transportowe. Konsekwencja i upór przynoszą jednak efekty. W uznaniu zasług został oddelegowany przez dyrektora Zjednoczenia na budowę elektrowni w Thierbach k/ Lipska w NRD. Tu przez trzy lata, od 1974 do 1978 pracował, jako kierownik budowy. Kierował brygadami montażowymi przy robotach montażowych urządzeń energetycznych bloków 200 MW. Przyznał później, że dopiero w Thierbach poznał nowe technologie i organizację energetyki. Prace były skomplikowane, lecz równie fascynujące i pozwalały na doskonalenie języka niemieckiego.

Po zakończeniu prac zawartych w kontrakcie powrócił do Lublina, gdzie został zatrudniony na stanowisku zastępcy dyrektora d/s produkcji w Przedsiębiorstwie Montażowo-Instalacyjnym. Tutaj zajmował się organizacją wykonawstwa instalacji wodno-kanalizacyjnych i ciepłowniczych na terenie całego województwa lubelskiego.

Z trudem jednak wytrzymał na tym stanowisku przez jeden rok. Powodem były bardzo niskie kwalifikacje załogi i olbrzymi teren działalności.

Odszedł z PMI i skorzystał z oferty zawarcia kontraktu (z Megadex Warszawa) na nadzorowanie prawidłowości montażowych urządzeń energetycznych na budowie elektrowni Prunerov 2 w CSRS. Urządzenia i materiały na budowę dostarcza strona polska. Budowa tejże elektrowni pod klucz wymagała olbrzymiego zaangażowania wielu przedsiębiorstw wykonawczych, dużej ilości kadry inżyniersko-technicznej i

wielu fachowców. Zatrudnienie na tej budowie wynosiło około 5 tys. osób. Termin zakończenia i przekazanie do eksploatacji elektrowni składającej się z czterech bloków, każdy o mocy 210 MW, był ściśle określony i każdy dzień opóźnienia pociągałby za sobą ogromne sumy kar umownych. Na budowie elektrowni Prunerov II pracował w charakterze kierownika nadzoru montażowego. Praca ta wymagała dobrego przygotowania zawodowego, znajomości urządzeń i ogromnego zaangażowania.

Teraz Antoni szczyli się tym, że pracował na tak wielkiej budowie eksportowej i że Elektrownia Prunerov II jest w części jego dziełem. Kontrakt wygasł po czterech latach, czyli w 1982. Powrócił do kraju i został zatrudniony w Zakładzie Wykonawstwa Sieci Elektrycznych- Kielce, Oddział w Lublinie. Jako Główny Inżynier musiał zająć się wykonawstwem sieci napowietrznych i kablowych, rozdzielniami i stacjami elektrycznymi. Ofertę pracy przyjął mimo wewnętrznych oporów, ponieważ do tej pory nie miał styczności z takim zakresem prac. Potrzeby rodzinne spowodowały, że pozostał w Lublinie. Dzięki doświadczeniu, zdolnościom organizacyjnym, a także dużym umiejętnościom, podjęta praca stała się jego pasją. Tutaj pracował najdłużej (czternaście lat). W tym czasie zbudował wiele obiektów energetycznych, które stanowią pomnik dobrej roboty.

Za zasługi w pracy zawodowej otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń: Złotą Odznakę „Zasłużony dla Energetyki”, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Od maja 1996 r. odpoczywa na emeryturze i zajmuje się dalszą rozbudową wcześniej wybudowanego domu (część bliźniaka) oraz remontami samochodów będących własnością rodziny.

W wolnych chwilach, jak prawie każdy mechanik lubi „bawić” się drewnem, wykonując różne domowo - ogródkowe ozdoby.



**Jerzy Gregorius.** Ur. 23.04.1935 roku w Ostrzeszowie.

W 1952 kończył Liceum Ogólnokształcące im. S. Wybickiego w Śremie.

Żona Krystyna. Dwoje dzieci: Krzysztof ur. 1959 - mgr inż. mechanik - absolwent Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie, córka Anna ur. 1970, absolwent Liceum Plastycznego w Koszalinie,

studentka Uniwersytetu Toruńskiego.

Inż. J. Gregorius po ukończeniu studiów na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej w 1956 r. uzyskał dyplom inżyniera mechanika.

Pierwszą pracę (w 1956 r.) rozpoczął w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji w Poznaniu, gdzie pracował do 1959 na różnych stanowiskach: inżyniera ruchu, inspektora gospodarki wodnej oraz kierownika działu. Jest autorem wielu wniosków racjonalizatorskich.

W 1960 przeszedł do Śremskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego w na stanowisko głównego mechanika, gdzie wkrótce został powołany na stanowisko zastępcy dyrektora d/s technicznych. W tym czasie by (i jest nadal) członkiem SIMP regionu Poznańskiego

Od 1969 do 1989 pracował w Koszalińskim Przedsiębiorstwie Transportowo - Sprzętowym Budownictwa „TRANSBUD - Koszalin” na stanowiskach: kierownika działu technicznego, a następnie z-cy dyr. d/s zaplecza i z-cy dyr. d/s technicznych.

W latach 1979-81 został oddelegowany do budowy rurociągu „Surgut” w ZSRR.

Od 1953 pracował społecznie. W latach 74-79 był prezesem Automobilklubu Koszalin i członkiem Rady Głównej Automobilklubów Polski. Do dziś działa na rzecz bezpieczeństwa ruchu drogowego współpracując z miejscową prasą i rozgłośniami radiowymi.

Od 1990 r. pracował etatowo w Polskim Związku Motorowym obejmując od IV 1991 r. obowiązki Prezesa Zarządu Okręgowego Zespołu Działalności Gospodarczej - spółki z o.o. w Koszalinie. Pod jego kierownictwem spółka uzyskała bardzo dobre wyniki ekonomiczne działając na terenie woj. koszalińskiego i słupskiego.

Za pracę zawodową i społeczną był wielokrotnie wyróżniany: medalem za zasługi dla m. Koszalina, medalem pamiątkowym Energopolu za budowę rurociągu „Surdut”, brązową i srebrną odznaką PZMot, srebrną i złotą odznaką Automobilklubów Polskich, Medalem 30 i 40 lecia PRL, Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Uzyskał również uprawnienia rzeczoznawcy techniki samochodowej PZMot.



### **Andrzej Gryglaszewski.**

Ur. 1.08.1934 r. w Warszawie.

Żona Krystyna - lekarz okulista.

Córka Anna - ur. 1961 r., pedagog  
na Uniwersytecie Warszawskim.

Wnuczka Kasia.

W 1956 r. po ukończeniu studiów na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej otrzymał dyplom inżyniera mechanika i nakaz pracy do Elektrociepłowni - Powiśle w Warszawie. Nakaz pracy traktuje wówczas, jako praktykę zawodową w brygadzie remontowej na oddziale maszynowym wykonującym remonty pomp, wentylatorów, wymienników ciepła i turbin parowych. Praca ta była bardzo zajmująca i przynosząca wiele praktycznych wiadomości. W elektrociepłowni pracował do 1958 r., a następnie podjął pracę, jako inspektor nadzoru technicznego inwestycji przy budowie sieci ciepłej, w Stołecznym Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w Warszawie. Od 1973 do 1974 r. udał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie został zatrudniony w MTRON Co.I Amek Precision Machining - Van Nuys California, jako tokarz, frezer, szlifierz i operator EDM przy produkcji części do żyroskopów. Od 1975 do 1978 r. pracował, jako z-ca naczelnika wydziału w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Budownictwa Komunalnego w Warszawie gdzie koordynował działalnością przedsiębiorstw przygotowujących infrastrukturę techniczną (wodociągi, kanalizację) na osiedlu Ursynów.

W 1978 roku, jako zastępca głównego mechanika, prowadził nadzór nad szkoleniem ok. 100 osób oraz administrował i

przewodził prace planistyczne w warsztatach naprawczych sprzętu do budowy dróg Ministry of Works Gongole State Nigeria w Afryce. W tym miejscu pracował do 1981 r.

W latach 1981-82 jako główny mechanik był odpowiedzialny za budowę wyposażenia warsztatów mechanicznych i szkolenie obsługi w Construction Co. Yola Nigeria.

Od 1982 do 1984 r. pracował w INCOSYM Inc. West Lake Village w Kalifornii USA, kierował tam sekcją doświadczalną oddziału produkcji żyroskopów.

W 1984 r. powrócił do kraju i podjął pracę PPS MESAPOL - Przedsiębiorstwo Budowlane i Produkcji Materiałów Budowlanych w charakterze dyrektora naczelnego. Na tym stanowisku pracował do 1986 roku. W tym samym roku przeszedł do zespołu usługowo-wytwórczego „Agrotechnika” w Warszawie na stanowisko dyrektora Zakładu Elektroosmozy.

Od 1989 roku prowadził produkcję osprzętu żeglarskiego w oparciu o własne patenty, łącząc przyjemne z pożytecznym. Było to zajęcie przyjemne, bo mógł zająć się tym, co stanowiło jego hobby (żeglarstwo) i pożyteczne, bo nareszcie pracował na własny rachunek. Posiadał własne przedsiębiorstwo, które produkowało podzespoły do stawiania i składania masztu na jachtach żaglowych.

Stale jest przekonany, że jest jednym z tysięcy naszej generacji, który miał trochę więcej szczęścia niż inni, bo zwiedził kawał świata, pracował w Afryce i Ameryce, wybudował dom i doszedł do własnej firmy, w której sam podejmował decyzje, bez żadnego nadrzędnego nadzoru.

Twierdzi, że porażek też miał wiele, ale widocznie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą i wszystko się dobrze kończyło. Nie zmogła go malaria w Afryce. A po groźnym wypadku samochodowym w USA i półrocznym pobycie w szpitalu został postawiony na nogi i może nadal cieszyć się życiem.

W latach pięćdziesiątych bywały imprezy „bawmy się razem”. Na jednej z nich braliśmy udział w różnych konkursach. Andrzej postanowił wygrać rower. Aby go wygrać, dokonując zakupów towarów spożywczych, musiał śpiewać. A dodajmy, że Andrzej strasznie fałszował, ale zakupy wypadły śpiewająco. Na pożegnanie chwycił ‘ekspedientkę’ za rękę i odśpiewał jej fragment z operetki: „na pożegnanie daj rączkę swą małą, dobranoc, dobranoc, dobranoc”... Rower wygrał, a sala wyla z zachwytu, tarzając się w konwulsjach śmiechu.



**Jan Grzęda.** Ur. 17.05.1934 roku w Ostrowie Wlkp.

Żona Janina - technik chemik, długoletni pracownik laboratorium ochrony środowiska urzędu wojewódzkiego w Opolu.

Dwaj synowie: Krzysztof ur. w 1961 r. - absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu; Radosław mgr inż. geodezji, pracuje w swoim wyczynym zawodzie w Opolu.

Wnuków troje: Magda , Aleksandra i Maciej.

Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Ostrowie Wlkp., w 1952 r. zdał egzamin wstępny i rozpoczął studia w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn. Studia kończył w 1956 r. i otrzymał dyplom inżyniera mechanika. We wrześniu 1956 r. rozpoczął pracę w Dozorze



Technicznym w Opolu. Pracę w UDT rozpoczął od stanowiska inspektora kotłowego. Następnie awansował na stanowisko rzeczoznawcy d/s kotłowych, a następnie na naczelnika działu naczyń ciśnieniowych. Później został powołany na ważne stanowisko, czyli na głównego specjalistę d/s urządzeń ciśnieniowych.

Ze swojej pracy był, jak twierdził, w pełni zadowolony, ponieważ mógł kilka razy w roku wyjeżdżać za granicę, co dodało uroku pracy i stale utrzymywało w kondycji, nie tylko zawodowej.

Wędrował po świecie również prywatnie. Wraz z żoną zwiedził niemal całą Europę. Wybierał się w tym czasie (*zbierania materiałów do książki pt. A to My, przypis MW*) do Tunezji, aby poznać inny kontynent.

W młodości każdą wolną chwilę poświęcał wnukom i działce, którą z upodobaniem uprawiał. Bywało, że uprawiał działki o łącznej powierzchni 700 m<sup>2</sup>.

Poza pracą w Dozorze Technicznym przez 40 lat, pracował dodatkowo w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego prowadząc zajęcia na kursach przygotowujących do zawodu.

Jest rzeczoznawcą SIMP-u, biegłym sądowym oraz przewodniczy Komisji Egzaminacyjnej dopuszczającej do uprawnień energetycznych (przy Woj. Oddziale NOT).

Za długoletni staż nienagannej pracy w UDT otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń: Zasłużony Pracownik Państwowy, Zasłużony Pracownik Dozoru Technicznego, Zasłużony dla Opolszczyzny. Otrzymał również: Złotą Odznakę „Zasłużony dla Energetyki”, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi.

Bierze stale udział w spotkaniach absolwentów naszej grupy akademickiej i ma nadzieję, że jeszcze wielokrotnie będziemy się spotykać na naszych „Zjazdach”.

**W dużej sali wykładowej profesor Sawa stanął przy tablicy i zaczął drobnutkim, koślawym pismem zapelniać jej powierzchnię. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, bo profesor pracował w milczeniu. Nagle**

gdzieś z końca sali usłyszeliśmy mrukniecie: Co to za siusianie po ścianie?

Powiedział to Janek. Głuchy jak pień profesor nagle się odwrócił i patrząc na Janka odpowiedział: – To jest wstęp do teorii maszyn cieplnych, proszę szanownego pana...



**Karol Iwański.** Urodzony

03.05.1932 r.

Żona Halina – mgr inż. techniki żywienia

Córka Olga – wykształcenie średnie

Syn Mirosław – technik mechanik samochodowy.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej ukończył w 1956 i otrzymał dyplom inżyniera mechanika.

Pracę we wrześniu 1956 r. rozpoczął w FSO (fabryce samochodów osobowych) w Warszawie w charakterze energetyka. W 1958 przeniósł się do Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie na stanowisko dyrektora administracyjnego. Od 1965 do 1971 roku pracował w prezydium miejskiej rady narodowej w Olsztynie, jako zastępca, a później przewodniczący rady miejskiej. Olsztyńskie Zjednoczenie Budownictwa było jego kolejnym etapem pracy zawodowej, gdzie został zatrudniony na stanowisku zastępcy dyrektora zjednoczenia.

Tylko małym epizodem była praca w zjednoczeniu przemysłu cementowego wapna i gipsu w charakterze zastępcy dyrektora

naczelnego w Sosnowcu. W Sosnowcu pracował od 1976 do 1977.

Kierując się chęcią poszukiwania nowych wyzwań trafił do Warszawy do zjednoczenia „Centrobud”, gdzie objął stanowisko zastępcy dyrektora naczelnego. Pracował tam do 1982 roku. Następnie przeszedł do zjednoczenia „Techmadex” w Warszawie. Również na stanowisko zastępcy dyrektora. Wrodzona skromność nie pozwoliła mu na przedstawienie swoich osiągnięć zawodowych w pełni. A szkoda, bo osiągnięcia czy też porażki to świadectwo istnienia inżyniera. Zwierzył się, że posiada następujące odznaczenia: odznakę 1000-lecia Polski, medale 30, 40-lecia PRL, Brązowy i Srebrny medale za obronność Kraju i wiele odznaczeń resortowych oraz Złoty Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski.



### **Stanisław Jardzioch.**

Ur. 4.01.1930 r. w Ramanowie k/Łodzi.

Żona: Elżbieta.

Synowie: Andrzej ur. w 1959 r. - absolwent Politechniki Szczecińskiej, obecnie dr inż. pracownik naukowy tejże.

Bogdan - absolwent P.S. - wydział transportu samochodowego

Wnuki: Ula, Tomek, Piotrek, Paweł,

Bartek.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. ukończył w 1956 r. i otrzymał dyplom inżyniera mechanika. Z nakazem pracy stanął się w Szczecińskiej Wytwórni Sprzętu Metalowego (późniejszej SFM JUNAK). SWSM została wyznaczona na zakład produkujący motocykle JUNAK, dlatego wcześniej czyniła przygotowania, zlecając do politechniki opracowanie konstrukcji przyrządów.

Większość absolwentów po zdaniu egzaminów wybrała się na wakacje, a tylko nieliczna grupa pozostała w Szczecinie. W tej grupie pracował Stanisław konstruując przyrządy obróbcze. Weryfikacją dokumentacji zajmował się inż. Janusz Lorkiewicz, późniejszy dr inżynier, pracownik naukowy uczelni. We wrześniu Stanisław podał pracę w fabryce na stanowisku technologa. Miał zatem możliwość nadzorować wykonanie w metalu uprzednio sporządzonych przez siebie konstrukcji. Mógł równocześnie przeprowadzać pierwsze próby eksploatacji tych przyrządów. – *„Doskonała praktyka zawodowa i duże zadowolenie z efektów pracy”* – zwykł mówić. Tym bardziej, że pracował w dużej grupie koleżanek i kolegów z tego samego

roku. Jako technolog warsztatowy mógł bezpośrednio współpracować z nadzorem i pracownikami wydziałów produkcji motocykla. Brał wobec tego czynny udział w uruchamianiu produkcji motocykla „JUNAK M07”, a następnie „JUNAK M10”. Później w uruchomieniu produkcji trójkołowca B20 i przyczepy bocznej WB3.

W okresie zaledwie kilku lat Szczecińska Fabryka Motocykli mogła produkować, i produkowała 20 tysięcy sztuk rocznie motocykli „JUNAK”. Fabryka, dysponując wyłącznie obrabiarkami uniwersalnymi, musiała posiadać wysoki stopień oprzyrządowania, aby zachować powtarzalność produkcji i dobrą jakość wyrobów. Ten imponujący szybki rozwój techniki wytwarzania był wynikiem konstruktywnego myślenia, nieustających poszukiwań nowości oraz twórczych dyskusji młodych, prężnych inżynierów w większości wykształconych w Szczecinie (PS). Produkcja motocykla upadła w wyniku nieprzychylnych decyzji władz centralnych. Po przemieszczeniu produkcji wałów napędowych i mechanizmów kierowniczych z FSC Starachowice i FSO Warszawa, Stanisław bierze udział w uruchamianiu produkcji tych wyrobów (całej gamy), a także udziela się w szeroko zakrojonej modernizacji sposobu wytwarzania przy zastosowaniu obrabiarek zadaniowych. Wraz z innymi kolegami i koleżankami, bierze udział w uruchomieniu produkcji wałów napędowych i mechanizmów kierowniczych do licencyjnego Fiata 125p.

W 1972 roku postanawia podjąć pracę nauczyciela w technikum mechanicznym w Szczecinie. Tutaj uczył przedmiotów o nazwie: części maszyn, mechaniki, obróbki skrawaniem, technologii, maszynoznawstwa oraz rysunku technicznego. Bardzo szybko wczuł się w rolę nauczyciela, ponieważ poprzednia praca w FMS POLMO wzbogaciła jego

wiedzę teoretyczną, którą uzyskał w PS, a która była przekazywana studentom przez prof. Wiesława Olszaka, prof. Stanisława Prowansa i wielu innych pracowników dydaktycznych.

Praca w technikum mechanicznym: 5-cio letnim, 3 - letnim, 3 - letnim dla pracujących i 3- letnim zaocznym, zalicza Stanisław do najciekawszych okresów swojego życia zawodowego. Jako nauczyciel miał wpływ na osiąganie przez uczniów dobrej wiedzy o technice. Pilotując prace dyplomowe uczniów, mógł wpływać na pogłębianie tej wiedzy. Uczeń, aby uzyskać dyplom technika mechanika, oprócz egzaminów z teorii, był zobligowany do zaprojektowania wskazanego przez nauczyciela urządzenia, wykonania jego dokumentacji konstrukcyjnej, dokonania koniecznych obliczeń i wykonanie zaprojektowanego modelu dydaktycznego (np. sprzęgła, hamulca itp.) Miał na to uczeń nie wiele czasu (pół roku).

Stanisław wspomina, że Technikum Mechaniczne w Szczecinie szczyli się uczniami, którzy czynnie uprawiali sport. Byli wśród nich piłkarze Pogoni Szczecin: Marian Kielec, Marek Leśniak, Dariusz Adamczuk, Dariusz Szubert, Jacek Cyzio, Mariusz Kuras, siatkarze Stali Stocznia: Waldemar i Bogumił Kacprzakowie, Ryszard Kaczyński, Jerzy Streich, Roman Czaja, L. Czerlonek, K. Kowejsza, biegacz Jan Pawłowicz, który uczestniczył w Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku w sztafecie 4 x 400 metrów.

W roku 2008 uczeń Marek Kolbowicz, zdobył złoty medal w Pekinie w wioślarstwie. Marek Kolbowicz był słuchaczem technikum wieczorowego dla pracujących w Szczecinie. Zdał maturę, ukończył Uniwersytet Szczeciński. Wszyscy wymienieni byli uczniami Stanisława.

Stanisław twierdzi, że życie jego i żony Elżbiety jest bardzo udane. Mają dwóch synów: Andrzeja i Bogdana.

*„Andrzej, absolwent Politechniki Szczecińskiej (dr hab. inż.) jest profesorem nadzwyczajnym, pracuje w Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym i kieruje zakładem systemów wytwarzania i inżynierii jakości. Jego najstarszy syn (wnuk Stanisława) Piotr – absolwent Uniwersytetu Technicznego w Berlinie, kierunek architektura, obecnie pracuje w Berlinie i realizuje projekty mieszkaniowe w Poczdamie.”* Młodszy syn Andrzeja Paweł (także wnuk Stanisława) jest studentem ZUT na wydziale elektrycznym. Interesuje go automatyka i robotyka.

Drugi syn Elżbiety i Stanisława również ukończył Politechnikę Szczecińska, a jego najstarszy syn Tomasz jest również inżynierem i pracuje w firmie Trans Baltic Logistics. Stanisław dumny jest ze swojej rodziny, a przede wszystkim ze swoich synowych. Obie mają wykształcenie wyższe. Dorota uczy języka niemieckiego w I LO. A Ala jest trenerem pływackim.

Za pracę zawodową Stanisław otrzymał szereg wyróżnień i nagród w tym: Odznakę Edukacji Narodowej, Gryf Pomorski, Krzyż Zasługi.

W roku 1990 był już emerytem. Nie pracował zawodowo, ale udzielał się społecznie. Przez wiele lat był działaczem sportowym i sędzią pływackim. Najbardziej zaangażowanym był w pomoc żonie w prowadzeniu sklepu mięsnego.

Oto mały, jakże humorystyczny epizod, który wspomina z łezką w oku:

Mieszkał w akademiku z Julianem Kacprzakiem, który przez cały okres studiów mechaniki zabawiał się w budowę nadajnika radiowego.

**W maju 1953 roku w Polsce odbywały się mistrzostwa Europy w boksie. Była piękna, słoneczna niedziela. Znaczne grupy studentek i studentów siedziały wśród zieleni na ławeczkach, na dziedzińcu akademika. Pół godziny przed rozpoczęciem finału mistrzostw z okna akademika odezwał się głośnik, a z niego „popłynęła” relacja walki finałowej pomiędzy Kulejem a Rosjaninem.**

**Relacjonował Stanisław, a Julek robił za „tło”.**

**Wszyscy na dziedzińcu zaczęli słuchać tej relacji i nikt nie podejrzewał, że zostali wpuszczeni w maliny. Oczywiście Stanisław fachowo relacjonował, że Kulej wygrał i zdobył tytuł. Następni Polacy również wygrywali, a słuchający radia studenci podnosili coraz to większą wrzawę. Prawie świętowali.**

**I wtedy z głośnika padła uwaga: – Stachu, co ty wygadujesz? Przecież Polacy nie mogą wygrywać!**

**Stanisław niezrażony, mówi do mikrofonu: – Drodzy radiosłuchacze, przepraszamy za przerwę w nadawaniu. Zaraz powrócimy.**

**Dopiero wtedy słuchający zorientowali się, że zostali zrobieni w konia.. A później? A później okazało się, że Kulej istotnie zdobył tytuł Mistrza Europy. Z innymi Polakami było różnie**



### **Julian Eugeniusz Kacprzak.**

Ur. 28.02.1934 roku w Świechowie k/Kutna.

Żonaty z Elżbietą.

Córki: Grażyna - Liceum

Medyczne, mieszkała w

Niemczech. Obecnie w Polsce;

Arleta - Liceum Ogólnokształcące, mieszka w Austrii w Wiedniu.

Pracę zarobkową rozpoczął w 1949 w Zakładach Wytwórczych Maszyn Elektrycznych i Transformatorów w Żychlinie.

Jednocześnie uczył się tam w wieczorowej szkole zawodowej.

W roku 1952 rozpoczął naukę w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. W 1956 r. uzyskał dyplom inżyniera mechanika na Wydziale Budowy Maszyn P.S. i rozpoczął pracę (z nakazu pracy) w Szczecińskiej Fabryce Maszyn Budowlanych FAMABUD na stanowisku kierownika gospodarki narzędziowej i prototypowni. W roku 1962 przeniósł się do PRCiP (przedsiębiorstwa robót czerpalnych i pogłębiarskich) -



DRAGMOR w Szczecinie. Do roku 1967 pracował na stanowisku zastępcy dyrektora d/s taboru pływającego.

Później służbowo został przeniesiony do SPISiE (szczecińskiego przedsiębiorstwa instalacji sanitarnych i elektrycznych na stanowisko zastępcy dyrektora d/s technicznych - pierwszego zastępcy. W SPISiE pracował do roku 1975.

W tym też roku, w drodze awansu został przeniesiony do Przedsiębiorstwa Instalacji Przemysłowych INSTAL w Szczecinie na stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa.

Od 1979r. pracował w Zakładach Chemicznych „Police”, jako zastępca dyrektora. d/s wykonawstwa, czyli inwestycji.

W roku 1993 przeszedł na emeryturę i stał się wolnym człowiekiem. Tak twierdził.

W życiu zawodowym pozostawił swój znaczący „ślad na ziemi” biorąc czynny udział w realizacji wielu inwestycji. Takich jak: rozbudowa obiektów portowych Szczecin-Swinoujście; rozbudowa Politechniki Szczecińskiej – wydział chemii, wydział okrętów i wydział ekonomiczny; rozbudowa elektrowni „Dolna Odra”; nadzór robót inwestycyjnych w Stoczni Warszawskiej, w Szczecińskich Zakładach Mięsnych, w Zakładach Mleczarskich, w Fabryce Urządzeń Okrętowych w Reczu, Barlinku i Więclawie, w budowie magistrali ciepłej dla miasta Szczecina, w budownictwie mieszkaniowym i usługowym, w budowie lotnisk w Chojnie i Kluczewie, w budowie i uruchomieniu II-go etapu Zakładów Chemicznych „Police” ( w tym m.in. elektrociepłowni EC-II, wytwórni amoniaku, mocznika, kwasu siarkowego itp.).

Nabytą na uczelni wiedzę w pełni wykorzystał w pracy zawodowej, a ponieważ życie często wymagało wiedzy znacznie szerszej od zdobytej, zdobywał ją w praktyce.

Był wielokrotnie wyróżniany: Gryfem Pomorskim - za zasługi dla woj. szczecińskiego, Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego, Złotą Odznaką - 20 lat w Służbie Oświaty, medalem

za zasługi dla obronności kraju, złotą odznaką- zasłużony dla budownictwa, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Mimo rozlicznych obowiązków zawodowych zawsze znajdował czas na pracę społeczną. Przez wiele lat pełnił funkcję vice-prezesa największego zespołu ogrodów działkowych w Szczecinie: „Skarbówka” (1000 działek), gdzie z przyjemnością uprawiał własną ziemię.

**Julek, na widok czulącej się pary zakochanych, zwykł mówić:**  
– **Zobacz. Co ona widzi w tak kiepskim facecie?**  
**Za taki osąd musiał nieraz szukać wsparcia u kolegów.**



**Antoni Karczewski** (*kisywa - Antonio*). Urodzony w Warszawie. Żona Maria, dyplomowana położna. Trzech synów: Adam, żonaty, mieszka w Austrii, jest zecerem, Marek jest medykiem, Tomasz uzdolniony w rysunku. Wszyscy wysocy - od 184 do 197 cm.

Antoni studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. ukończył w 1956 r. i uzyskał dyplom inżyniera mechanika.

W roku 1985 pracował w Centrum Projektowo-Badawczym Żeglugi Śródlądowej „NAVICENTRUM” we Wrocławiu, jako starszy projektant. Przed tym pracował w Żegludze Mazurskiej na stanowisku zastępcy dyrektora d/s technicznych, a później w Żegludze Wrocławskiej. Przez jakiś czas, jako zastępca dyrektora d/s technicznych pracował również w „Predom –

Service” we Wrocławiu, dbając o produkcję nowoczesnych pralek i chłodziarek. Zorganizował dwie szkoły zawodowe i uczył w Technikum Żeglugi we Wrocławiu budowy statków i technologii ich wykonywania.

Do osiągnięć (z wrodzoną skromnością) zaliczał zaprojektowanie barek typu BP-3900 o długości 94 m, których 4 sztuki wykonała Gdańska Stocznia Remontowa dla Holandii, oraz zaprojektowanie barek typu BP-3550 o długości 90 m, produkowanych na eksport.

W NAVICENTRUM projektował największe barki, jako jednostki do ładunków suchych. Za pracę zawodową otrzymał szereg nagród i wyróżnień.

*(Antonio nie należał do piszących wspomnienia. Bronił się przed nimi bardzo skutecznie i dlatego jego życiorys inżynierski na tym się kończy - przypis MW)*

**Antek, duże chłopisko, zajmował się sportem i... stale był głodny, więc wymyślił, że można więcej zjeść w stołówce, ale sposobem. Do okienka podchodził z kolegą i z zależności od sytuacji podawał numer metody pobierania obiadów. Metoda 11 polegała na tym, że jeden z nich podawał jedną kartkę do wycięcia, a drugi w tym czasie pobierał dwa obiady, trzeci obiad brał ten od kartek.**

**Metoda 22 polegała na tym, że kartki do wycinania podawał drugi, ale obiadów brali po dwa. W ten sposób można było względnie dobrze się najeść.**



**Marian Karpiński.** Urodzony w 1928 r. wieś Szygi, woj. Ostrołęckie. Żona: Maria. Czwórka dzieci. Córki: Grażyna ur. 1954 r. - technik mechanik, Barbara ur. 1956 r. - technik budowlany; synowie: Tadeusz ur. 1958 r. absolwent Zasadniczej Szkoły Zawodowej, Krzysztof ur. 1966 r. - absolwent ZSZ. Wnuków siedmioro.

Studia w Szkole Inżynierskiej na Wydziale Budowy Maszyn w Szczecinie rozpoczął w 1952 r. Dyplom inżyniera mechanika otrzymał w czerwcu 1956 r.

A oto jak opisuje swoje życie Marian (pisownia oryginalna).

*„Moje wspomnienia z życia wzięte.*

*Przeżyłem już 70 lat, a pamiętam wszelkie wydarzenia od 4-go roku życia. Urodziłem się w biednej rodzinie robotniczo-chłopskiej. Ojciec dorobił się 3 hektarów gospodarki, na której wychowało się 6 braci i 1 siostra. Miałem 11 lat, gdy przyszli Niemcy. Już od 12 roku życia chodziłem do sezonowej pracy w pobliskim majątku, a także do szarwarku /za ojca/. Każdy z moich braci był w domu do 14 roku życia, a potem szukał pracy, dachu nad głową wg swoich możliwości.*

*Ja nie byłem lepszy. Niemcy wywieźli mnie na przymusowe roboty. Skończyłem zaledwie 14 lat, więc pasłem krowy u „Bauera” k. Elku. Za wspomnienie o ucieczce, pobił mnie dotkliwie, okradł z moich „ciuchów” i natychmiast oddał do obozu przy fabryce wyrobów drzewnych w Elku. Pracowałem wraz z 40 innymi małolatkami przy produkcji sklejek i skrzynek. Wywożono nas również do kopania okopów k. Węgorzewa i Gołdapi.*

*W marcu 1945 r. wracając z jednej niewoli trafiłem do drugiej. Właśnie NKWD łapało wracających do domu i zapędzało do pracy w Magazynach Armii Czerwonej w Wielbarku. Do domu było tak blisko. Można było uciekać, ale dokąd? Tam dowiedziałem się, że ojciec nie żyje, a brat z rodziną mieszkają w małej „ziemlance” i nie mają nic do jedzenia. Całe okolice Rożana były zniszczone, bo front Armii Czerwonej był tam przez 6 miesięcy. Ja miałem jedzenia dosyć, porządną dach nad głową i umundurowanie. To, co, że ruskie? Nie chodziłem w podartych portkach, tak jak w domu rodzinnym.*

*Dopiero po wyjeździe Armii Czerwonej w marcu 1946 r. szukałem pracy, dachu nad głową i wyżywienia. Otrzymałem, co chciałem w KW PPR w Olsztynie, ale bez wynagrodzenia, ponieważ w tym czasie mało-latów nie wolno było zatrudniać. Rok szkolny był na półmetku, więc nie poszedłem do szkoły. We wrześniu 1946 roku dostałem się do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Na egzaminie zdecydowano, że mogę być strzelcem pokładowym. Latanie było moim marzeniem. Skończyłem kurs i służyłem Ojczyźnie w 4-ym Pułku Lotnictwa Szturmowego w Bydgoszczy. We wrześniu 1948 roku wróciłem do Olsztyna. Byłem już dorosły. Pracowałem i uczyłem się w wieczorowej szkole zawodowej. We wrześniu 1949 roku zostałem przyjęty do USP w Toruniu i po jej ukończeniu wybrałem naszą Szkołę Inżynierską w Szczecinie. Wydział Budowy Maszyn był dla mnie atrakcją nie do odrzuceniu.*

*W czerwcu 1956 ukończyłem studia. Hurra! Co za radość i jednocześnie duma.*

*Szkoda, że nie żyli już moi rodzice. Byliby dumni. Miałem już swoją rodzinę: żonę i dwie córki. Problemów z pracą nie było, lecz z mieszkaniem, z brakiem pieniędzy i dalszym życiem, tak. Pierwsza pensja wynosiła 800 zł/m-c. Po trzech miesiącach awansowałem na kierownika wykonawstwa inwestycyjnego w „POLFA” w Starogardzie Gdańskim.*

*„Pracy nie przerobisz” – powtarzali mi moi pracownicy. Plany jednak trzeba było wykonywać, bo za to otrzymywaliśmy premię i nagrody. Praca przy budowie i montażu aparatury chemicznej, stała się moją pasją. Pierwszym projektem racjonalizatorskim (zrealizowanym natychmiast) była podtrzymka na tokarkę, do toczenia długich elementów – ślimaków do transportu materiałów sypkich.*

*Pamiętam doskonale pierwszy wypadek przy pracy. Podczas spawania w hali produkcyjnej, nastąpił wybuch gazów w kanalizacji. Na przestrzeni 600 metrów wyleciały wszystkie pokrywy ze studzienek kanalizacyjnych. Nikt nie doznał żadnego uszczerbku, ale moralnie czułem się winny. „Piękne były fajerwerki” - powtarzano po wypadku.*

*Zrobiłem również błąd inżynierski. Bez dokumentacji montowaliśmy aparaturę do produkcji talku. Wyciąg pionowy na wysokości 10 m. i udźwigu do 100 kg. kazałem przyspawać do konstrukcji dachowej i za to poniosłem konsekwencje. Przeniesiono mnie do Biura Konstr. Projektowałem dziesiątki zbiorników i aparatury chemicznej. Zbiorniki ciśnieniowe również lubiłem. Z zatwierdzeniem ich w UDT nie miałem problemów.*

*Moja rodzina powiększyła się, a ja nadal mieszkalem w starym M2. Szukając pracy z mieszkaniem trafiłem do nowo budowanej fabryki celulozy w Ostrołęce. Prowadziłem tam urządzenia podlegające UDT. Za dodatkowe wynagrodzenie szkoliłem pracowników z obsługi tych urządzeń. Miałem wymarzone, piękne M4. I wtedy urodził mi się drugi syn.*

*Po trzech latach pracy „podpadłem” dyrektorowi d/s techn. Zaplanowałem „ruskie” pompy do przetłaczania masy papierniczej. Nie zakupiono ich, ponieważ najlepsze były angielskie. Za ten czyn dyrektor obniżył mi uposażenie. Przeniosłem się do FSC w Lublinie. W fabryce samochodów ciężarowych przez kolejne pięć lat konstruowałem oprzyrządowanie do produkcji „Żuków”. Na przeciąg jednego*

roku byłem oddelegowany do Fabryki Maszyn Żniwnych w Płocku, również do konstrukcji oprzyrządowania nowego kombajnu „Bizon”. Pięćdziesiąt różnych oprzyrządowań w ciągu roku, taka była norma. Za to była specjalna premia i nagroda. Moje najważniejsze prace konstrukcyjne to: dziesiątki zbiorników ciśnieniowych, próżniowych i magazynowych, konstrukcje nośne dla aparatury chemicznej, ponad dziesięć wniosków racjonalizatorskich, za które oprócz wyróżnień otrzymałem dyplomy i nagrody specjalne. Marzenia o samochodzie nie mogłem spełnić, ponieważ dzieci rosły i potrzeby stale się powiększały. Dogonić średniej krajowej nigdy nie mogłem. Wróciłem do Ostrołki. Przez 3 kolejne lata uczyłem w Technikum Mechanicznym, a następne 3 lata pracowałem w zakładach mięsnych w zaopatrzeniu inwestycyjnym. Ostatnie 10 lat, pracowałem w nowo zorganizowanym Zakładzie Aparatury Elektrycznej.

W 1992 r. przy zwolnieniach grupowych mnie również posłano na emeryturę. ZUS zaliczył mi 587 miesięcy pracy (wraz z nauką), tj. około 49 lat. Moja obecna emerytura wynosi 520 zł netto (lata 90te).

Już się widzę wśród aniołów, bo pracowałem całe życie i starałem się nie grzeszyć. Moje wnuczki czekają, kiedy im odstąpię mój pokoik. Mam ich aż 7-ro.”



### **Lidia Rączka-Kędzior.**

Urodzona 26.02.1934 r we Lwowie.  
Mąż Józef - zmarł na serce w  
czerwcu 1991 r. Syn Wojciech ur. w  
1959 r. - mechanik samochodowy.  
Wnuki: Bartosz - obecnie w USA, i  
Szymon.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn  
Politechniki Szczecińskiej ukończyła  
w 1959 r. i otrzymała dyplom mgr inż. mechanika, jako jedna z  
rodzyneków męskiego towarzystwa na wydziale „twardego  
zawodu”. Stale powtarzali jej mężczyźni, że zawód ten  
nie jest dla „bab”. Lidka była uparta. Postanowiła nie tylko  
ukończyć studia, ale i pracować. Nie tylko w swoim  
wyuczonym kierunku, ale i w miejscach wysoko absorbujących  
i odpowiedzialnych. W ten sposób po studiach trafiła do  
szczecińskich elektrowni. Karierę zawodową rozpoczęła od  
najniższego stanowiska tj. mistrza kotłowego. Stale rozwijała  
swoje umiejętności i dlatego awansowała na kolejne stanowiska  
bardziej odpowiedzialne. Po kilku latach pracy została  
kierownikiem wydziału turbinowego. Na tym stanowisku  
pracowała przez 13 lat, co dało jej doskonałą praktykę  
zawodową. Jako kobieta musiała pokonywać nie tylko problemy  
zawodowe, ale jeszcze bariery psychologiczne i uprzedzenia  
zawodowe męskiej społeczności.

W 1970 rozpoczęła pracę przy budowie elektrowni  
„Dolna Odra”. Jak wspomina – był to okres nowych  
doświadczeń i wielkiej osobistej zawodowej satysfakcji. Po  
zakończeniu budowy i utworzeniu zespołu trzech elektrowni  
pracowała nadal, kierując przygotowaniem inwestycyjnym na  
stanowiskach głównego inżyniera d/s inwestycji Zespołu  
Elektrowni.



Za pracę zawodową i społeczną otrzymała wiele odznaczeń państwowych, resortowych i regionalnych. Najwyższe odznaczenie, jakie otrzymała to Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Od kwietnia 1991 roku jest na emeryturze.

W liście do mnie Lidka pisze tak:

*„Na pewno z każdego naszego życiorysu powstałaby barwna opowieść, ponieważ przyszło nam żyć w „ciekawych, ale trudnych czasach” i przeżyć wiele zakrętów historii.*

*Cały czas zastanawiam się, czy aby przeszliśmy to zawsze godnie? Osobiście holdowałam zasadzie: nikomu nie szkodzić.*

*A tylko pomagać w każdej potrzebie. Sądzę, że mi się to udało, bo okazjonalne spotkania z dawnymi współpracownikami są zawsze bardzo serdeczne. Mimo piastowania różnych odpowiedzialnych funkcji, w najtrudniejszych momentach życia zakładowego, byłam wśród załogi i czułam się bezpiecznie. W kontaktach zawodowych z kolegami z naszego uczelnianego rocznika spotykałam się zawsze z pomocą i braterską serdecznością. Wszyscy oni pozostali w moich wspomnieniach, jako wspaniali ludzie. Koleżeńscy, serdeczni i pełni humoru. Serdecznie życzę naszym dzieciom i wnukom, by patrząc wstecz mogli tak jak ja widzieć swoją młodość.*

*Lidia.”*

Lidka podczas studiów należała do bardzo szczupłych osób, dzisiaj nazywanych wieszakami. Kiedy na początku drugiego roku profesor Wendeker, jako opiekun roku, omawiał z nami praktyki wakacyjne, zapytał Lidkę w jaki ona przedsiębiorstwie była na praktyce wakacyjnej? Ale na odpowiedź już nie czekał. Sam sobie odpowiedział. – Już wiem, w hucie BOBREK. Bo tylko tam mają zgniatacz.



**Marian Kozerski.**

Ur. 21.11.1933 r.

Kawaler.

Studia ukończył w 1956 r. i uzyskał dyplom inżyniera mechanika na Politechnice Szcz., Wydział Budowy Maszyn.

Nie zmieniał pracodawcy. Od samego początku tj. od roku 1956 jego pracodawcą był Urząd Dozoru Technicznego, Inspektorat Dozoru Technicznego w Gdańsku.

W UDT pracował na stanowisku głównego specjalisty d/s urządzeń ciśnieniowych. W latach 70-tych został oddelegowany na placówkę UDT we Włoszech. Tam dokonywał odbioru urządzeń dla przemysłu polskiego. W latach 1978-81 na placówce UDT w Paryżu był rzeczoznawcą w zakresie technologii spawania i odbioru materiałów i budowy urządzeń technicznych dla Zakładów Chemicznych w Policach i dla PCV Włocławek. Później, jako rzeczoznawca dokonywał odbiorów w Kanadzie i Niemczech.

Do osiągnięć swoich zaliczył wieloletni staż pracy w jednym miejscu. Z odznaczeń posiadał: odznakę „Zasłużony dla Dozoru Technicznego”, „Zasłużony pracownik państwowy”, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Oto fragment jego listu:

*„Nie mam wiele do dodania do swojego życiorysu. Ani moja sytuacja prywatna ani służbowa nie zmieniły się. Czas szybko zleciał, do emerytury już niedaleko. Przybyło nieco kilogramów, a ubyło włosów (do tego zmieniły kolor). Ciekawy jestem, czy poznałibyśmy się na ulicy?*

*W dalszym ciągu realizuję moje hobby turystyczne. W trakcie wypraw urlopowych, a także przy okazji wyjazdów służbowych. Przyznaję. Poznałem ładny kawałek świata.”*

Wiem, że Marian miał siostrę albo siostry, które z pewnością, w odróżnieniu do brata mają rodziny, które znają dokładniejszy życiorys zawodowy Mariana.

Do Nich się zwracam: Pomóżcie Kochani poznać bliżej osiągnięcia naszego Kolegi. Napiszcie do mnie (autor – zbieracz informacji – czekam, MW).



### **Tadeusz Krawczuk.**

Urodził się 14.01.1930 r. w Kletnie woj. Poleskie.

Żona - Maria.

Córka Elżbieta – absolwentka

Pomorskiej Akademii Medycznej-  
dr nauk medycznych – stomatolog;

Syn Mariusz – absolwent Wyższej  
Szkoły Morskiej Wnuki: Jan,

Marcin, Karolina, Klaudyna

Studia ukończył w 1956 roku i otrzymał dyplom inż. mechanika. Niemal natychmiast po skończeniu studiów podjął pracę (na podstawie nakazu pracy) w spółdzielni FERRUM w charakterze konstruktora. Praca w spółdzielni nie była ciekawa, bez perspektyw rozwojowych. Tutaj pracował do 30.12.1956 r. Od stycznia 1957 roku był już pracownikiem Fabryki Maszyn Budowlanych „FAMABUD”, która rozpoczyna produkcję dźwigów budowlanych. Praca w fabryce była ciekawa i zgodna z wyuczonym kierunkiem. Najpierw pracował, jako technolog. W niedługim czasie awansował na zastępcę gł. technologa. Był wielokrotnie delegowany do nadzoru montażu dźwigów do Czechosłowacji, Austrii i Szwajcarii.

Z fabryką maszyn budowlanych pożegnał się w 1962 r., by podjąć pracę w wojewódzkim zjednoczeniu Polskich Przedsiębiorstw Przemysłu Terenowego, obejmując ważne stanowisko kierownika ośrodka organizacji i normowania prac. Należy zaznaczyć, że zjednoczenie to grupowało wiele przedsiębiorstw o różnej specjalności, stąd zagadnienie normowania pracy, a także organizacja pracy wymagała bardzo dobrego przygotowania. Na tym stanowisku pracował wiele lat do czasu likwidacji dobrze zapowiadających się zakładów pracy produkujących różne wyroby na rynek. W tym czasie, a są to lata 70-te istniała tendencja władz centralnych do maksymalnej

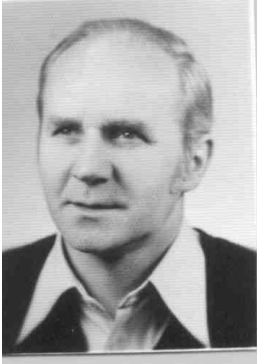
centralizacji. W ten sposób zniszczono w Polsce wiele dobrych organizmów produkcyjnych wraz z ich dobrze przygotowaną kadrą. Tadeusz odszedł z WZPPPT i podjął pracę w Stoczni Szczecińskiej, najpierw, jako projektant wyposażenia statków, technolog urządzeń pokładowych i wreszcie gł. projektant urządzeń technicznych. Często delegowany był do Niemiec na szkolenia i odbiory urządzeń do wyposażania statków. Za nowoczesny statek dla armatora radzieckiego typ B86 służący do penetracji dna morskiego (prac podwodnych) otrzymał nagrodę Komitetu Nauki i Techniki.

Za całokształt pracy został odznaczony Brązowym i Złotym Krzyżem Zasługi.

Na emeryturze jest od 1.01.1996 r. i cały swój czas poświęca rodzinie.

Tadeusz w czasie studiów był naszym fotograficznym „dziejopisem”, uwieczniając na kliszy wiele szczegółów z życia studenckiego.

Szczególnie dużo zdjęć powstało na obozach wojskowych w Mrzeżynie. Tylko nieliczne są prezentowane w niniejszej pracy. Z łezką w oku patrzę na nasze młode (chude) twarze, bujne czupryny i szczery, szeroki przyjazny uśmiech. Ten zapis pozostał dzięki Tadeuszowi, czyli firmie: FOTOTAKRA.



**Henryk Krenke.** Ur. 21.10.1932 r.  
Żona Monika. Synowie: Rafał –  
prof. dr hab. nauk medycznych;  
Paweł - mgr pedagogiki;  
Wnuk Adam- mgr prawa  
Wnuczka Julia uczennica

Studia na Wydziale Budowy  
Maszyn P.S. ukończył w 1957 i  
otrzymał dyplom mgr inż.  
mechanika.

A oto jak sam pisze o sobie w latach 90 – tych

*„Po studiach przychodzi przykra rzeczywistość nieustannej walki inżyniera, na którego liczy otoczenie. Rozwijający się przemysł, doganianie najlepszych, budowanie autorytetu zawodowego i społecznego i zaspokajanie własnych ambicji to niekończący się dylemat. Swoje życie zawodowe związałem z przemysłem elektronicznym, a ściślej z postępowaniem technicznym w tej gałęzi gospodarki. Rozpaczam pracę i pracuję długie lata w zakładach podzespołów radiowych MIFLEX w Kutnie, w działach rozwoju, mechanizacji i automatyzacji na stanowisku głównego specjalisty d/s budowy maszyn i urządzeń. W zakładzie budowane są maszyny doświadczalne, automaty technologiczne dla przemysłu elektronicznego, jako prototypy lub produkcja jednostkowa. Moja praca pozwalała mi wykorzystywać wiedzę zdobytą w czasie studiów.*

*W roku 1977 zdobywam specjalizację zawodową I-go stopnia w dziedzinie konstrukcji maszyn technologicznych w elektronice. Przyznał mi ją minister przemysłu maszynowego. Osiągnięcie specjalizacji obok wykorzystania wiedzy nabytej w Szczecinie, wymagało stałego podnoszenia moich kwalifikacji. W tym czasie ukończyłem studia podyplomowe w zakresie*

*automatyzacji produkcji i ergonomii pracy na Politechnice Warszawskiej.*

*Wiedzę zawodową wzbogacałem częstymi konsultacjami w Jugosławii, Czechosłowacji, Niemczech, Szwajcarii, również na Węgrzech.*

*Obok bogatego życia zawodowego, pracowałem również społecznie w Radach Pracowniczych, a także jestem radnym w Radzie Miejskiej w Kutnie. W środowisku jestem zawsze otoczony licznym gronem znajomych i przyjaciół, mających do mnie zaufanie.*

*Posiadam odznaczenia Zasłużonego dla Resortu i Województwa, a także Medale 30 i 40-lecia, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, wiele dyplomów i innych wyróżnień.*

*A ja, zawsze pozostaję wdzięczny moim nauczycielom i wychowawcom. Również moje szczęście nie ma granic, gdy pomyślę, że przyszło mi dojrzewać wśród tak wspaniałych koleżanek i kolegów, jakich miałem podczas studiów.*

*Szczęście to towarzyszy mi przez całe życie.*

*Boże, jak ja Was Kocham! Myślę o Was, modlę się za żyjących i tych, którzy już odeszli.*

*Minęło już 40 lat, od chwili, kiedy przestaliśmy tworzyć wspólną akademicką. Czas potwierdza, że były to uroczne lata. Tworzyliśmy wyjątkowy zespół gawiedzi - jak powiedziałby Andrzej Gryglaszewski.*

*Jestem z tego dumny i przekazuję wspomnienia z tamtych lat moim chłopakom. Niezapomniane dowcipy Rysia Zambrzyckiego, dobroć, troska o nasze wyniki, byt materialny i wysoki poziom tańca towarzyskiego Jasia Czajki, wspólna marynarka egzaminacyjna Tadzia Zielińskiego, niezapomniane „numery” prof. K. Wendekera. Jego spotkania egzaminacyjne, pełne humoru wykłady i wiele, wiele innych chwil naszego życia studenckiego są nam stale bliskie.*

*A czy pamiętacie, jak na pierwszym roku, już po zdaniu egzaminu z geometrii wykreślnej, Jasio Praczyk uroczyście palił*

*na środku pokoju akademickiego wszystkie notatki i ćwiczenia. A, że nabył się paskudnego uczulenia i wysypki na twarzy, lekarz zalecił mu smarowanie ciemną jak heban maścią. Scena wyglądała tak: Jasio nad ogniskiem - wymazany na czarno, a do pokoju zajrzał W. Strzałkowski. Gdy tylko to zobaczył, wbiegł do naszego pokoju z krzykiem: - Panowie, gazem pod 94, Janek zwariował, upodobił się do murzyna i tańczy nad ogniskiem - Naturalnie widzów momentalnie przybyło.”*

**Heniek na rozpoczęcie każde dnia studium wojskowego (trwało cały dzień raz w tygodniu) wydawał komendę:**

**– Całość, na moją komendę, baczość! Otwieram dzień humoru i satyry wojskowej, spocznij.**

**A na zakończenie dnia: – Zamykam kolejny dzień kabaretu wojskowego. Rozejść się.**

W 2018 roku Henryk napisał:  
*„Dzieciństwo, miałem pogodne. Mój ojciec Artur w latach trzydziestych pracował w urzędzie skarbowym, jako poborca podatkowy. Mama zajmowała się domem. Spokojny tryb życia przerwała wojna w 1939 roku. Podczas niemieckiej okupacji doświadczyliśmy wiele biedy materialnej i moralnej. We wrześniu 1939 roku rodzice zapisali mnie do szkoły podstawowej nr 2 w Kutnie. Nauka trwała krótko. Już w grudniu Niemcy szkołę dla dzieci polskich zamknęli. Tylko tajne nauczanie stało się jedynym sposobem na zdobywanie wiedzy. Mieszkania prywatne, w których odbywały się lekcje były strzeżone przez rodziców. Za tajne kształcenie groziły kary: obóz pracy, albo obóz koncentracyjny.*

*Pamiętam, że ojciec mój był szykanowany, ponieważ nie mogli go zmusić do przyjęcia obywatelstwa niemieckiego. Niezwykle bolesnym doświadczeniem dla nas były nieustanne przesłuchania ojca przez gestapo. Ojciec nie dał się złamać, do końca życia został Polakiem. Należał także do AK. Zmarł w 1943 roku. Mama po śmierci taty podjęła pracę fizyczną w*



zakładach drobiarskich. Po zakończeniu wojny w 1945 roku poszedłem do szkoły, do piątej klasy szkoły podstawowej. W moim życiu ważną rolę odegrało harcerstwo. Należałem do 3.MDH i na lilijce widniały ważne dla mnie literki ważnych hasel: Ojczyzna, Nauka, i Cnota. Wartości te były inspiracją dla mnie i moich działań w życiu. W 1948 roku ukończyłem szkołę podstawowa i zostałem przyjęty do gimnazjum, a następnie liceum państwowych kujawskich zakładów techniczno – naukowych we Włocławku.

W 1952 po maturze i pomyślnie zdanym egzaminie zostałem przyjęty do Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie, a następnie Politechniki Szczecińskiej. W Szczecinie rozpoczął się dla mnie ważny i ciekawy czas życia studenckiego i naukowego. Podczas studiów tworzyliśmy wyjątkowo zgrany zespół ludzi, który pozostał taki sam na długie lata. Wielu z moich kolegów, poza nauką, brali czynny udział w życiu uczelni i miasta. Tadek Zieliński, Ania Ziębe –Zdun, Staszek Neumann i wielu innych śpiewali w słynnym na cały świat chórze pod dyrekcją naszego kolegi z uczelni Janka Szyrockiego. Błażej Daszyński śpiewał w kwartecie wokalnym uczelni, Ja miałem zaszczyt zasilać akademicki teatrzyk satyryczny SKRZAT, razem z Tadkiem Klimowskim, Andrzejem Androchowiczem oraz z innymi. Zespołem kierował Andrzej Androchowicz, a kierownikiem muzycznym był Jan Janikowski, późniejszy twórca zespołu „FILIPINKI”.

Z Kazikiem Taczałą, Jasiem Grzędą grałem w koszykówkę w drugoligowym zespole AZS Szczecin.

Wiekowi moich kolegów uprawiało w AZS inne dyscypliny sportowe jak: szermierkę: Janek Popielski – szablę, Antek Karczewski – szpadę i Mietek Walków – floret, hokej na trawie, wioślarstwo: Zdzisiek Zaleski, Wicek Zawidzki, Waldek Siemionow, kajakarstwo – Leszek Wyżykowski i Mietek Walków. W czerwcu 1957 roku (robiący magisterkę, bo inni I stopnia już pracowali) odebraliśmy dyplomy i na zakończenie studiów

*usiedliśmy na schodach wydziału. Żegnaliśmy piękny czas wypełniony nauką i żegnaliśmy uczelnię z młodzieńczą nadzieją i planami na przyszłość. Niektórzy z nas zegnali miasto Szczecin. Miasto, które pokochaliśmy za zielen, za atmosferę, która tworzyli w nim ludzie życzliwi i pracowici. Jako młodzi inżynierowie mieliśmy świadomość, że swoją pracą i aktywnym uczestnictwem w rozwoju przemysłu będziemy budować zawodowy i społeczny autorytet, a także będziemy odpowiadać na oczekiwania otoczenia.*

*W owym czasie, kiedy my zdobywaliśmy stopnie magisterskie, nasi koledzy I stopnia już pracowali w JUNAKU i nie byli w stanie przerobić tego, co było potrzebne fabryce do szybkiego opanowania ważnej dla miasta produkcji. Motocykli. Politechnika otrzymała zapotrzebowanie na konstrukcje przyrządów obróbczych i spawalniczych. Pamiętam, że braliśmy żywy udział w tym przedsięwzięciu, a grupą konstruktorów kierował Janek Czajka.*

*Praca na rzecz fabryki motocykli JUNAK była korzystna finansowo. Za formatkę A4 projektu otrzymywałem 12,5 złotego, a opłata miesięczna pokoju w akademiku wynosiła tylko 9 złotych. Praca dla fabryki JUNAK trwała do końca 1957 roku. Później niemal cały rok pracowałem zakładzie obróbki metali w PS pod kierunkiem inż. B. Birkiego. Pracując w na uczelni poznałem bliżej profesora Darmochwałę, który zachęcił mnie do podjęcia pracy w Łodzi w fabryce maszyn dla przemysłu spożywczego. Oferowane warunki w Łodzi były bardzo dobre. Nie miałem możliwości zdobyć tam mieszkania. Dowiedziałem się z w moim rodzimym mieście Kutnie organizowany jest nowy zakład pracy, który ma wytwarzać kondensatory. Zakład nazwano MIFLEX. A nazwa pochodziła od skrótów podstawowych surowców „mika, folia, styroflex”. Poszukiwano właśnie inżyniera mojej specjalności. Pracę w MIFLEX podjąłem w marcu 1958 roku. Dodam, że zakład w Kutnie powstał dzięki ministrowi przemysłu*

*maszynowego. Produkcja i asortyment został przeniesiony z branżowego bratniego zakładu TELPOL z Krakowa. Produkcję rozpoczęto od prostych kondensatorów mikowych. Kondensator to układ dwóch elektrod rozdzielonych warstwą dielektryka i służy do gromadzenia ładunku elektrycznego. W miarę upływu czasu zakład w Kutnie stał się potentatem w produkcji kondensatorów do odbiorników radiowych, telewizyjnych, samochodowych, sprzętu gospodarstwa domowego i powielaczy napięcia w skali RWPG. (W 1999 zatrudniał 3600 pracowników). Klasą w tym czasie było uruchomienie produkcji kondensatorów na folii metalizowanej. Metalizacja odbywała się na urządzeniach projektowanych i produkowanych przez fabryczne zaplecze technicznego w Kutnie. Daleko idąca mechanizacja procesów wytwarzania kondensatorów i urządzeń wymagała wiedzy z zakresu budowy maszyn, pneumatyki i elementarnej elektroniki. W fabryce wymagano od inżynierów wysokich kwalifikacji w zakresie konstrukcji i wykonawstwa maszyn, narzędzi specjalnych z rodziny krępowników, ciągowników, wykrojników, form wtryskowych, a więc wszystkiego tego, co miało zapewnić wzrost produkcji podzespołów radiowych, a przede wszystkim kondensatorów.*

*Konieczne było dokończenie się. W roku 1979 ukończyłem studium podyplomowe zakresu ergonomii i bezpieczeństwa pracy. Zakład w tym czasie posiadał na swoim koncie około dziesięciu patentów i wzorów użytkowych. Możliwość wykorzystania wiedzy w praktyce dawała mi dużą satysfakcję. Moi przełożeni pionu budowy maszyn, a także kierownictwo fabryki i władze resortu wysoko oceniali moją pracę.*

*Minister przemysłu maszynowego nadał mi tytuł specjalisty w zakresie konstrukcji urządzeń służących do produkcji kondensatorów. Każde z naszych przedsięwzięć było sukcesem. Przecież pracowaliśmy odbudowując zniszczony przemysł*

pięcioletnią wojną i okupacją. Braki niezbędnych maszyn, narzędzi, materiałów odczuwalne były na każdym kroku. Tak więc wdrożenie myśli inżynierskiej nie było łatwe, ale tym bardziej mobilizowało to nas do tworzenia. Niejedną noc spędziliśmy nad „deską kreślarską”. Ostatecznie liczyły się efekty wdrażanego projektu. Urządzenia, półautomaty, automaty były własnej konstrukcji. I choć nieraz były wzorowane na literaturze zachodniej, to jednak były własne i wykonane przez polskiego fachowca. I był to postęp techniczny. Znaczący rozwój fabryki następował dzięki wprowadzaniu do produkcji podzespołów specjalistycznych, automatów, półautomatów, nawijarek, krajarek folii i papieru, drukarek, mierników pojemności i napięcia. Pozwalało to na ilościowy wzrost produkcji kondensatorów i innych wyrobów. Wprowadzane do produkcji maszyny własnej konstrukcji i produkcji wypierały uciążliwą pracę ręczną, podnosiły bezpieczeństwo pracy i wydajność. Z biegiem lat powstały w fabryce komórki zaplecza technicznego, które zmieniły nie tylko organizację przebiegu produkcji, ale też wprowadzały nowe technologie. Powołano w fabryce zakład doświadczalny z własnym biurem konstrukcyjnym maszyn i oddziałem wykonawstwa rzeczowego. Mnie powierzono funkcję głównego specjalisty do spraw budowy maszyn. Zakład doświadczalny dozbierany był maszynami i obrabiarkami wyższej klasy. Np. Multi76 zapewniała mikronowe dokładności wykonawstwa detali. W zakładzie doświadczalnym stosowaliśmy materiały o podwyższonej odporności na ścieranie, wprowadzaliśmy szeroką gamę zabiegów obróbki cieplnej stali. Np. dyfuzyjne utwardzanie powierzchni, elektroiskrowe drążenie stali stopowych. Potrafiliśmy kształtować, materiały tworzywa sztucznych, obrabiać metale kolorowe, stale chromo nikielowe – drogą spawania. Wśród produkowanych przez zakład doświadczalny urządzeń były kotły próżniowe zapewniające wysoką próżnię (~10 [Tr]) zasilane zespołem pomp

*dyfuzyjnych. Urządzenia te były przeznaczone do impregnacji kondensatorów, a przede wszystkim do metalizacji folii tworzywowych.*

*Zakład doświadczalny wykonywał w roku kilka kotłów próżniowych, które wymagały dennic. Wykonywanie dennic na prasach (250 do 300 Ton nacisku) nie mogło być opłacalne. Najlepszą metodą wykonywania dennic okazała się metoda wybuchowa. Operacja polegała na umocowaniu (zawieszeniu) nad wyprofilowaną niecką arkusza blachy i odpaleniu nad nią wyliczonego ładunku wybuchowego. Zupełnie nowatorskim sposobem łączenia elementów aluminiowych było zastąpienie zgrzewania spajaniem na zimno. Spawanie generowało wielką ilość produkcji brakowej (30-40 %). Metoda spajania na zimno ,tylko śladowe braki. Spajanie na zimno stosowane było w łączeniu łap do kubka aluminiowego – osłony kondensatora. Nowatorskie technologie w budowie maszyn i samych kondensatorów były pod moim nadzorem.*

*Pracę zawodową łączyłem, przez wiele lat, z pracą w oświacie, ucząc młodzież w szkole przyzakładowej. Nie stroniłem też od pracy, społecznikowskiej. Przez sześć kolejnych kadencji pełniłem funkcję radnego miasta Kutno, Owszem byłem nagradzany, ale o tym już pisałem. W 2010 roku od przewodniczącego Rady Miasta pana Jacka Sikory i od Prezydenta Miasta Zbigniewa Burzyńskiego otrzymałem podziękowanie za pełną zaangażowania pracę na rzecz rozwoju Miasta Kutna.”*



### **Włodzimierz Kryński.**

Ur. 20.11.1932 r. w Mordach.

Żona Halina. Dwóch synów: Maciej ur. 1962 r. – matematyk -nauczyciel j. angielskiego; Wiesław - politolog, pracuje w Niemczech w firmie komputerowej.

Wnuków dwóch: Bartek i Kacper .

Oto jego list!

*„Urodziłem się w Mordach na Podlasiu w dawnym powiecie siedleckim w województwie lubelskim. W 1945 r. moja rodzina przeniósła się do Słupska, gdzie ukończyłem szkołę przemysłową. Dalszym etapem mojego życia było ukończenie Technikum Mechanicznego w Białogardzie w 1952 r. i rozpoczęcie studiów na Wydziale Budowy Maszyn Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie. Uczelnię ukończyłem w 1956 r. uzyskując dyplom inżyniera mechanika ze specjalnością - maszyny i urządzenia energetyczne wodne. Pracę zawodową rozpocząłem już w październiku 1956 r. najpierw w miejskiej radzie narodowej na stanowisku inżyniera, potem w rejonie dróg wodnych w Szczecinie, na stanowisku inżyniera energetyka. Były to tzw. przedbiegi w procesie szukania swojego miejsca w zawodzie. W maju 1957 r. podjąłem pracę w „Browarze Szczecińskim” na stanowisku inżyniera energetyka. Było to już poważne stanowisko z całą odpowiedzialnością za gospodarkę energetyczną zakładu. Trzy i pół letnia praca w browarze dała mi sporo satysfakcji, praktykę w zawodzie i umiejętności kierowania zespołami ludzkimi. Pod koniec mojej*

*pracy w browarze otrzymałem małe mieszkanie służbowe i założyłem rodzinę.*

*Miła atmosfera w pracy i dobre stosunki międzyludzkie w fabryce nie szły w parze z wynagrodzeniem za pracę. Mimo licznych premii za oszczędność energii i węgla, potrzeby rodzinne były większe. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji zmiany miejsca pracy. Brałem udział w konkursie na stanowisko mistrza dokowego w szczecińskiej stoczni remontowej GRYFIA. Zostałem zatrudniony na tym stanowisku z pensją o 100 % większą od tej w browarze. Po półrocznej praktyce pod okiem starszego mistrza dokowego (z pochodzenia Kaszuba) zostałem poddany bardzo trudnemu egzaminowi praktycznemu tj. zadokowaniu na jednym dużym doku 6 lugrotrawlerów rybackich. Po zdaniu tego egzaminu dopuszczono mnie do samodzielnego dokowania wszystkich obiektów pływających remontowanych w stoczni. Do pełnych kwalifikacji w tym zawodzie brakowało jeszcze państwowego egzaminu z teorii i praktyki dokowania. W tym celu wysłano mnie do Gdańska na miesięczny kurs pod egidą znanego teoretyka budowy okrętów prof. Derfera. Kurs ukończyłem z wyróżnieniem i nagrodą.*

*W uznaniu moich kwalifikacji dyrekcja stoczni delegowała mnie, z grupą stoczniovców, na końcowy nadzór i odbiór doku pływającego, budowanego w angielskiej stoczni w Stockton nad rzeką Tees. Dziesięć tygodni nadzoru pozwoliło mi na gruntowne poznanie doku i jego obsługi. W czasie pobytu w Anglii zwiedziłem Londyn i północną Anglię. Wróciłem do Polski najnowszym samolotem LOTU, by po miesięcznym pobycie w kraju, popłynąć na największym, obok Jantara, holowniku pełnomorskim „Koral”, do Anglii w celu przyholowania doku do kraju. Rejs przez Morze Północne, cieśniny duńskie i morze Bałtyckie trwał 10 dni. Był to trudny rejs - sztorm, wysoka fala i wiatr przeszkadzający w żegludze. Wreszcie weszliśmy do Świnoujścia, gdzie zgotowano nam*

*uroczyste powitanie, a następnego dnia była wielka gala w Szczecinie.*

*Po miesiącu przygotowań ustawiliśmy dok przy pirsie i dokonaliśmy pierwszego historycznego dokowania. Za wykonanie tego zadania otrzymałem” na Osiedlu Komuny Paryskiej dwupokojowe mieszkanie ze ślepą kuchnią.*

*Sześć lat pracy w stoczni remontowej to ciekawy okres w moim życiu. Każdy statek to: inny plan dokowania i inne problemy. Jednym z ciekawszych rozwiązań technicznych, które zaprojektowałem i wprowadzałem w życie i była bariera powietrzna ochraniająca pokład doku przed nabieraniem kry lodowej podczas dokowania.*

*Z konieczności opieki nad chorą żoną przenosimy się do Wschowy k/Leszna.*

*Tam podejmuję pracę w biurze konstrukcyjnym wytwórni urządzeń komunalnych w charakterze konstruktora. Moim zadaniem było: modernizować wyroby i wdrażać nowe rozwiązania do produkcji. Głównym moim osiągnięciem inżynierskim było wprowadzenie do produkcji i nadzór nad wykonaniem 350 sztuk odśnieżarko-ładowarek traktorowych. Były to pierwsze wyprodukowane w Polsce urządzenia tego typu - dzieło biura konstrukcyjnego naszej wytwórni w Łodzi. Były to udane maszyny. Pracę jednej z nich testowałem w Krynicy, spisywała się nadzwyczaj efektywnie. Przy wykonawstwie tej maszyny powstał problem przetoczenia otworów skrzyni przekładniowej o dużej dokładności. W związku z brakiem wytaczarki w zakładzie, zaprojektowałem przyrząd wytaczarski na wiertarkę promieniową w nienajlepszej kondycji technicznej. Innej w zakładzie nie było. I mimo tej przeszkody, przy pomocy mojego urządzenia udało się nam rozwiertać otwory w 350 skrzyniach przekładniowych z dokładnością do 0,05 mm. Byłem dumny z tego przyrządu. W trzecim roku pracy w WUKO WSCHOWA moja wypowiedź na zebraniu partyjnym potępiająca interwencję Układu Warszawskiego w*



Czechosłowacji (1968) była przyczyną zmiany miejsca pracy i miasta. Na wiosnę 1969 roku zatrudniłem się w kostrzyńskich zakładach celulozy i papieru w Kostrzynie nad Odrą, w charakterze głównego specjalisty d/s cieplnych. Zapotrzebowanie na takiego specjalistę wiązało się z uruchomieniem dwóch nowoczesnych maszyn papierniczych produkcji angielskiej. Urządzenia te posiadały skomplikowany układ cieplny cylindrów suszących wstęgę papierową. Po rozgryzieniu tego trudnego zagadnienia powierzono mi stanowisko kierownika wydziału energetycznego - serca zakładu. Było to bardzo trudne stanowisko pracy. Do mnie należała kotłownia (węglowa), turbinownia, zmiękczalnia wody wraz z odgazowywaniem, układ nawęglania, plac węglowy, wymiennikownia i wszelkie remonty. Do ważniejszych osiągnięć zaliczam: wymianę (w czasie ruchu) odgazowyczy wody zmiękczonej i filtrów zmiękczejących. Nadzór nad montażem i uruchomieniem turbiny przeciwprężnej 12 MW i kotła wysokoprężnego 40 ata o wydajności 40 ton pary na godzinę i uruchomienie hydraulicznego odżużlania kotłów. Po czterech latach ciężkiej pracy przenoszę się do biura konstrukcyjnego zakładu, gdzie powierzają mi uruchomienie urządzenia do powlekania papieru masą bitumiczną. W 1974 r. zająłem pierwsze miejsce wśród racjonalizatorów zakładowych - głównie za projekt podgrzewania wody w kondensatorze turbiny i kierowanie tej wody do basenów pływackich. W lutym 1975 roku podjąłem pracę w Przedsiębiorstwie zaopatrzenia technicznego budownictwa w Warszawie na stanowisku kierownika oddziału w Kostrzynie. Pod moim kierownictwem oddział osiągnął najlepsze wyniki wśród 4 oddziałów przedsiębiorstwa. Okres kostrzyński zaliczam do najaktywniejszego okresem mojej pracy społecznej. Z mojej inicjatywy powstały, w czynie społecznym, dwa baseny pływackie i mini-sanatorium. Czynnie uczestniczyłem, wraz ze

*swoimi pracownikami, w budowie od początku szkoły podstawowej oraz przedszkola typu „Bonin”.*

*Praca zawodowa i społeczna była doceniona. Zostałem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Poza tym byłem odznaczony: Brązowym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, odznakami: „Zasłużony dla Miasta Kostrzyna” i „Zasłużony dla Województwa Gorzowskiego”, Złotą Odznaką Honorowego Krwiodawcy, odznaczeniami LOK i odznaczeniami strażackimi.*

*Moimi zainteresowaniami były i są: wędkarstwo, polityka, kultury wschodnie, filozofia i religie. Od pięciu laty jestem na emeryturze, już nie palę, dużo spaceruję z moim jamnikiem Mikim.”*

Włodek zwany Jerzykiem z racji włosów, i Dawidkiem z racji wzrostu.

Zmarł w październiku 2017 w Kostrzynie nad Odrą.

Pierwszego kwietnia na wykładzie czytamy gazetę -”Kurier Szczeciński”, a tam napisano, że w hali sportowej na Narutowicza w ramach mistrzostw Europy w boksie (odbywały się w Warszawie) do Szczecina przybyła reprezentacja Afganistanu i będzie trenować. Oglądać trening można od godziny dziesiątej. Po przeczytaniu Włodek od razu wyraził chęć pójścia do hali sportowej.

Olek na to: – Wariacie, przecież dzisiaj Prima Aprilis = Włodek zniknął, ale po jedenastej przyszedł na wykłady.  
– I co, dużo było takich idiotów? – pytamy Dawidka.  
– Tak. Około czterdziestu – odpowiedział zawiedziony Włodek.



### **Kazimierz Kubiak.**

Urodzony 20.01.1934 r. w Żninie w rodzinie sławnych kowali na Pałukach.

Żona Urszula –wspaniała dziewczyna, pierwsza kobieta w „Junaku” – doskonały kierowca samochodowy.

Syn Maciej. Wnuków dwoje.

Do zawodu technicznego przygotowywał się najpierw w państwowych średnich szkołach technicznych w Bydgoszczy - liceum mechaniczne, późniejsze technikum mechaniczne kończył w 1952 r. otrzymując dyplom technika mechanika.

Do egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię przystąpił w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu. Z powodu braku miejsc nie został przyjęty i zaproponowano mu studia w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie.

W trakcie studiów pracował, jako zastępca asystenta w katedrze mechaniki technicznej. Studia ukończył w 1956 roku i otrzymał dyplom inżyniera mechanika. Jako absolwent pracował do 1958 roku w Politechnice Szczecińskiej w charakterze asystenta.

Z PS odszedł w 1958 do przemysłu i rozpoczął pracę w SFM JUNAK, jako kierownik izby pomiarów. W 1959 r. awansował na kierownika działu kontroli technicznej. Na tym stanowisku pracował do 30. 09. 1973 r. W czasie pracy w JUNAK-u przez niemal rok przebywał na Kubie w Hawanie, gdzie kierował serwisem wyeksportowanych tam motocykli JUNAK-M10. Pracując w SFM "Junak" zdobył doświadczenie, uczestnicząc aktywnie w rozwoju badań jakościowych wyrobów fabryki, rozwinął laboratorium pomiarowe i wyposażył je w

najnowocześniejszą na owe czasy aparaturę. Jednocześnie aktywnie działał w SIMP i publikował szereg artykułów w tygodniku MOTOR. Szczególnie dotyczących eksploatacji motocykla „Junak” - procesu produkcyjnego, badań stacjonarnych, badań dynamicznych.

Był równocześnie członkiem kolegium redakcyjnego „Głos Polmo” - gazety wewnątrzfabrycznej. W tym czasie był też rzeczoznawcą d/s jakości motocykli i rowerów.

W 1960 r. zawarł związek małżeński z Urszulą, również pracownicą SFM JUNAK. Uroczystości weselne miały bogatą oprawę stworzoną przez przyjaciół i kolegów z tego samego miejsca pracy i z tej samej uczelni.

Kazimierz zajmował się hobbystycznie i zawodowo fotografią. Uwiecznił na kliszy szereg wizyt ówczesnych "oficjeli" odwiedzających fabrykę, a także samą fabrykę i jej załogę. Stworzył bogatą fototekę historii rozwoju fabryki w latach 1958 do 1973.

Pierwszego października 1973 roku wraz z rodziną przeniósł się do Warszawy, do Ursusa gdzie został zatrudniony w ZPC „Ursus”. Początkowo pracował na stanowisku zastępcy szefa kontroli technicznej. Brał aktywny udział w rozpoczęciu produkcji licencyjnej ciągników rolniczych MASSEY-FERGUSON-PERKIN. W tym czasie zajmował się projektem MFP i jego wdrażaniem w zakresie organizacji służb kontroli technicznej, a także wyposażeniem laboratorium „służby jakości wyrobów w ZPC „Ursus”.

W 1981 przeszedł do zakładu doświadczalnego ciągników rolniczych na stanowisko kierownika działu homologacji, wdrażając system licencyjny ocen jakościowych wyrobu i zatwierdzania produkcji. Tu zdobywał doświadczenie, które pozwoliły mu na podjęcie pracy w ministerstwie transportu i gospodarki morskiej na stanowisku głównego specjalisty w departamencie ruchu drogowego (od kwietnia 1991 r.).

W ministerstwie zajmował się głównie sprawami homologacji pojazdów, a także brał udział w opracowaniu warunków technicznych i badań pojazdów wynikających z ustawy „Prawo o Ruchu Drogowym”.

Od 1996 r. jest na emeryturze i nadal współpracuje z Ministerstwem Transportu. Od wielu lat jest związany z turystyką rowerową, która daje mu wiele radości i pozwala utrzymać kondycję.

*(Podobnie do Zdziśka Szczerbińskiego nie dał się namówić na dalsze zwierzenia. Wiem z praktyki, że są bardzo ciekawe poznawczo. Kazimierza również zaliczam do tych, których historia życia zawodowego może być doskonałym materiałem przyszłej pracy magisterskiej, lub doktorskiej z zakresu poznawania: techniki, organizacji pracy i warunków w jakich pracował ówczesny inżynier w systemie PRL – MW)*

*Kazik na stronie internetowej [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) –BLOGI– Pamiętniki – Kuba wyspa jak wulkan gorąca – napisał bardzo interesujące wspomnienie o swojej pracy na Kubie.*

**Kazio na WPO (wysuniętym punkcie obserwacyjnym)**

**meldował dowódcy baterii na stanowisku bojowym:**

– Czolgi z prawej, samoloty z lewej i jakieś ruchy piechoty z lewej, a środkiem?... A środkiem gna pluton długonogich, cycatych, dorodnych dziwek...

– Przerwać łączność! Przerwać łączność! - krzyczał kapral odbierający meldunek.

– Kto was upoważnił do meldowania pełnym tekstem? Podajcie swoje nazwisko student!

– Co wy kapralu, nie wiecie, że jest to niezgodne z regulaminem? – padła odpowiedź Kazia.

Dyskusja trwała by przez długą chwilę, gdyby Kazio nie postanowił zakpić z kaprała. Kiedy, czerwony ze złości kapral uparcie wzywał WPO :

–Wisła, Wisła... Słyszysz mnie? Słyszysz mnie?

Kazio spokojnie odpowiedział:

- Odra, Odra, nie słyszę ciebie, nie słyszę, ale ciebie widzę.



**Henryk Kubica.** Ur. 1.1.1934 roku w Gostyniu.

Żona Halina – pracownik Centrum Naukowo Badawczego Radia i Telewizji CENRIT w Warszawie  
Syn Jarosław ur. 1964 r. w Toruniu, absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej WP w Zegrzu.  
Syn Sergiusz ur. w 1967 r. w Szczecinie, mgr ekonomii, absolwent WSH w Warszawie

Wnuczka: Joanna.

W latach 1952 - 1956 studiował w Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Budowy Maszyn. Ze względów niezależnych od niego nie składał egzaminu i nie otrzymał dyplomu inżyniera. Dyplom inżyniera mechanika otrzymał w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej w Bydgoszczy w 1963 r.

Od lutego 1957 r. do maja 1957 pracował, jako pomocnik frezera w fabryce automatów tokarskich w Bydgoszczy.

Bydgoskie zakłady metalowe przemysłu terenowego były jego miejscem pracy od czerwca 1957 r. do sierpnia 1961 r. Pracował tutaj, jako starszy technolog, zajmując się opracowywaniem technologii wyrobów produkowanych przez fabrykę.

Od września 1961 r. rozpoczął pracę w Kolejowych Zakładach Nawierzchniowych „Bydgoszcz” w Bydgoszczy. Najpierw, jako starszy technik, później kierownik działu techniczno - produkcyjnego, a następnie, jako szef produkcji.

W 1964 roku objął stanowisko dyrektora kolejowych zakładów maszyn i sprzętu drogowego „Racibórz” w Raciborzu. W Raciborzu wdrożył metodę zgrzewania szyn w odcinkach 440 mb i w takich odcinkach były one transportowe na miejsce budowy szlaków kolejowych. Metodę zgrzewania szyn wykonywał podległy Oddział zakładów w Kędzierzynie Koźlu.

W innym oddziale w Prudniku rozwinął produkcję „galanterii” betonowej na potrzeby PKP. Na stanowisku dyrektora w KZMiSD „Racibórz”, gdzie pracował do roku 1967. Na polecenie Ministra Komunikacji został przeniesiony do ZNTK „Stargard” w Stargardzie Szczecińskim na stanowisko dyrektora. W ciągu czterech lat pracy (do 1971 r.) pod jego kierownictwem rozwinęło się biuro konstrukcji maszyn drogowych dla potrzeb PKP, w którym to powstało szereg nowych konstrukcji, takich jak: lekka podbijarka podkładów kolejowych, oczyszczarka poboczy torów (tłucznia), ciężka oczyszczarka tłucznia OT-400. Wszystkie te konstrukcje były produkowane przez ZNTK w Stargardzie.

W tym czasie w Stargardzie rozpoczęto prace wdrożeniowe ciężkiej licencyjnej podbijarki tłucznia, firmy „Plasser”. Wdrożono do produkcji potokowo-taktową naprawę wagonów towarowych dwuosioowych i kontynuowano produkcję podwozi dla wagonów- cystern, jako produkcję kooperacyjną dla fabryki wagonów w Świdnicy.

Dyrektor Kubica doprowadził do pojęcia współpracy zakładów Pomorza Zachodniego, które złożyły się na zakup specjalnej obrabiarki do szlifowania łoż i prowadnic maszyn obróbczych. Rozwiązał w ten sposób problemy remontowe maszyn w woj. szczecińskim i w ościennych województwach. W marcu 1971 powrócił do Bydgoszczy i został zatrudniony w zjednoczeniu zakładów naprawczych taboru kolejowego( ZNTK Bydgoszcz) - branżowym ośrodku organizacji i normowania pracy z siedzibą w Bydgoszczy. Tutaj, jako starszy inspektor opracował i wdrożył do funkcjonowania system „potokowo-

taktowy” naprawy wagonów-platform w ZNTK „Ostróda” w Ostródzie.

W grudniu 1971 r. został oddelegowany do ZNTK „Gdańsk”, aby tam, jako główny inżynier, z-ca dyrektora d/s technicznych kierował naprawą elektrycznych zespołów trakcyjnych o napięciu 800V dla kolei trójmiejskiej, naprawą lokomotyw elektrycznych do pociągów ciężkich składów i pociągów ekspresowych, naprawą wagonów węglarek czteroosiowych i wagonów z obniżoną podłogą do przewozu ciężkich ładunków np. transformatorów olejowych, a także do kierowania produkcją podwozi do wagonów-węglarek czteroosiowych, jako półproduktu dla producenta finalnego tj. ZNTK Ostrów Wlkp.

W kwietniu 1974 r. objął stanowisko dyrektora w kolejowych zakładach nawierzchniowych „Bydgoszcz” w Bydgoszczy. Zakłady produkowały rozjazdy kolejowe i inne elementy nawierzchni kolejowej, dokonywały napraw mostów kolejowych, zgrzewały i regenerowały zużyte szyny kolejowe w zamiejscowym oddziale w Laskowicach Pomorskich, a także produkowały blokowe podkłady kolejowe w Oddziale w Pszczółkach k/Gdańska.

W tym okresie Henryk, jako dyrektor nadzorował budowę ośrodka wypoczynkowego w miejscowości Krąg k/Czerska w Borach Tucholskich.

Od lipca 1977 r. do lutego 1987 r. pracował w zjednoczeniu ZNTK w dyrekcji generalnej PKP - ZNT na stanowisku zastępcy dyrektora naczelnego.

Zjednoczenie ZNTK, późniejsza DG PKP - dyrekcja zakładów naprawy taboru - grupowała 27 jednostek, w tym 24 zakłady produkcyjne. Zatrudniały około 55 tys. osób. Jednostki te zajmowały się naprawą taboru, produkcją wyrobów w tym: taboru maszyn i urządzeń, a także innych wyrobów potrzebnych Polskim Kolejom Państwowym. Jednocześnie świadczyły wiele różnych usług dla PKP.



Okres dziewięcioletniej pracy był jednym z najcięższych i najbardziej ciekawych zajęć (pomimo zawirowań politycznych). Brał czynny udział w rozwiązywaniu strajków na drodze negocjacji z załogami w ZNTK Gliwice i ZNTK Ostrów Wlkp. Podłożem strajków zawsze były płace. W ZNTK Gliwice powstał konflikt pomiędzy grupami pracowników wywodzących się z dwóch różnych miast kresowych: Stanisławowa i Lwowa. Konflikt rozwiązano dzieląc zakład na dwa tj. ZNTK Gliwice i ZNLE (zakłady naprawcze lokomotyw elektrycznych również w Gliwicach).

W marcu 1987 r. objął stanowisko wicedyrektora resortowego ośrodka informacji technicznej i ekonomicznej w ministerstwie transportu i gospodarki morskiej. Tutaj pracował do 02.1990. Następnie został zatrudniony w firmie „POLTOS” S.A, na stanowisku pełnomocnika zarządu d/s inwestycji, sprzedaży i obsługi samochodów. I tam pracował do sierpnia 1991 r.

Za udział w uruchomieniu produkcji ciężkiej oczyszczarki tłuczni OT-400 otrzymał w 1972 r. nagrodę ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Został również wyróżniony przez zarząd oddziału wojewódzkiego NOT w Szczecinie za pracę pt. „Taktowo-potokowa naprawa wagonów towarowych z rytmem wymuszającym realizację zadań”.

Za całokształt pracy otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń: Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, Brązowy Medal za Zasługi dla Obronności Kraju, Srebrny Medal Zasługi dla Pożarnictwa, Srebrną i Złotą Odznakę „Przodujący Kolejarz”.

Od stycznia 1994 r. był na emeryturze i oddawał się ulubionym zajęciom – uprawie działki pracowniczej.

Zmarł 22.09.2010 w Warszawie.

brak zdjęcia

**Jerzy Jakub Libuda.**

Ur. 25.07.1930 r. w Warszawie.

Żona: Henryka - ekonomistka.

Syn Dariusz - ur. 1959 r. ukończył pomaturalne studium turystyczne, obecnie mieszka w USA.

Wnuki: Karolina i Patryk

Pseudonim „Czarny”

Od 1952 do 56 r. studiował na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej. Dyplom inżyniera mechanika otrzymał w czerwcu 1956 r.

O swoich losach opowie swoimi słowami.

*„Lata dziecięce obejmujące naukę w podstawówce (okres wojny 1939-45) łącznie z powstaniem warszawskim zaliczam do okresu zielonego, z odcieniem czarnego, o którym nawet pseudonim „Czarny” mówi sam za siebie. Bagaż przeżyć ogromny pogubiony, rozproszony – opowieść długa i na inną okazję.*

*Lata młodzięcze - na dorobku. Dom w Warszawie spalony. Przyjazd do Szczecina w 1946 r., nauka, praca zarobkowa, a może odwrotnie - sporo radości, więcej obowiązków uwiecznionych dyplomem Politechniki Szczecińskiej.*

*Lata dojrzałe z nakazem pracy w jednej dłoni, świadectwem ślubu z drugiej rozpoczynam pracę w Fabryce Motocykli „Junak” w Szczecinie w roku 1956 i pracuję tam przez 10 lat. Później przez 8 lat prowadzę własny biznes. Byłem już „prywatną inicjatywą”, którą zniszczono „domiarami”.*

*Lata bardzo dojrzałe, to okres od 1971 roku, kiedy powróciłem do Warszawy. I znowu wszystko było od początku. Praca na „państwowym” w ośrodku badawczo-rozwojowym techniki medycznej w Warszawie. Pracowałem tutaj do roku 1989. Wiele wynalazków tam opatentowałem. Otrzymałem wiele nagród.*

*Po 36 latach pracy zawodowej (nie licząc pracy na czarno podczas okupacji) i po 20 latach na kierowniczych stanowiskach stale oczekuję wiosny na działce pełnej kolorów i lata. I oczekuję, kiedy nadchodzi czas wakacji i przylatują wnuczęta z końca świata.*

*Czarny”*



### **Franciszek Maziarz.**

Ur. 17.09.1928 r.

Żona Alina - magister pedagogiki specjalnej. Córki: Bożena i Aldona - absolwentki P.S. Wydziału Budownictwa i Architektury. Wnuk Piotr

W 1947 r. rozpoczął edukację zawodową w szkole przysposobienia zawodowego nr 7 w Elblągu. Po dwóch latach nauki otrzymał nakaz pracy do zakładów przemysłu metalowego HCP w Poznaniu. Tutaj został zatrudniony na stanowisku tokarza w fabryce parowozów kolejowych. Po dwóch latach rozpoczął naukę w szkole średniej, a po jej ukończeniu w 1952 rozpoczął studia w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu inżynierskiego, otrzymał nakaz pracy do toruńskiej fabryki kotłów w Toruniu, gdzie rozpoczął pracę, jako technolog. Pracodawca nie wywiązał się z przyrzeczenia przydziału mieszkania, co w tym czasie było nagminne, wobec czego po roku pracy w tej fabryce powraca do Szczecina i podejmuje pracę w szczecińskiej fabryce sprzętu elektrotechnicznego - zakład Nr A27 przy ul. Kwiatowej 1, późniejszej SELFA, na stanowisku kierownika wydziału mechanicznego, który wyposażony był wówczas w bogaty park maszynowy do obróbki wiórowej i tłocznictwa. W dziedzinie tłocznictwa musiał pogłębiać swoją wiedzę korzystając z literatury, a także z codziennej praktyki. W tym czasie nastąpiła odwilż polityczna (1956). Tworzone były nowe struktury społeczne w zakładach pracy. Franciszek został wybrany przez załogę na przewodniczącego rady zakładowej. Funkcję tę pełnił przez okres dwóch kadencji. Na początku lat

60-tych zakład zaczął się mocniej rozwijać. Wprowadzono nowe wyroby – grzejniki elektryczne do ogrzewanie wagonów kolejowych i kilka innych wyrobów opartych na grzejnictwie elektrycznym. Stąd była konieczność dalszego pogłębiania wiedzy na 2-letnim kursie zawodowym w Poznaniu zorganizowanym przez NOT. Po ukończeniu kursu awansował na stanowisko szefa produkcji.

W niedługim czasie ówczesna władza zaproponowała mu objęcie stanowiska kierownika nowo organizowanego w Szczecinie oddziału zakładów wytwórczych aparatury precyzyjnej w Świdnicy. Oddział ten mieścił się przy ul. Podgórznej. Od 1964 r., tj. od chwili podjęcia się roli kierowania tym oddziałem usilnie starał się o zmianę jego lokalizacji, czyli wybudowania nowoczesnego zakładu i stworzenie dobrych warunków do rozwoju tej działalności.

Po dwóch latach dramatycznych negocjacji udało się uzyskać teren przy ul. Bohaterów Warszawy 42. W tym czasie zakłady świdnickie przekazały swój oddział w Szczecinie zjednoczonym zakładom elektrycznej aparatury pomiarowej ELPO w Warszawie.

Nowy właściciel postawił warunek wycofania dotychczasowej produkcji i wprowadzenie swojej, opartej o elektronikę dla potrzeb techniki pomiarowej. Środki na budowę i wyposażenie nowego zakładu przekazało zjednoczenie przemysłu automatyki i aparatury pomiarowej MERA w Warszawie.

Rozpoczął się okres wyęźnionej pracy, polegającej na „upłynnieniu” dotychczasowej produkcji i zastąpieniu jej nowymi wyrobami, znacznie trudniejszymi, a także na załatwianiu ogromu spraw dotyczących budowy nowego zakładu. Jest to okres bardzo trudny do prowadzenia prac inwestycyjnych, ponieważ oparty był na rozdzielnictwie. Przy udziale chimerycznego wykonawcy i często przy apodyktycznym zwierzchnictwie w W-wie nieumiejącym

zrozumieć warunków lokalnych, dochodzi do różnych nieporozumień dyrektora oddziału z jednostką nadrzędną.

Po czterech latach znoej pracy i nierównej walce postanowił ustąpić ze stanowiska dyrektora oddziału i przeniósł się do Stoczni im. Adolfa Warskiego.

W Stoczni w samodzielnym wydziale mechanicznym rozpoczął pracę na stanowisku technologa. Po przepracowaniu roku powołano go na kierownika oddziału obróbki skrawaniem w Stoczni. W niedługim czasie wprowadził pełne wykorzystanie maszyn obróbczych na wydziale. Dzięki temu zabezpieczył wszystkie potrzeby produkcyjne Stoczni i mógł wykonywać prace zlecane z zewnątrz.

Po roku awansował na stanowisko kierownika samodzielnego wydziału mechanizmów okrętowych. Wprowadził zmiany organizacyjne, pozwalające wykonywać produkcję części okrętowych i mechanizmów okrętowych na eksport. Na tym stanowisku przepracował 18 lat.

W dowód uznania dyrekcja Stoczni umożliwiła mu wypłynięcie na jednoroczny rejs gwarancyjny na statku zbudowanym w Stoczni im. Warskiego. Statek ten był promem „Konstantin Czernienko”, którego macierzystym portem był port w Władywostoku. Prom pływał wówczas, jako statek pasażersko - turystyczny, pomiędzy Władywostokiem i portami japońskimi, i spisywał się bardzo dobrze, ku zadowoleniu armatora, turystów oraz załogi gwarancyjnej. Wyprawa pozwoliła Franciszkowi na swobodne zwiedzanie Kraju Kwitnącej Wiśni.

Po powrocie z rejsów w roku 1988, zakończył pracę zawodową i odszedł na emeryturę.

Za pracę zawodową i społeczną otrzymał wyróżnienia i odznaczenia: Srebrny Gryf Pomorski, Gryf Pomorski, Złoty Krzyż Zasługi, Medal 40-lecia PRL, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia.

Uwaga! Po wybudowanym przez Franciszka zakładzie pod nazwą MERATRONIK nie pozostał ślad na ziemi. „Nowe” pobudowało na tym miejscu Galerię Handlową.



**Józef Mijał.** Urodzony 20.10.1928 w Pilźnie.

Żona Władysława, pracownik NBP w Sanoku.

Syn Witold - absolwent Politechniki Warszawskiej Wydział Inżynierii Chemicznej i Lotniczej o specjalności aparatura. Pracuje w tarnowskich „Azotach”.

Od 1944 do 1947 r. samodzielnie prowadził zakład ślusarsko - blacharski. Ówczesne prawo nie pozwalało jednak na dalszą działalność. Wyjechał do szkoły przemysłowej Huty Łabędy.

W lipcu 1948 otrzymał nakaz pracy do zakładów wyrobów ogniotrwałych w Żarowie k/Świdnicy. Tam pracował do września 1949 r. Następnie udał się na uniwersyteckie studia przygotowawcze do Wrocławiu. W 1951 rozpoczął studia w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Zapalenie stawów było powodem przerwania studiów po trzech miesiącach. Ponownie wystartował w 1952 na Wydziale Budowy Maszyn. Studia ukończył w 1956. Wraz z dyplomem inżyniera mechanika, otrzymał nakaz pracy do zakładu porcelany technicznej w Boguchwale k/Rzeszowa. Tam został zatrudniony na stanowisku starszego mechanika, gdzie zetknął się z zagadnieniami, które odbiegały od wyuczonego kierunku. Jednak nabyta wiedza w szczecińskiej uczelni pozwoliła pokonywać wszelkie trudności w dziedzinie organizacji służb remontowych, oraz we

wprowadzaniu systemów remontowych. W drodze awansu, w 1958 został oddelegowany do przejścia warsztatów POM w Sanoku, z poleceniem przebudowy tychże na „zakłady produkcji steatytów”. Rozbudowa nie doszła do skutku z winy kontrahenta zachodnio-niemieckiego. Był to okres zimnej wojny. Z konieczności nastąpiła zmiana profilu produkcji, która polegała na remontach maszyn rolniczych i produkcji części, w ramach kooperacji dla przyczep do autobusów AUTOSAN.

W 1960 roku został zatrudniony w filii produkcyjnej autobusów „Autosan” na stanowisku kierownika wydziału remontowego. Tutaj pracował na stanowisku zastępcy kierownika SOWI (samodzielnego oddziału wykonawstwa inwestycyjnego). Wkrótce był kierownikiem tego wydziału. Pogarszający się stan zdrowia zmusił go (w 1981) do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

Do największych osiągnięć zaliczył: wybudowanie nowej fabryki produkcji przyczep, modernizację starej tłoczni, wykonanie i montaż linii produkcyjnych przyczep na transporterach podwieszanych, montaż i uruchomienie nowych maszyn i urządzeń w fabryce AUTOSAN.

Uzyskał uprawnienia budowlane na wykonawstwo robót inwestycyjnych, na nadzór i projektowanie budów.

W pierwszych latach emerytury nadal pracował dodatkowo. Projektował, nadzorował wykonawstwo, trudnił się doradztwem, a także szkolił w ośrodku kształcenia zawodowego adeptów sztuki technicznej.

Za zasługi był wyróżniony Srebrną i Złotą Odznaką Związków Zawodowych i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Obecnie jest na emeryturze. Ze zdrowiem jest różnie. Jediną radością są wnukowie, którzy dziadkowi przysparzają wiele trosk, ale są kochane i dają wiele radości w życiu.





**Stanisław Neuman.**

Urodzony 04.03.1933 r. w

Inowrocławiu.

Żona: Zofia - lekarz

Syn Grzegorz ur. 1962 - absolwent  
Wydziału Prawa Uniwersytetu  
Gdańskiego.

Córka Iwona Zofia ur. 1965 -  
absolwentka Politechniki  
Szczecińskiej - Wydział  
Architektury.

Absolwent Politechniki Szczecińskiej - Wydział Budowy  
Maszyn. Członek Chóru Akademickiego Politechniki  
Szczecińskiej.

Tekst oparty o napisany przez Stanisława życiorys.

Od 1936 r. dzieciństwo, jak i pierwszy okres młodości, do  
matury, spędził w Zduńskiej Woli w ówczesnym województwie  
łódzkim. Egzaminy wstępne na studia wyższe zdawał na  
Politechnikę Łódzką - Wydział Mechaniczny.  
Z uwagi na brak miejsc skierowany został do ówczesnej Szkoły  
Inżynierskiej w Szczecinie. Pamiętam, jak dziś – wspominał -  
moment przyjazdu do tego miasta "dzikiego zachodu". Okres  
szczeciński zaczął się w godzinach porannych pieszą wędrówką  
z ciężką walizką, i chyba plecakiem, trasą dość długą: przez  
Bramę Portową, ulicą Wojska Polskiego, al. Piastów, do  
głównego budynku naszej Alma Mater.

*„Tak zaczął się okres studiów, pełen epizodów wesołych,  
humorystycznych i smutnych, pełnych napięć oraz stresów.*

*Studia kończyliśmy wspólnie ze śp. inż. Kazimierzem Spalińskim, pracą dyplomową w katedrze Maszyn i Urządzeń Energetycznych - u profesora Józefa Tatara. Tematem pracy dyplomowej była turbina Francis'a z zadanymi warunkami eksploatacyjnymi. W tym czasie w Polsce były „wypadki poznańskie i szczecińskie”. My natomiast intensywnie pracowaliśmy nad projektem. O wydarzeniach politycznych w Polsce dowiadaliśmy się dopiero wieczorem po powrocie z pracowni projektowej do akademika*

*Po egzaminie dyplomowym w roku 1957, zakończył się dla nas ważny etap w życiu i trzeba było podjąć decyzję, co dalej w ówczesnej rzeczywistości. W moim przypadku decyzja była jedyna: pozostaję w Szczecinie. A, jak to było? - poniżej chronologicznie:*

*Wrzesień 1957 do styczeń 1960 r. zakład remontowo - montażowy przemysłu mleczarskiego. Trafiliśmy tam razem z moim kolegą inżynierem Bronisławem Słęgą. Zaczęliśmy od uruchomienia produkcji prototypowej urządzeń dla przemysłu mleczarskiego. Były to zbiorniki duże (tzw. tanki) stacjonarne, izotermiczne, czyli kontenery do transportu mleka, następnie bębnowe pasteryzatory mleka i inne. Trzeba przyznać, że nieraz brakowało nam wiedzy teoretycznej z tej dziedziny, a także praktyki, ale... dzięki młodzieńczej energii i zaangażowaniu, zdobywało się to doświadczenie szybko. Tak dla potrzeb produkcji jak i dla siebie. Nie wszystko się udawało i szło – jak to mówią, po prostej drodze. Wprowadzanie w zakładzie remontowym nowej organizacji produkcji wyrobów finalnych rozbijało się o "wszechwładną wiedzę" dyrektora. Była oparta na "większym doświadczeniu" (chyba partyjnym) w organizowaniu i zarządzaniu przedsiębiorstwem produkcyjnym. Moja wiedza poparta była energią, zapalem i dyplomem Politechniki Szczecińskiej i nie mogła konkurować z wiedzą dyrektora. Było to pierwsze i nie jedyne - jak się okazało - doświadczenie życiowe ówczesnych czasów. To, że jednak*

*daliśmy z kolegą Bronisławem dobre podstawy produkcji tej fabryce, świadczy fakt wieloletniej działalności w zakresie aparatury mleczarskiej.*

*W roku 1959 ożeniłem się z dziewczyną mego serca (medyczką), którą poznałem jeszcze w czasie studiów.*

*W okresie styczeń 1960 r. do listopada 1962 pracowałem w szczecińskich zakładach materiałów biurowych na stanowisku kierownika wydziału produkcji metalowej. Był to okres, w którym intensywnie starałem się zdobyć mieszkanie. Starania te zakończyły się powodzeniem. W zakładach metalowych nie widziałem perspektyw rozwoju zawodowego i finansowego, wobec czego postanowiłem zmienić miejsce pracy.*

*Od lutego 1963 r. do sierpnia 1969 r. podjąłem pracę w pracowni konstrukcyjno - technologicznej przemysłu terenowego w charakterze zastępcy kierownika pracowni. Pracownia ta została przemianowana później na wojewódzkie biuro opracowań techniczno-ekonomicznych drobnej wytwórczości. Dyrektorem biura został mianowany kolega ze studiów, inż. Bohdan Tomaszewski. Mnie powołał na swego zastępcę, czyli głównego specjalistę. Staraliśmy się uaktywnić zakłady przemysłu terenowego w województwie szczecińskim, rozbudowując działy konstrukcyjno - technologiczne, ekonomiczne i budowlane w tych zakładach. Wprowadziliśmy prace projektowe (konstrukcyjne) jednostek pływających (jachtów), a także wprowadziliśmy opracowania technologiczne, dla szczecińskiej stoczni jachtowej. W tamtym okresie powstawały piękne "monografie małych miasteczek" naszego województwa dotyczące ich aktywizacji, gorzej było z rozwojem przemysłu, który wymagał aktywności lokalnych. W sierpniu 1969 r. zostałem odwołany z zajmowanego stanowiska.*

*Od września 1969 do grudnia 1972 pracowałem w OBR maszyn budowlanych (dźwigów budowlanych), jako starszy konstruktor, a później, jako kierownik sekcji technologicznej. W tym czasie,*

wspólnie z kolegą opracowaliśmy nowoczesny wyciąg budowlany w oparciu o nasz patent N°77401 pt.: "urządzenie do montażu i demontażu masztów pionowych". Wyciąg prezentowany był na Targach Poznańskich, gdzie zyskał uznanie oraz wiele zapytań o możliwość zakupu. Z naszych doświadczeń wiemy, jak bardzo trudno wtedy było urealniać projekty w produkt seryjny.

Od 01.12.1972 po rozwiązaniu OBR maszyn budowlanych podjąłem pracę w biurze projektowo-badawczym budownictwa ogólnego MIASTOPROJEKT na stanowisku projektanta technologii fabryk domów oraz ich wyposażenia. Współpracowałem w zrealizowanej od podstaw fabryce domów w Chociwlu. Tak pod względem technologicznym, jak i wyposażenia oraz oprzyrządowania. Prowadziłem ostateczny rozruch technologiczny linii produkcyjnych. Projektowałem oprzyrządowanie i wyposażenie do produkcji wielkiej płyty, tzw. "systemu szczecińskiego" oraz prowadziłem nadzór technologiczny w fabryce domów – SPBO3. Byłem współprojektantem w projektowaniu fabryki domów jednorodzinnych w Strachocinie, pod Stargardem Szczecińskim. Inwestycja nie została zrealizowana.

W 1990 roku MIASTOPROJEKT delegował mnie, w ramach kontraktu do EXBUD- Kielce, do rozbudowy i modernizacji międzynarodowego lotniska w Pradze (Czechy).

Wracając do okresu mojej pracy przy "wielkiej płycie", która i wtedy budziła wiele kontrowersji, a w której przyszło nam niekiedy mieszkać, była i na pewno będzie przeklinana, a jednak dała możliwość stabilizacji oraz podstawy tworzenia domów rodzinnych. Pracowałem w tym biurze 20 lat, aż do zmian ustrojowych i żałuję, że nie zaczęły się one w okresie, gdy byłem młody, pełen energii i zapału.

Napięcia, stresy, konieczność tłumienia niekiedy w sobie własnego zdania itd. spowodowały ubytek zdrowia, zakończony

*stanem zawałowym i operacją serca (by - passy) oraz rentą inwalidzką.*

*Kiedy patrzę wstecz, przeglądając zdjęcia z okresu studenckiego, zastanawiam się nad tym, jak szybko potoczyło się życie po ukończeniu naszej kochanej Alma Mater? Dochodzę do wniosku, że z pewnością nie zrealizowałem wszystkich marzeń i pomysłów.*

*Co do jednego jestem pewny. Wspólnie z żoną Zofią daliśmy naszym dzieciom i wnukom dobre podstawy do kucia swoich, osobistych losów w innym świecie.”*

Stanisław zmarł w Szczecinie 6.11.2017, kilka tygodni po śmierci swojej żony Zofii. Pochowany został obok żony na cmentarzu komunalnym w Mierzynie k/Szczecina.

**Staszek, wysoki, o wspaniałym poczuciu humoru, lekko się zaciął, ale kiedy chciał robił to wyśmienicie.**

**Bywało, że „podpadaliśmy na wojsku” wtedy do meldowania wysyłaliśmy Staszka, bo miał „gadane”.**

**I Staszek meldował: – Oooooobywatelu Pooooorucznnniku. I wtedy najczęściej słyszał: – A idźcie w jasną cholere!**

**I o to nam chodziło.**



### **Roman Niemczyk.**

Urodzony 26.07.1932 r. w

Karbowie k/Brodnicy.

Żona Barbara. Córki: Iwona –  
absolwentka U.S. Wydział Prawa i  
Administracji, Anita – absolwentka  
Politechnik Szczecińskiej.

Wnuki: Karolina, Jerzy, Bartek,  
Paweł, Balbina

Studia rozpoczął w 1952 w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn i kończył PS w 1956 r., uzyskując dyplom inżyniera mechanika. Pracę rozpoczął w tym samym roku w poznańskim biurze dozoru - Inspektorat Kotłowy w Szczecinie w charakterze inspektora d/s kotłowych. Po reorganizacji biuro przyjęło nazwę Urząd Dozoru Technicznego - Inspektorat Dozoru Technicznego w Szczecinie. W latach 1960 do 1970, równoległe z pracą zawodową, rozpoczął działalność społeczną w Stowarzyszeniu Inżynierów Mechaników Polskich, pełniąc różne funkcje: członek zarządu oddziału SIMP, vice przewodniczący oddziału SIMP d/s rzeczoznawstwa. Wielokrotnie był delegatem na walne zjazdy SIMP oraz na kongres Techników Polskich w Poznaniu. W 1966 r. został wpisany na listę rzeczoznawców zespołu, otrzymując następnie tytuł „Rzeczoznawca SIMP” w specjalnościach naczyń ciśnieniowe i spawalnictwo.

W latach 1977 - 1983 okresowo przebywał w Anglii, Francji i Japonii, jako inspektor w ramach działalności UDT, wykonując różne prace odbiorcze dla polskiego przemysłu (Włocławek - PCW, Z. Ch. „Police”, program AF, a także Stalexport). Następnie w Kanadzie i wielokrotnie w Niemczech. W roku 1978 decyzją Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych jest powołany w skład sztabu d/s

realizacji i rekonstrukcji zakładów celulozowych w Kostrzynie nad Odrą.

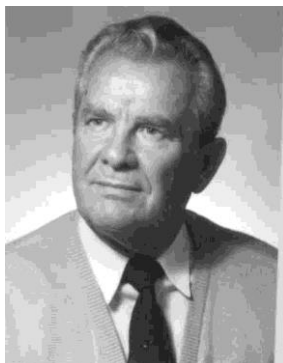
Od 1967 r. był naczelnikiem Wydziału Urządzeń Ciśnieniowych.

Roman twierdzi, że Politechnika Szczecińska dała mu dostatecznie dużą wiedzę, która pozwalała rozwiązywać wiele problemów w dziedzinie naczyń ciśnieniowych i spawalnictwa. Jest dumny z tego, że ukończył właśnie tę uczelnię. Stwierdzenie to nie jest przypadkowe, czy grzecznościowe. Pracując za granicą w konfrontacji z kolegami z innych politechnik często bardziej renomowanych nie musiał się wstydić wiedzy otrzymanej w Szczecińskiej Uczelni.

Za zasługi w pracy zawodowej i społecznej otrzymał cały szereg nagród, wyróżnień i odznaczeń stowarzyszeniowych, regionalnych i państwowych łącznie z Krzyżem Kawalerskim. W dorobku zawodowym, poza tytułem rzeczoznawcy tytularnego posiada 4 wnioski racjonalizatorskie z dziedziny kotłów parowych. Za jeden z tych wniosków otrzymał nagrodę ministra górnictwa i energetyki (dotyczy przebudowy kotła parowego OP-650 eksploatowanego w elektrowni „Dolna Odra”).

Już jako emeryt pracował, nadal kierując zespołem rzeczoznawców. Brał czynny udział w komisjach kwalifikacyjnych dozoru i obsługi urządzeń energetycznych. W zakładach chemicznych POLICE był doradcą ds. oceny technicznej urządzeń zainstalowanych w linii technologicznej MOCZNICA.

Romek zmarł nagle 1 lipca 2018 roku i jest pochowany na CC w Szczecinie



**Roman Nowosad.** Ur. 10.04.1932 r.  
w Dorohusku.

Żona Krystyna – mgr ekonomii PS  
Wydział Inżynieryjno-Ekonomiczny.  
Pracowała w towarzystwie  
ubezpieczeniowym „Warta” S.A. na  
stanowisku naczelnika wydziału  
ubezpieczeń morskich.

Córka Beata mgr inż. absolwentka  
Wydziału Mechanicznego PS.

Wnuki: Łukasz i Sandra

Dyplom inż. mechanika o specjalności maszyny i urządzenia energetyczne uzyskał w czerwcu 1956 r. Pracę zawodową (jeszcze z nakazu pracy) rozpoczął 1.09.1956 r. w Poznańskim Biurze Dozoru Technicznego – Inspektorat Dozoru Technicznego w Szczecinie w charakterze inspektora ds. kotłowo-zbiornikowych.

Cały czas pracował w tym samym przedsiębiorstwie, które po reorganizacji przyjęło nazwę Urząd Dozoru Technicznego – Inspektorat Dozoru Technicznego w Szczecinie, w charakterze st. specjalisty ds. urządzeń ciśnieniowych.

W miarę zdobytych doświadczeń z ramienia UDT powierzono mu nadzór nad budową i dopuszczeniem do eksploatacji urządzeń ciśnieniowych w elektrowni DOLNA ODRA w Nowym Czarnowie, a po jej uruchomieniu przez cały czas zajmował się oceną techniczną technologią remontów i dopuszczaniem urządzeń do eksploatacji.

Zdobyte doświadczenia zaowocowały kilkoma wnioskami racjonalizatorskimi związanymi z modernizacją kotłów i sieci ciepłych. Za modernizację kotła parowego OP-650 w elektrowni DOLNA ODRA otrzymał nagrodę zespołową ministra górnictwa i energetyki. W ramach działalności UDT kilkanaście razy oddelegowany był za granicę m. in. do



Niemiec, Holandii, Austrii, Czech i Słowacji w celu dokonywania odbiorów urządzeń ciśnieniowych sprowadzanych do Polski. Uczestniczył w komisjach dopuszczających zagranicznych wytwórców produkujących urządzenia ciśnieniowe na import do Polski.

Za zasługi w pracy zawodowej i społecznej otrzymał szereg nagród, wyróżnień i odznaczeń stowarzyszeniowych, regionalnych, resortowych i państwowych, łącznie ze Złotym Krzyżem Zasługi.

Równoległe z pracą zawodową działał społecznie w SIMP, pełniąc w zarządzie wojewódzkim szereg funkcji. Wielokrotnie był delegatem na walne zjazdy SIMP oraz na kongres techników polskich w Warszawie. Od 1964 r. jest rzeczoznawcą w specjalności kotły i zbiorniki ciśnieniowe oraz spawalnictwo. Od maja 1998 r. przebywa na zasłużonej emeryturze. Przewodniczy (w miarę potrzeb) w pracach komisji kwalifikacyjnej powołanej przez urząd regulacji energetyki w Warszawie, egzaminując osoby pragnące mieć uprawnienia energetyczne gr. I, II, lub III.

Jego hobby to motoryzacja, turystyka oraz odpoczynek na łonie natury.

**Gazetki ścienne służyły do uświadamiania „ciemnej” masy studenckiej (takiej po maturze). Na każdym piętrze akademika taka wisiała. Najczęściej z wielką, krzyczącą nazwą: GŁOS PIĘTRA. Romanowie: Niemczyk i Nowosad zaczęli lansować gazetkę GŁOS POKOJU. Schodziły się do ich pokoju całe wycieczki, aby podziwiać pomysł. Ale zaraz gazetki znikły. I to nie tylko z pięter, ale i z terenu osiedla.**



**Ryszard Ochwat.** Ur. 17.07.1929 r.  
w Lidzie.

Żona: Maria - inż. rolnik, obecnie na emeryturze.

Dzieci: córka - Joanna, ur. 1956 r.  
mgr inż. architekt, absolwentka  
Politechniki Szczecińskiej;

syn - Ryszard, ur. 1958 r. mgr inż.  
mechanik, absolwent P.S.

Wydział Budowy Maszyn.

Po powrocie z internowania w ZSRR, gdzie trafił, jako żołnierz batalionu AK, w roku 1949 kończył Państwową Szkołę Morską w Gdyni - Wydział Mechaniczny. Po roku służby w Marynarce Wojennej i dwóch latach pływania w załogach PLO rozpoczął studia (w 1952) w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn. Dyplom ukończenia studiów i stopień mgr inż. mechanika uzyskał w 1957 r.

Pracę zawodową wybrał w gospodarce morskiej. Najpierw pracował w stoczni szczecińskiej.

W 1958 r. przeszedł do PŻM w Szczecinie i tutaj pracował, jako oficer - mechanik okrętowy. Mając doświadczenie morskie i wyższe wykształcenie, od 1960 r. rozpoczął pracę w polskim rejestrze statków (PRS). Po dziesięciu latach pracy, czyli w 1970 roku awansował na kierownikiem szczecińskiej placówki (PRS). Praca polegała na nadzorze kwalifikacyjnym budowy statków w stoczniach polskich i zagranicznych, a także na przeglądach eksploatacyjnych statków. Od 1972 do 1974 r. prowadził wykłady z przedmiotu: „Mechanizmy pomocnicze - okrętowe” na kierunku okrętowym w Politechnice Szczecińskiej.

W latach 1974-75 był kierownikiem jednoosobowej placówki PRS-HAMBURG, nadzorującej budowę tankowców dla PŻM

Szczecin, a także statków uniwersalnych dla polsko-chińskiego towarzystwa okrętowego. By nie wyjść z wprawy w rzemiośle marynarskim, a jednocześnie „mieć pokład pod nogami”, od czasu do czasu pływał, jako oficer- mechanik na statkach polskich i zagranicznych.

W ten sposób uzyskał najwyższy stopień w tym zawodzie, czyli stopień - oficer mechanik I klasy.

Przez kolejne dwa lata pracował również w Lloyd's Register of Shipping - jako inspektor.

Już od 1962 r. był ekspertem polskiej izby handlu zagranicznego (PIHZ) i wykonywał ekspertyzy z zakresu awarii statków i urządzeń okrętowych. Obecnie jest wiceprezesem stowarzyszenia ekspertów morskich.

Działając w imieniu towarzystw ubezpieczeniowych lub armatorów opracował kilkaset ekspertyz dotyczących wypadków morskich w tym np. ekspertyzę przyczyny zatonięcia ms „Jan Heweliusz”.

Przez wiele lat pracował społecznie. Długi czas był ławnikiem izby morskiej w Szczecinie.

Pracował w światowym związku żołnierzy AK i pełni funkcję zastępcy członka urzędu wojewódzkiego w Szczecinie.

Posiada wyróżnienia i odznaczenia: Złotą Odznakę „Zasłużony Pracownik Morza”; Odznakę - „Gryf Pomorski”; Srebrny Krzyż Zasługi; Krzyż Partyzancki; Krzyż Armii Krajowej.

Od stycznia 1991 r. jest na emeryturze i bierze czynny udział w różnych spotkaniach i zjazdach byłych żołnierzy swojego batalionu AK. Spotyka się z kolegami, z którymi był internowany w ZSRR, kolegami - absolwentami Szkoły Morskiej w Gdyni. Teraz dopiero wie, że czasu jest zawsze zbyt mało. I jakby mniej niż przedtem?

Więcej o Ryśku na stronie [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) –Blogi – „Rysiek Ochwat i jego życie”



### **Zygmunt Ossowski.**

Ur. 1.10.1930 r. w Gołąbkach -  
pow. Ciechanów.

Żona- Bożena.

Dzieci: syn Marek, absolwent  
Akademii Rolniczej w Szczecinie -  
tragicznie zginął w 1994 r.

Córka Ewa

Wnuki: Kuba, Magdalena, Agata.

Zaraz po wojnie uczęszczał do Gimnazjum im. Z. Krasieńskiego w Ciechanowie. Jednak żadny przygody i pociągany przygodami morskimi, już w 1950 roku był w Gdyni w szkole Jungów. Następnie rozpoczął edukację w państwowej szkole morskiej w Gdyni. Po jej ukończeniu otrzymał dyplom i tytuł technik mechanik morski. Wraz z dużą grupą kolegów (nie mogąc studiować w Politechnice Gdańskiej) - rozpoczął studia w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie na Wydziale Budowy Maszyn (1952 r.) Dyplom mgr inż. otrzymał już w Politechnice Szczecińskiej w 1957 r.

Ożenił się i rozpoczął pracę w stoczni szczecińskiej w bazie zdawczej statków w charakterze asystenta mechanika. W niedługim czasie został przeniesiony do dyrekcji kooperacji i zaopatrzenia stoczni. W tym miejscu rozpoczął pracę od stanowiska specjalisty d/s silników okrętowych. Następnie był szefem kooperacji. Niedługo awansował na zastępcę dyrektora stoczni d/s kooperacji i zaopatrzenia. Funkcję tę pełnił nieprzerwanie przez 22 lata.

W tym czasie pracował społecznie w SIMP i NOT. Brał udział w różnych inicjatywach współpracy przemysłu z wyższymi uczelniami i instytucjami. Był wieloletnim dziekanem dyrektorów zakładów przemysłowych Szczecina i województwa szczecińskiego.

Jako zapalony myśliwy, był twórcą koła łowieckiego i jego wieloletnim prezesem. Myśliwi go bardzo lubili i darzyli wielkim zaufaniem. Wybierany był również do władz wojewódzkich i centralnych. Od wielu lat pełnił funkcję prezesa wojewódzkiej rady łowieckiej (WRŁ) w Szczecinie PZŁ. Był członkiem naczelnej rady łowieckiej (NRŁ), nieprzerwanie pracując w Stoczni im. A. Warskiego. Przez okres 34 lat pracy w stoczni miał możliwość podróżowania po świecie i zapoznawania się z przemysłem budowy statków w różnych państwach.

W 1982 roku otrzymał nagrodę ministra nauki szkolnictwa wyższego i techniki, za udział w realizacji pracy pt. „Koncepcja, projektowanie konstrukcji i technologii oraz przygotowanie i uruchomienie produkcji statków naukowo-badawczych typ B-86”.

W 1983 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W kwietniu 1988 r. został wyróżniony odznaczeniem: „Zasłużony dla Pomorza Zachodniego”.

W 1991 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł 05.03.2017 w Resku. Pochowany jest na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

**Zygmunt nigdy nie rozstawał się z gitarą. Ona towarzyszyła mu szczególnie na obozach wojskowych. Nie było takiego dnia, aby „Zyga” nie grał nam naszych ulubionych szlagierów. Najczęściej grał, a myśmy śpiewali „Białą mewę”, piosenkę tak piękną i tęskną, a jednocześnie, nad morzem nam bardzo bliską.**

*brak zdjęcia*

**Władysław Pichet. \*)**

Żona Janina - nauczycielka.

Córki: Widetta - studentka  
germanistyki na Uniwersytecie  
Poznańskim,  
Monika - uczennica LO.

Dyplom inżyniera mechanika otrzymał w 1956 r. na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej. Pierwszego września 1956 roku, na podstawie nakazu pracy, został zatrudniony w poznańskiej fabryce maszyn żniwnych na stanowisku technologa.

W roku 1958 przeniósł się do Zielonej Góry do biura konstrukcyjno-technologicznego przemysłu terenowego. Tam pracował, jako konstruktor, konstruując różnorakie urządzenia i oprzyrządowania.

Praca w tym miejscu – jak twierdził - była tak różnorodna, że był nią wyraźnie zafascynowany. Przynosiła mu nie tylko satysfakcję, ale zdobywał duże doświadczenie oraz tak zwane „obyście” konstruktorskie, czyli szlify inżynierskie. Wspominał, że pracując w Zielonej Górze najbardziej wykorzystywał, zdobytą na uczelni, wiedzę z zakresu mechaniki teoretycznej i wytrzymałości materiałów. W tych przedmiotach był solidnie przygotowany przez profesora Kamila Wendekera. W tym okresie był współautorem wynalazku pt. „Półautomat do grzewania siatek drucianych” (nr patentu 55047).

W 1966 r. otrzymał mieszkanie w Ostrowie Wlkp i dlatego przeniósł się do Ostrowa do zakładów sprzętu mechanicznego. Tutaj pracował na stanowiskach: konstruktora, zastępcy głównego konstruktora, kierownika sekcji w dziale

konstrukcyjno - badawczym. Zajmował się zmianami konstrukcyjnymi i niektórymi uruchomieniami. Zakłady mechaniczne były głównym polskim wytwórcą chłodziw wody, grzejników i nagrzewnic do samochodów i ciągników rolniczych i były zrzeszone w przemyśle ciągnikowym Ursus. Władysław nie należał do partii. Za czynny udział w ruchu solidarnościowym (po 30-tu latach pracy) w czerwcu 1986 r. przełożony wnioskował o zwolnienie go z pracy w dziale konstrukcyjnym, a tym samym z ZSM Ostrów.

\*) *Dane z 6.09.1986 r.*

Zmarł. Brak bliższych informacji o śmierci. Prawdopodobnie jest pochowany w Ostrowie Wielkopolskim

– **Panie Pichet – pytał nieraz Władysława profesor Wendeker, wpisując stopień do indeksu – Dlaczego ma pan takie francowate nazwisko?**



**Jan Popielski.** Ur. 15.02.1934 roku  
w malowniczej wiosce Ziemi  
Zakrzańskiej.  
Żona - Mirosława - pracownik  
Politechniki Warszawskiej - filii w  
Płocku.  
Córka - Izabela.  
Wnuczka - Karolina.

Po zdaniu egzaminów wstępnych w 1952 r. został przyjęty w poczet studentów Wydziału Budowy Maszyn P.S. W czerwcu 1956 r. otrzymał dyplom inżyniera mechanika. W tym samym roku pierwszą pracę zawodową rozpoczął w przedsiębiorstwie remontowo - montażowym przemysłu papierniczego w Krapkowicach i w krótkim okresie czasu awansował na stanowisko kierownika robót, a następnie kierownika budowy.

Zafascynowany wielką budową Petrochemii w Płocku, z pewnym dorobkiem wiedzy teoretycznej i doświadczeniem praktycznym, rozpoczął pracę w mazowieckich zakładach rafineryjnych i petrochemicznych na stanowisku starszego inspektora nadzoru. Tutaj, na tej wielkiej budowie i podczas wielu wyjazdów zagranicznych, miał możliwość zetknięcia się z nowoczesną techniką na poziomie światowym, wytwarzaną przez koncerny japońskie, amerykańskie i europejskie. Po uruchomieniu kolejnych instalacji rafineryjnych został zatrudniony w przedsiębiorstwie budownictwa przemysłowego PETROBUDOWA. Na stanowisku kierownika działu programowania i koordynacji, w randze głównego specjalisty, prowadził koordynację robót na wielu liczących się wówczas placach budowy w Polsce.



W wieku 39 lat został powołany na stanowisko dyrektora w przedsiębiorstwie remontowo - montażowym NAFTOREMONT w Płocku. Kilkuletnia praca na tym stanowisku pozwoliła rozwinąć dynamicznie kierowane przez siebie przedsiębiorstwo. Powrócił z resortu chemii do budownictwa i objął stanowisko dyrektora w płockim przedsiębiorstwie instalacji przemysłowych INSTAL-PŁOCK. W latach 1976-80 przedsiębiorstwo kilkakrotnie powiększyło swój majątek. Dyrektor wprowadził nowoczesne metody zarządzania z wykorzystaniem techniki komputerowej. Przedsiębiorstwo w tym czasie prowadziło roboty na wielkich budowach: w PETOCHEMII-PŁOCK – destylacje, reformingi, wytwórnia butadienu, wytwórnie tlenu i azotu, wytwórnie olefin, instalacje komponowania olejów, alkilacja izobutanu, wytwórnia folii polietylenowej, hydrokraking, instalacje odzysku wodoru i wiele innych. Nadzorował prace prowadzone w HUCIE-KATOWICE, ZM „Ursus”, w cukrowni Głinojeck, zakładach farmaceutycznych w Kutnie, w zakładach podzespołów radiowych MIFLEX w Kutnie, PLL LOT - centrum kontroli ruchu lotniczego w Warszawie. A poza granicami kraju, Przedsiębiorstwo kierowane przez Jana prowadziło roboty na budowach w Niemczech, Austrii, Iraku, Egipcie, Czechosłowacji, Węgrzech, ZSRR (zakłady elektromechaniczne, ciepłownia we Lwowie, kompleks uczelniano-eksperymentalny, zakłady elektromechaniczne w Kijowie, szklarnie w Kobryniu.

Lata 1981-1991- jak wiemy- to okres transformacji ustrojowej i gospodarczej w Polsce. Odczuł Jan to w szczególności sposób. Przystąpił do dostosowania firmy do nowych warunków ekonomicznych i rynku kapitałowego. Przeprowadził w tym okresie restrukturyzację firmy. W roku 1992, firma przekształciła się w jednoosobową spółkę skarbu państwa. W 1996 r. nastąpiła prywatyzacja przy udziale inwestora strategicznego. Firma istnieje pod nazwą BUDIMEX -INSTAL

- Płock S.A. i legitymuje się certyfikatem DIN EN ISO 9002 (1994) i PN ISO 9002 (1996) nadanym przez firmę TÜV MANAGEMENT SERVICE GmbH. Posiada dobre perspektywy działalności w kraju i za granicą, a tym samym gwarancję rozwoju.

Przez ten okres był najpierw dyrektorem firmy, a następnie jej prezesem. Aby to osiągnąć, musiał się doksztalać. Zdobył uprawnienia budowlane, energetyczne, a także odpowiednią wiedzę z zakresu kierowania i zarządzania firmą w warunkach gospodarki rynkowej.

Przez cały okres pracy zawodowej pracował społecznie, pełniąc szereg funkcji: przewodniczącego komisji ekonomicznej, prezesa wojewódzkiego towarzystwa kultury fizycznej w Płocku, przewodniczącego rady dyrektorów płockich przedsiębiorstw, dziekana dyrektorów i prezesów przedsiębiorstw w Płocku, członka komitetu doradczego wojewody płockiego. Za pracę zawodową i społeczną był wyróżniany wieloma odznaczeniami państwowymi, resortowymi, wojewódzkimi i innymi. Dla przykładu niektóre z nich: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny i Złoty Krzyże Zasługi, Medale 30 i 40-lecia PRL, Srebrna i Złota Odznaki „Zasłużony dla BiPMB”, Złote Odznaki: „Zasłużony w Rozwoju Woj. Katowickiego”, „Za Zasługi w Pracy Związkowej i Zawodowej”, Srebrna Odznaka „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, Medal Komisji Edukacji Narodowej, wiele odznaczeń honorowych, medali pamiątkowych, wpisów do księgi zasłużonych, szczególnie dla miasta Płocka.

Zmarł 7.06.1999 r. w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Płocku i został pochowany na Cmentarzu Zabytkowym przy al. Kobylińskiego w Płocku.



**Jan Praczyk.** Ur. 13.07.1931 roku w Suwałkach.

Żona: Halina.

Dzieci: Małgorzata ur. 1959 r. -  
średnie ogólne - bibliotekarka

Dorota ur. 1963 r. - średnie, pracuje  
w szkole.

Wnuki: Adam, Celina.

Jako absolwent liceum budownictwa przemysłowego w Wolsztynie, wspólnie z koleżanką Marią Jazdonówną i kolegą Tadeuszem Napierałą, składają egzamin wstępny do ówczesnej Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Ze względu na pochodzenie nie zostali przyjęci. Zaproponowano im Szkołę Inżynierską w Szczecinie. Z trójki maturzystów, która została przyjęta na Wydział Budowy Maszyn, na uczelni pozostał tylko Jan Praczyk (*Marysia Jazdon przeniosła się do innej uczelni po pierwszym semestrze – przyp. MW*)

Studia ukończył w 1956 roku i uzyskał dyplom inżyniera mechanika. Od listopada 1956 r. do kwietnia 1957 r. pracował w WZPT (wojewódzkim zjednoczeniu przemysłu terenowego) w pracowni konstrukcyjno-technologicznej, jako konstruktor. Następnie, do października 1960 r. był na stanowisku głównego mechanika w szczecińskich zakładach przemysłu terenowego. Stale jednak poszukiwał trudniejszego zadania. W tym czasie uruchamiana była fabryka kabli w Załomiu. Fabryka przyciągała młodych inżynierów, szukających możliwości wykorzystania nabytej w uczelni wiedzy, a także dążących do własnego rozwoju. Najpierw w fabryce objął stanowisko głównego mechanika, a w niedługim czasie awansował na stanowisko

zastępcy dyrektora d/s technicznych. W Załomiu pracował do 1968 r. W maju 1968 r. przeszedł do stoczni szczecińskiej i do lutego 1969 r. pracował tam, w zakładzie ślusarni okrętowej, jako zastępca kierownika zakładu. Tutaj – jak wspomina - dokładnie zapoznał się ze specyfiką techniki stoczniowej. Po namowach kolegów w marcu 1968 r. objął stanowisko głównego technologa w zakładzie sprzętu elektrotechnicznego SELFA w Szczecinie.

I znowu w poszukiwaniu nowocześniejszej techniki, w sierpniu 1978 r. przeszedł do fabryki mechanizmów samochodowych POLMO w Szczecinie. Tu powierzono mu stanowisko kierownika wydziału produkującego mechanizmy kierownicze do samochodów osobowych i ciężarowych. A od roku 1976 pracował, jako szef służby organizacji i informatyki. Kontynuował dzieło rozpoczęte wcześniej przez jego kolegę. Doprowadził do zakupu komputera EMC RIAD 32, później IBM 4341. Wprowadził nowoczesną informatykę do prawie każdego ważnego stanowiska mającego wpływ na jakość informacji i jakość produkcji itp. Jednocześnie tworzył doskonały zespół informatyków z Grażyną Walków na czele, który to zespół opracował i wdrażał systemy organizacyjne wspomagane komputerowo w dziedzinach: gospodarki wyrobami; technicznym przygotowaniu produkcji - w systemie on line; w planowaniu operatywnym, kontroli i koordynacji produkcji (system ten został wyróżniony w konkursie NOT za 1985r.); kontroli jakości produkcji; w gospodarce narzędziowej.

Inż. Jan Praczyk w latach 1964-76 pracował na pół etatu: na stanowisku wykładowcy przedmiotów technicznych w ZSZ oraz na stanowisku konstruktora w biurze konstrukcyjno-technologicznym wojewódzkiego związku spółdzielczości pracy, a także w ośrodku technologii gumy przy WZSP.

Przez cały okres pracy zawodowej udzielał się społecznie, pracując w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników

Mechaników Polski (SIMP) we władzach, jako vice-przewodniczący i przewodniczący Koła Zakładowego.

Za całokształt pracy otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń: Odznakę pamiątkową „Gryf Pomorski”, Medal 40 – lecia PRL, Srebrny Krzyż Zasługi, Srebrną odznakę „za zasługi dla rozwoju przemysłu maszynowego, Srebrną i Złotą Honorową Odznakę SIMP.

Rada Federacji Stowarzyszeń NOT wpisała Jana Praczyka do księgi zasłużonych dla ruchu stowarzyszeniowego na Pomorzu Zachodnim. Otrzymał Jan - List Gratulacyjny. Inż. Jan Praczyk został również wyróżniony przez Radę NOT za pracę pt. „automatyzacja przy zastosowaniu techniki komputerowej – system informatyczny planowania operatywnego, kontroli i koordynacji produkcji. W roku 1986 komisja kwalifikacyjna rzeczoznawców SIMP wpisał Jana na listę rzeczoznawców nr.8218 w zakresie specjalności 102 – organizacja zakładów przemysłowych.

Od 1 stycznia 1997 r. jest na emeryturze. Służbę, którą kreował przez blisko 20 lat, pozostawił młodszemu pokoleniu. Twierdzi, że teraz będzie się zajmował tylko tymi sprawami, które będą przynosiły mu przyjemności.



**Konstanty Waldemar Siemionow.**

Urodził się 25.11.1931 r. w Pińsku.  
Żona - Regina, absolwent Instytutu  
Pedagogiki Specjalnej w Warszawie  
specjalność: rewalidacja przewlekle  
chorych.

Syn Marek ur. 1959 r. - technik  
fizjoterapeuta.

W 1952 r. przystąpił do egzaminów wstępnych w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie i został przyjęty w poczet studentów Wydziału Budowy Maszyn.

Dyplom ukończenia studiów P.S. Wydziału Budowy Maszyn i stopień inżyniera mechanika o specjalności - technologia ogólna budowy maszyn otrzymał 26.06.1956 r.

Pracę zawodową rozpoczął 02.09.1956 w KZMR (kujawskich zakładach maszyn rolniczych) we Włocławku, jako konstruktor.

Nigdy nie przypuszczał, że będzie odtąd konstruował siewczarnie, śrutowniki, brony talerzowe i inne, potrzebne rolnictwu maszyny. W okresie, w którym przyszło pracować, intensywnie elektryfikuje się wieś polska, stąd powstało ogromne zadanie dla przemysłu maszyn rolniczych, polegające na zastąpieniu napędu ręcznego lub kieratowego napędem przy pomocy silników elektrycznych.

Fabryka współpracowała z IMR (instytutem mechanizacji rolnictwa) w Poznaniu, którego zadaniem było opracowywanie założeń konstrukcyjnych. Biuro konstrukcyjne fabryki na tej podstawie opracowywało pełną dokumentację techniczną.

W fabryce powstawał prototyp maszyny, który z kolei był badany przez instytut w Poznaniu. Dopiero po dokonaniu poprawek, produkt był wdrażany do produkcji.

Okazało się, że absolwent PS w Szczecinie wykazał dobre przygotowanie do zawodu. Skonstruował oryginalny rozdrabniacz bijakowy RB, który wszedł do produkcji seryjnej. Po dwóch latach awansował na stanowisko zastępcy głównego konstruktora w fabryce.

Po pięciu latach pracy w KZMR (fabryce maszyn rolniczych), 1.07.1961 roku rozpoczął pracę w kujawskiej fabryce manometrów we Włocławku na stanowisku starszego konstruktora. Natychmiast był zmuszony całkowicie przestawić się, z konstruowania maszyn rolniczych na konstruowanie urządzeń precyzyjnych.

Z ciekawszych zagadnień, którymi się zajmował, była próba matematycznego obliczenia wymiarów rurki Bourdona dla założonego zakresu ciśnień, w jakim to zakresie miałyby pracować manometr oraz i to, czy po wykonaniu tej rurki zgodnie z obliczeniami element będzie pracował przy założonym ciśnieniu. Niestety, obliczenia nie potwierdziły się w praktyce, ponieważ nie można było w kraju nabyć odpowiednich rurek, o zawężonych tolerancjach wymiarowych, tak średnicy rurki, jak i jej grubości ścianki..

W 1963 r. zgłosił wniosek, który okazał się wynalazkiem pt. „Mechanizm napędowy profilografu”. Przedmiotem wynalazku był mechanizm napędowy profilografu do wykreślenia na taśmie rejestrującej profilu dna w zbiornikach wodnych i rzekach, przy niezależnym kierunku ruchu przyrządu przystosowanego do toczenia się po dnie, w położeniu normalnym i, po przewróceniu go o 180°. Dotychczasowy mechanizm umożliwiał jedynie pracę w położeniu normalnym. Procedura patentowa trwała długo (właściwości krajowe). Dopiero w sierpniu 1966 roku został opublikowany patent nr

51382. I był to pierwszy w historii patent w (KFM) kujawskiej fabryce manometrów.

W kwietniu 1964 r. przeniósł się do zakładów celulozowo-papierniczych we Włocławku, gdzie pracował w dziale głównego mechanika, a następnie w dziale inwestycji. W tym czasie doksztalał się na zaocznym kursie ekonomii inwestycji w Warszawie.

W kwietniu 1968 roku rozpoczął pracę w fabryce urządzeń wentylacyjno - klimatyzacyjnych KONWEKTOR w Lipnie na stanowisku głównego konstruktora.

Tutaj zetknął się z nowymi wyrobami: nagrzewnicami parowymi i wodnymi, aparatami grzewczo-wentylacyjnymi, konwektorami, wentylatorami osiowymi, różnymi wentylatorami dachowymi, w tym przeciwwybuchowymi i nieiskrzącymi oraz tłumikami akustycznymi. Tak szeroki zakres umiejętności wymagał współpracy z innymi zakładami w kraju i za granicą. Został wyznaczony do grupy ekspertów. Grupa brała udział w spotkaniach roboczych z podobnymi grupami eksperckimi z pokrewnych zakładów w Czechosłowacji i Bułgarii.

Dla przykładu z grupą w Czechosłowacji prowadzone były rozmowy na temat urządzeń klimatyzacyjno-wentylacyjnych ze szczególnym uwzględnieniem automatyzacji procesu wytwarzania grzejników do klimatyzatorów. Rozmowy z Bułgarami doprowadziły do podpisania korzystnych kontraktów na dostawę do Polski typoszeregu nagrzewnic o najmniejszych wymiarach, których produkcja w Polsce nie była korzystna.

„Konwektor” w Lipnie był ostatnim zakładem, w którym pracował zawodowo. Jako rencista bez przeszkód poświęcał się swojemu hobby.

Od najmłodszych lat marzył, aby wznieść się w przestworza. W szkole średniej, w 1950 roku, będąc członkiem aeroklubu toruńskiego ukończył kurs szybowcowy, a w 1951 roku, kurs spadochronowy. Po ukończeniu studiów i przybyciu



do Włocławka pracował społecznie, jako sekretarz w komitecie budowy hangaru lotniczego. W 1959 r. komitet doprowadza do powstania aeroklubu włocławskiego. W 1972 roku został honorowym członkiem aeroklubu PRL.

W 1994 r. za działalność społeczną na rzecz sportu lotniczego został uhonorowany przez AP tytułem i odznaką „Zasłużony Działacz Lotnictwa Sportowego”. Stan zdrowia nie pozwolił na czynne latanie i dlatego zajął się modelarstwem lotniczym. Budował modele samolotów sterowane falami radiowymi.

Zmarł we Włocławku 14.11.2010.

**Waldek zawsze, kiedy jadł śledzia (były tanie na kieszeń studentów) mówił innym kolegom z pokoju: – Panowie, śledź to nie ryba, ości nie posiada i można go zjadać w całości. Ale tak naprawdę to nie jest danie główne. To dopiero zakąska.**

**Waldek (czynny sportowiec) potrafił zjeść bochenek chleba na posiedzenie i wypić garnuszek (około 2 l) kawy typu „Turek”.**



**Janusz Skibiński.** Urodzony  
20.12.1932 w Żninie.

Żona: Feliksa - technik diagnostyki  
analitycznej, od 1989 roku jest na  
emeryturze.

Córki: Ewa ukończyła w 1986 r.

Uniwersytet Szczeciński( US) z  
dyplomem magistra ekonomii.

Małgorzata absolwentka (w 1987 r.)

PS - kierunek: Inżynieria

Materiałowa, uzyskała tytuł magistra  
inżyniera – technolog materiałów.

Wnuki: Jakub i Katarzyna.

Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego im. Braci Śniadeckich w Żninie złożył egzamin wstępny na Wydział Budownictwa Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Mimo tego, że otrzymał dobry wynik z egzaminu, nie został przyjęty na studia w Poznaniu. Uzasadniano „brakiem miejsc”. Skorzystał z propozycji i przeniósł się na Wydział Mechaniczny do Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie.

Studia ukończył w 1956 r., otrzymując dyplom inżyniera mechanika o specjalności maszyny i urządzenia energetyczne. Jednocześnie otrzymał nakaz pracy do SFWM w Szczecinie (późniejsza SFM JUNAK, następnie FMS POLMO). Pracę zawodową rozpoczął na stanowisku mechanika remontu maszyn. W niedługim czasie awansował na głównego mechanika.

W 1959 r. został przeniesiony na stanowisko szefa produkcji. Brał czynny udział w uruchomieniu produkcji motocykla JUNAK, przyczep bocznych WB3, trójkołowca B20. Ogółem fabryka wyprodukowała 100 tys. motocykli. Produkcja

motocykli została przerwana w roku 1965. Na jej miejsce wprowadzono nową produkcję zespołów samochodowych: mechanizmów kierowniczych i wałów napędowych.

W 1976 r. powołano go na stanowisko zastępcy dyrektora d/s technicznych, czyli na głównego inżyniera, a w 1981 roku awansował do roli dyrektora fabryki, mimo że, nie był członkiem partii.

W 1985 złożył rezygnację ze stanowiska i odszedł z fabryki.

W sierpniu tego samego roku podjął pracę na stanowisku dyrektora ośrodka badawczo produkcyjnego SELATON – (spółka z o.o), który był organizowany na terenie SELFY.

Z kolei w roku 1988 objął stanowisko dyrektora - pełnomocnika właściciela branży budowlanej SKANDIA.

Jednak sentyment do FMS POLMO spowodował, że we wrześniu 1990 r. powrócił do starego zakładu na stanowisko dyrektora technicznego. W okresie pracy zawodowej ukończył studium podyplomowe, kursy specjalistyczne oraz różne praktyki (w tym zagraniczne).

Na początku 1998 r postanowił zakończyć pracę i przejść na emeryturę. Stale uważał, że dobra atmosfera pracy, współpraca i zaufanie dla pracowników, pozwalają realizować trudne i skomplikowane zadania zawodowe. Za pracę zawodową i społeczną otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń, w tym: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Gryf Pomorski, Złotą Odznakę SIMP i inne.

Prace społeczne, które wykonywał to przede wszystkim: udział w samorządzie mieszkańców, w SIMP i OSP. Osobiste hobby: filatelistyka, działka oraz sport.

Zmarł 26.10.2013 w Szczecinie. Pochowany jest na CC.



**Włodzimierz Skorupa.** Urodzony  
16.01.1932.  
Żona Lilianna. Dwoje dzieci: córka  
Izabela i syn Tomasz.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. ukończył w 1956 r. i uzyskał dyplom inżyniera mechanika o specjalności energetyka cieplna.

Nakaz pracy otrzymał do stoczni szczecińskiej i tam został zatrudniony na stanowisku mistrza urządzeń cieplnych. Później awansował na kierownika oddziału urządzeń centralnych. Następnie, jako konstruktor, brał udział w uruchomieniu stoczni WULKAN.

W 1960 r. został zatrudniony w zakładach przemysłu maszynowego leśnictwa na stanowisku głównego mechanika. Pracował tam do roku 1962, i brał czynny udział w uruchomieniu nowego zakładu pod nazwą FAKON, późniejszy UNIKON, czyli fabryki kontenerów.

Chęć samorealizacji skierowała go do zakładów przemysłu odzieżowego DANA w Szczecinie, gdzie nieomal z biegu został zastępcą dyr. d/s technicznych. Z marszu rozpoczął wielką inwestycję, czyli budowę nowego zakładu i rozbudowę starej części z równoczesną budową ośrodków wczasowo-kolonijnych w Świnoujściu i Pogorzeliczy. Na tym stanowisku w DANIE pracował do roku 1977. Odszedł po skończonych pracach inwestycyjnych i przez następne dwa lata pracował w SPBEP (szczecińskim przedsiębiorstwie budowy elektrowni i przemysłu jako główny koordynator robót przy budowie

elektrociepłowni Pomorzany oraz Szczecin, a także elektrowni DOLNA ODRA.

Od 1978 do 1986, jako dyrektor, kierował zakładami naprawczymi sprzętu medycznego w Szczecinie. Przez ten okres zmodernizował istniejący i wybudował nowy zakład pracy na przedmieściach Szczecina.

Odczuwał pełną satysfakcję z przepracowanych lat. Swoje sukcesy zawodowe zawdzięczał m.in. dobremu przygotowaniu wyniesionemu z technikum mechanicznego w Białogardzie oraz z Politechniki Szczecińskiej.

Posiadał następujące odznaczenia: Medale 30 i 40-lecia i Srebrny Krzyż Zasługi.

Zmarł 21.07.1994 w Szczecinie i jest pochowany na CC.

**Akademik przy Piastów zwany „jasną górą”, a to z uwagi na ciągle przerywniki w dopływie energii. Budynek był tak nowy i mokry, że obuwie w szafie zieleniało. Włodek pewnego dnia postanowił pójść do teatru, aby się trochę „odchamić”, jak mówił. Grali wtedy sztukę pt. „Grube Ryby” Bałuckiego.**

**Kiedy powrócił, zapytaliśmy o wrażenia – A były – odpowiedział Włodek, ale były też i kłopoty. Przez wszystkie przerwy siedziałem na widowni, a palić się chciało jak diabli. W teatrze zobaczyłem, że jeden but jest jako taki, a drugi całkiem zielony. Nakładałem buty, kiedy prądu nie było i nie widziałem koloru.**



### **Stanisław Skrobisz.**

Ur. 16.05.1933 r. w Rudnikach pow. Końskie.

Żona - Anna - położna  
dyplomowana, nauczyciel zawodu.

Córki: Beata - ur. 1962 r. -  
absolwentka Politechniki Lubelskiej  
Katarzyna - ur. 1963 r. -  
absolwentka Uniwersytetu Marii  
Curie Skłodowskiej w Lublinie -  
filologia germańska lektor j.

niemieckiego w Szczecinie. Anna - ur. 1973 r. – absolwentka  
US – filologia germańska.

Wnuki: Michał ur. 1984; Ania ur. 1986; Piotr ur. 1988; Monika  
ur.1993 r., Kasia ur. 1997 r.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. rozpoczął w 1952 r. Po czterech latach otrzymał dyplom inżyniera mechanika o specjalności: maszyny i urządzenia energetyczne (1956 r.). Prawie z marszu, na podstawie nakazu pracy, został zatrudniony w zakładach urządzeń chemicznych i armatury przemysłowej CHEMAR w Kielcach. Najpierw, jako konstruktor, starszy konstruktor i wreszcie kierownik działu konstrukcyjnego w biurze konstrukcyjnym. Tutaj pracował nieprzerwanie od 1956 do 1970 roku.

Nowo powołany ośrodek konstrukcyjno-badawczy armatury i rurociągów potrzebował inżynierów pełnych inwencji i zaangażowania, stąd zaproponowano mu objęcie stanowiska kierownika działu konstrukcyjnego. Na tym stanowisku pracował do 1976 r. W tym okresie zdobywał nowe doświadczenia zawodowe na praktykach zagranicznych i we współpracy z firmami zachodnimi (Babcock, Bopp und Reuther

- RFN, Nordarmaturen - Szwecja). Specjalizował się w zakresie urządzeń dla potrzeb elektrowni ciepłych i atomowych.
- Do jego najważniejszych osiągnięć zawodowych należą:
  - współudział w rozpracowaniu armatury ogólnoprzemysłowej do ciśnienia nominalnego 100 kg/cm<sup>2</sup>
  - opracowanie i wdrożenie do produkcji typoszeregu armatury regulującej, dławiącej, regulacyjnej dla stacji regulacyjnych i redukcyjno-schładzających.
  - opracowanie i wdrożenie do produkcji armatury specjalnej dla bloków 125, 200 MW
  - wprowadzenie do produkcji licencyjnych zaworów bezpieczeństwa firmy BOPP und REUTHER.
  - współudział w rozpracowaniu prototypowej armatury dla bloku 350 i 500 MW.
  - współudział w rozpracowaniu armatury dla kompletnych obiektów fabryk kwasu siarkowego.

Biegła znajomość języka niemieckiego pozwala mu na studiowanie zachodniej literatury fachowej i wdrażanie, do polskich rozwiązań konstrukcyjnych najnowszych osiągnięć światowych. Z chwilą zakupu licencji na zawory bezpieczeństwa firmy zachodniej został przeszkolony i uzyskał uprawnienia TÜV - odpowiednik polskiego UDT. Już, jako rzeczoznawca zorganizował w kraju szkolenie inspektorów uprawnionych do nastawiania zaworów bezpieczeństwa. Zdobył również uprawnienia dotyczące projektowania procesów technologicznych w zakładach metalowych oraz uprawnienia w zakresie projektowania aparatury i urządzeń dla przemysłu chemicznego, otrzymując tytuł rzeczoznawcy SIMP (Nr 352).

W latach 1962-76 brał czynny udział w uruchomieniu elektrowni: Pątnów, Adamów, Konin, Turossów, Bydgoszcz, Gdańsk, Halemba, Kozienice, Rybnik. A poza granicami kraju: w Jugosławii, Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, jako doradca i prowadzący nadzór.

Czynnie uczestniczył w reprezentowaniu polskich osiągnięć technicznych na licznych targach krajowych i zagranicznych. Podczas dni techniki polskiej w Amsterdamie wygłosił odczyt na tematy polskich osiągnięć technicznych i możliwości produkcyjnych CHEMAR Kielce.

Od 1976 r. pracował na stanowisku kierownika działu, a następnie pracowni armatury specjalnej w ośrodku badawczo-rozwojowym armatury przemysłowej w Kielcach.

W tym czasie został oddelegowany do Jugosławii, jako inspektor nadzoru budowanej elektrowni Kicevo k/Skopie.

Nadzorował montaż i budowę wszystkich urządzeń elektrowni pomiędzy kotłem energetycznym i turbiną tzn. nadzorował procesy montażowe, spawanie rurociągów wysokoprężnych, oraz wprowadzał zmiany projektowe bezpośrednio na montowanym obiekcie. Po ukończeniu budowy w dowód uznania otrzymał bardzo wysokie referencje.

Od 1981 r. został zatrudniony w centrali handlu zagranicznego EXBUD-Kielce.

Tutaj pracował krótko, bo tylko 9 miesięcy. W 1981 r. opuścił kraj, by pracować w Niemczech Zachodnich w firmie Bopp und Reuther oraz w zakładach Kruppa w Essen, gdzie dał się poznać, jako wybitny specjalista. W późniejszym okresie objął stanowisko kierownika kontraktów w Niemczech rozwijając placówkę z siedmiu do 120-tu pracowników.

Zawieranie coraz to nowych kontraktów na roboty w Niemczech i innych państwach zachodnich było jego ambicją i pasją.

W pracy zawodowej zawsze cechowała go wielka odpowiedzialność. Był wyjątkowo lubianym współpracownikiem i szefem, surowym, ale sprawiedliwym.

Za pracę zawodową otrzymał szereg wyróżnień, w tym dyplom uznania od władz Jugosławii za udział w budowie elektrowni Kicevo.



Obok pracy zawodowej, zajmował się tłumaczeniem literatury fachowej. Po ukończeniu studium pedagogicznego przez wiele lat pracował w szkolnictwie, w technikum mechanicznym w Kielcach, jako wykładowca przedmiotów zawodowych.

Umarł 13 lutego 1994 r. Pochowany jest na cmentarzu w Cedzynie k/Kielc.

PS. Losy nasze i naszych dzieci, a może później i wnuków stale się przeplatają i będą przeplatać. Dowodem tego jest to, że jedna z córek Stanisława – Katarzyna - najpierw jest chrześniaczką naszego kolegi Adama Głębockiego, aby po kilkunastu latach stać się jego synową i żoną Jerzego Głębockiego.

**Staszek zdawał egzamin u R. Makarewicza. Rozmowa się nie kleiła, bo Makarewicz wymagał wiedzy, a nie potrafił wyklądać po polsku (był repatriantem z Mandżurii). Makarewicz nagle zaczął krzyżeć do asystenta, aby ten wpisał do indeksu Staszka: „ piszi jemu dwojku. Duraku. Won iz instituta”, a Staszek na to: – Jak mi pan wpisze dwójkę do indeksu, to pójdę i się utopię.**

- To niemożliwe, bo rzeka już zamarzła – powiedział egzaminujący.
  - Przerębel wyrąbie i się utopię – trwał przy swoim student.
  - Ale woda teraz jest zimna, to się przeziębicie – powoli miękl profesor
  - Kiedy się utopię, to mi będzie wszystko jedno – argumentował Staszek.
  - Ale wy student nic nie umiecie – upierał się przy swoim profesor.
  - To nieprawda, umie! Tylko pan profesor nie umie wyklądać.
- Trójkę Staszek wywalczył. A materiał znał dobrze, bo był zdolnym studentem.**



### **Krystyna Solecka.**

Urodzona 17.07.1933 r. w Solcu Kujawskim.

Córka Ewa Inga mgr inż. absolwentka PS Wydziału Budownictwa, jest współautorem książki n. t. Konstrukcji drewnianych w budownictwie.

Wnuki – Urszula i Marcin

#### *„Moja przygoda z mechaniką*

*Moja przygoda z mechaniką zaczęła się w 1946 r., kiedy po zawierusze wojennej, szukając swojego miejsca na wyniszczonej wojną ziemi, wylądowaliśmy na kilka mies. w Sopocie. Urzekło mnie morze, grzmot rozbryzgujących się o molo jesiennych fal, białe, spienione grzywy, przejmujący szum wiatru, zapach morza i przestrzeń. Przestrzeń wolna, niczym nie skrepowana. Wówczas to, w wieku 13 lat postanowiłam zostać marynarzem. Marzenie to zaczęłam realizować wiosną 1949 roku, już w Szczecinie. Pod koniec 9-tej klasy zapisałam się na kilkumiesięczny kurs przysposobienia marynarskiego, prowadzonego przez „Służbę Polsce”. Pomyślnie zdałam egzaminy uprawniały do złożenia podania o przyjęcie do szkoły morskiej. Z kilkunastu dziewcząt zdały tylko trzy: Danka Kobylańska „Żaba”, ja i chyba druga Krysia. Ze szkoły morskiej otrzymałyśmy miłe, lecz odmowne odpowiedzi. Szkoła nie była jeszcze przygotowana na przyjęcie dziewcząt. Proponowano nam spróbować za rok. Złożyłam dokumenty do PST (państwowej szkoły technicznej), do I klasy trzyletniego liceum mechanicznego, licząc, że po pierwszej klasie ponowię próbę dostania się do szkoły morskiej. Zdałam, zostałam przyjęta, ukończyłam liceum (już, ku naszej rozpaczy, jako technikum).*

*Odechciało mi się szkoły morskiej. Nie zapisałam się do ZMP mimo że, grożono mi, iż nie otrzymam skierowania na studia. Rzeczywiście, ze szkoły nie dostałam skierowania, ale dzięki najwspanialszemu ze wspaniałych nauczycieli, profesorowi matematyki Tadeuszowi Gniotowi „przechytrzyłam” aktywnie i otrzymałam skierowanie ekstra (gwoździ wyjaśnienia potomnym, w tamtych czasach – lata 50-te – bez skierowania ze szkoły, nie przyjmowano dokumentów na studia). W PST koledzy wiecznie mówili, że mechanika nie jest dla dziewczyn. Tak mi to zaklinało psychikę, że mechanikę techniczną kułam, kułam, i nie wierzyłam, że mogę się jej nauczyć.*

*Dopiero prof. Kamil Wendeker (wykładał mechanikę i wytrzymałość mat. w Szkole Inżynierskiej i PST), który był postrachem tak studentów, jak i uczniów, pomógł mi odzyskać wiarę w siebie: „ty to potrafisz sama, nie słuchaj podszeptów”. Później w Szkole Inżynierskiej, także czułam Jego łaskawość wobec mojej osoby. Szczerze mówiąc, dopiero po wielu latach dotarło do mnie, że mój prof. z mechaniki w PST i prof. Wendeker, to ta sama osoba. Tak się przez te 3 lata zmienił. Studia inżynierskie (4-letnie) ukończyłam. Pracy dyplomowej na czas nie zrobiłam (tj. w 1956 r.) Dopiero w 1958 r. obroniłam pracę inżynierską.*

*Do pracy na podstawie nakazu (wówczas po technikach i studiach, obowiązywał nakaz pracy) nikt mnie nie chciał nawet za najędzniejsze pieniądze, bo „potrzebują inż. mechanika, ale nie kobietę”. Kolega Andrzej Sobotko jakoś załatwił mi nakaz (od 9.1956 r.oku) do wojewódzkiego biura projektów przy ulicy Dworcowej, do pracowni mechanicznej. Wykonywałam projekty wentylacji. Męczyłam się potwornie, bo przecież na oczy dotąd takich instalacji nie widziałam. Był to kompletny bezsens. Czego się w praktyce nie dotknęłam było obce. Ale z nakazu uciec nie było można, chyba, że z powrotem na studia. Wróciłam na kurs magisterski w lutym 1957 r. Byłam dwa semestry, dostałam*

urlop dziekański, bo nie podeszłam do egzaminu z wytrzymałości materiałów – nie było już prof. Wendekera (wyjechał do Częstochowy do Politechniki, jako wykładowca. MW), tylko jakiś pan, który wykladał z ponumerowanych karteczek. Zrobiliśmy mu numer; został wywołany do telefonu w połowie wzoru, a myśmy pozamieniali kartki z innym wzorem. Wściekł się, po jakimś czasie, gdy zwróciliśmy mu uwagę, że wzór nie trzyma się kupy. To nie był już prof. Wendeker, który wyjmował ostentacyjnie małą karteczkę z kieszonki i mówił: „to wzór ściągawkowy, proszę państwa”. Jak łopatologicznie, to łopatologicznie” i jeszcze prosił panie, by mu któraś pożyczyła czerwoną pomadkę do podkreślenia wzoru.

Jesienią 1957 r. (będąc jeszcze na 2-gim semestrze kursu magisterskiego) zatrudniłam się na pół etatu w Pałacu Młodzieży, jako instruktor w pracowni konstrukcyjnej. Bardzo polubiłam tę pracę z dziećmi. Kierownikiem pracowni był pan, który zamiast przyrządami mierniczymi posługiwał się sznurkiem z supelkami, i tak uczył dzieci. Oczywiście wprowadziłam zasady bardziej techniczne, co dzieciom bardzo się podobało, ale kierownikowi chyba nie. Po kilku miesiącach dyrektor pałacu poprosił mnie bym sama się zwolniła (dwóch instruktorów to za dużo) i że ja mam zawód, więc łatwo dostanę pracę (hmm! – łatwo?) i nie mam rodziny, a pan kierownik nie ma zawodu, za to ma rodzinę. Wziął mnie na współczucie – zwolniłam się. Myślę, że dopiero po kilku miesiącach ktoś odkrył, że w pałacu młodzieży zatrudniono osobę bez przynależności do... Ja taką byłam.

Zarejestrowałam się w urzędzie zatrudnienia (chyba tak się to nazywało). Po 3-ch miesiącach wydeptywania poszłam w dzień kobiet (byłam wszak kobietą, choć zawód męski) do urzędu i poprosiłam o zasiłek dla bezrobotnych – już mi się należał. Wówczas pani dała mi skierowanie na sprzedawczynię w sklepie warzywnym MHD. Nie wolno mi było odmówić przyjęcia skierowania – równałoby się to z utratą prawa do zasiłku.

*Uprzedziłam, że z tym skierowaniem pójdę nie tylko do MHD, ale i gdzie indziej. Wówczas pani odebrała to skierowanie i dała mi drugie – na kierownika warsztatów mechanicznych papierni SKOLWIN. Nie powiedziałam nic, ale wiedziałam, że tej pracy nikt rozsądny mi nie da, a i ja nie mogę jej przyjąć. Nie jestem technologiem, tylko energetykiem i jestem świeżo po studiach, bez praktyki. Był koniec kwietnia 1958 roku, lał deszcz i ja ryczałam idąc z tym skierowaniem. W kadrach podając skierowanie zaznaczyłam, że wiem, że to praca nie dla mnie, lecz musiałam z tym skierowaniem przyjść. Kadrowa potwierdziła, lecz poprosiła, żebym nie odchodziła, bo dyrektor chce ze mną porozmawiać. Dyrektorem wówczas był pan Jurczak. Przyjmował wszystkich techników i inżynierów różnych specjalności, którzy do papierni się zgłosili. Dawał stanowisko i obserwował jak sobie radzą. Jeśli ktoś nie wykazywał inicjatywy - po pół roku był zwolniony, a jeśli się wykazywał – zostawał. Dyrektor twierdził, że musi kształcić kadrę dla papiernictwa.*

*I tak od 2-go maja 1958 r. zostałam mistrzem zmianowym w siłowni papierni SKOLWIN. Była to praca zmianowa, po 12 godzin pracy (nocy mi nie dawano). Ponieważ rozpoczynałam pracę o 6.30, zmuszona byłam wstawać o 4-tej rano, aby pociągiem dojechać do Skolwina. Powrót do domu był około godz. 20-tej. W niedzielę również, ponieważ tylko jeden dzień w tygodniu był wolny. Ale byłam zachwycona, w końcu pracowałam w ruchu, w mojej specjalności i miałam, od kogo, uczyć się praktyki. Kierownik siłowni był świetnym praktykiem. Od 40 lat w kotłowniach i siłowniach i bardzo chętnie dzielił się wiedzą praktyczną. Po godz. 15-tej i w niedzielę byłam na gospodarstwie sama i wówczas, gdy zdarzały się jakieś trudne momenty, galopem przypominałam sobie wiedzę, jaką nam wpajali profesorowie: Wysocki (elektrownie i turbiny), Winkler (kotły), Tatar (pompy).*

*Po kilku miesiącach tej intensywnej praktyki przeniesiono mnie do wydziału gł. energetyka – za biurko, ale było także ciekawie,*

jeździłam na konferencje techniczne. Chyba w 1959 r., kiedy odszedł Mirek Wojciechowski (kolega ze studiów – przypisek WM), przejąłam jego stanowisko inżyniera do spraw gospodarki cieplnej.

Skończyłam na starszym mistrzu, bowiem pensja st. mistrza (niepotrzebne studia) była wyższa niż st. inżyniera (po studiach). Bardzo lubiłam moją pracę, ale też byłam bardzo zmęczona, nieraz 24, 36 godzin ciurkiem, bez żadnej wolnej godziny za to, ani też zapłaty, bo personelowi nadzoru taka zapłata nie należała się. Zarobki w papierni były liche i dlatego postanowiłam się zwolnić w 1963 roku. Powiedziano mi, że mnie nie puszczą z przemysłu. Jeśli nie chcę pracować w Skolwinie, to mogę wybrać inne miejsce pracy. Wskazałam Warszawę. Zaproponowano mi w ministerstwie leśnictwa i przemysłu papierniczego. Pojechałam, zobaczyłam, wysłuchałam (mieszkanie służbowe na pół roku, potem własne, pensja wyższa, praca za biurkiem, czasem wyjazd w teren), wróciłam i zostałam – w Skolwinie do 11.1965 r.

W międzyczasie miałam wyjechać na kilkumiesięczny staż do Finlandii. Nie wyszło – byłam nie po linii. Do partii wstąpić nie chciałam.

Od listopada 1965 r. do lipca 1966 r. podjęłam pracę w zakładach odzieżowych ODRA na stanowisku kierownika wydziału mechaniczno-energetycznego (+inwestycje i BHP). Skusiłam się na to miejsce pracy. Praca od 8 do 16, pensja, co najmniej 3-krotnie wyższa niż w Skolwinie, 5 minut od domu. Szybko uciekłam z ODRY. Okazało się, że często pracowałam nie 8, a 16 godzin. Po zakamarkach zakładu szukałam pijanych mechaników (często były wręcz komiczne sytuacje) i ... żadnej satysfakcji z pracy.

Podjęłam pracę w przedsiębiorstwie konserwacji zabytków (9.1966-11.1967), na stanowisku formalnie starszego projektanta, faktycznie kierownika grupy robót instalacyjnych, na obszarze, od woj. śląskiego po zielonogórskie. Dużo ruchu,

wyjazdów środkami komunikacji, świeżego powietrza, marszów kilometrami (ruiny były odległe od środków komunikacji – a na samochód nie mogłam zarobić).

Od 12.1967 do 8.1973 roku pracowałam w miejskie przedsiębiorstwo gospodarki cieplnej na stanowiskach (zmiennie): kierownik działu eksploatacji, kierownik działu technicznego; do tego główny specjalista d/s „uciepłowienia” (sic!) województwa (patronat nad ciepłownictwem w województwie do czasu utworzenia WPEC).

W międzyczasie: uzyskałam uprawnienia budowlane do kierowania robotami instalacyjnymi, studiowałam na Wydz. Inżynierii Łądowej Politechniki Warszawskiej, na studiach podyplomowych w zakresie ochrony budowlanej przed korozją.

Od stycznia 1974 r. do marca 1991 roku pracowałam na terenie Politechniki Szczecińskiej. Najpierw w zakładzie techniki cieplnej do maja 1984 roku, a od maja 1984 – bibliotece Wydziału Mechanicznego. Do biblioteki przeszłam po zagadkowej rozmowie z moim szefem profesorem Nowakiem, który poprosił mnie, abym odeszła na własną prośbę. Profesor tego nie chciał, ale inne siły tak. Nigdy nie zapytałam, co to za siły i znalazłam inną pracę. Przypomniała mi się historia z 1958 r. z Pałacu Młodzieży i trochę się roześmiałam, że chyba już nieco zmądrzałam. Jednak poszukałam sobie pracy też w Politechnice, tylko w innej jednostce i wcale tego nie żałuję. Pracę w bibliotece także bardzo lubiłam.

Odeszłam w stan spoczynku na wcześniejszą emeryturę na własne życzenie w kwietniu 1991 r.

Teraz pełnię rolę matki i babci – córka i zięć pracują (często całym dniami, ale też chyba lepiej zarabiają i na więcej mogą sobie pozwolić niż niegdyś ja mogłam), a ja pomagam im tym, czym mogę: moim wolnym czasem – już bez mechaniki. Dla mnie zawsze każda praca miała i ma sens, jeśli służy drugim.

Na koniec dodam, że jednak wstąpiłam do partii politycznej, pierwszej i jedynej. Po okresie „Solidarności” i nieprzerwanym

*działaniu od 9.1980 do 11.1990, w Komitecie Obywatelskim, Komitecie Wyborczym Tadeusza Mazowieckiego w 1990 r., w dniu 4.12.1990 roku zostałam członkiem Unii Demokratycznej, późniejszej Unii Wolności.”*

**Krysia na pierwszym roku przyniosła rysunek techniczny do oceny, a asystent zapytał: – Proszę pani, proszę powiedzieć, co to jest w tym miejscu?**

**Dziura, odpowiedziała Krysia.**

**Asystent na to: – Pani ma być inżynierem, a inżynier powinien odpowiedzieć, że otwór. Bo dziury mają tylko baby. ...O! przepraszam!**





### **Kazimierz Spaliński.**

Ur. 22.08.1933 w Łomży.

Żona Janina. Dwoje dzieci: Joanna - studentka Uniwersytetu w Katowicach, Tomasz - student Akademii Muzycznej w Katowicach.

Studia na wydziale mechanicznym rozpoczyna w 1952 r. i z przerwą na leczenie ukończył w roku 1957 uzyskując dyplom inżyniera mechanika. Nakaz pracy otrzymał do zakładu płyt pilśniowych NIDA. Od stycznia 1958 r. rozpoczął pracę w zakładach mechanicznych przemysłu papierniczego w Krapkowicach. Początkowo pracował, jako kierownik budowy kotłów parowych, a od 1968 do 1972 roku, jako główny spawalniki (po ukończeniu specjalizacji w IS (instytucie spawalnictwa) w Gliwicach). Od 1972 roku awansował do rangi zastępcy dyrektora. d/s produkcji, później był zastępcą dyrektora d/s technicznych.

W latach 1973-74 w Politechnice Łódzkiej ukończył studia podyplomowe o kierunku: budowa maszyn papierniczych i przetwórczych.

Do sukcesów zawodowych zaliczał dwa patenty z dziedziny maszyn papierniczych.

Za pracę zawodową i społeczną, o której z wrodzoną skromnością nie chciał mówić, otrzymał odznakę „Zasłużony dla Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego”, „Zasłużony dla Opolszczyzny”, „Zasłużony dla Zakładu ZMPP”, Medal 40-tolecia, Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski. (*Dane z roku 1986-MW*)

Zmarł w roku 1995 i jest pochowany na cmentarzu w Kropkowicach.

**Kazio zwany Gavroche (z uwagi na wzrost i posturę) zawsze na potańcówce w akademiku, kiedy mu ktoś wlaził w paradę, stawał przed nim (często wyższym o głowę) i pytał: – Szurasz kolego? Doskonale wiedział, że nic mu nie grozi, bo za min jak cień stawał nasz mocarz Rysiek Zambrzycki (mistrz w zapasach).**



### **Gabriel Stępniewski.**

Ur. 10.03.1935 w Bydgoszczy

Żona Ewa - pracownik spółdzielni mieszkaniowej

Syn Piotr ur. 1961 r. - technik budowlany, pracował w Gdańskim

Kombinacie Budowy Domów, w okresie stanu wojennego

wyemigrował z rodziną do Niemiec.

Wnuki: Marcin ur. w 1984 r i

Katarzyna ur. w 1991 r.

Studia kończył w 1956 r. na Wydziale Budowy Maszyn P.S. i otrzymał dyplom inżyniera mechanika - specjalność maszyny i urządzenia energetyczne.

Wybrał nakaz pracy w Gdańsku, nie według atrakcyjności stanowiska, lecz tam gdzie chciał mieszkać, bo uważał, że życie osobiste ma pierwszeństwo przed życiem zawodowym.

Pracę rozpoczął w 1956 r. w przedsiębiorstwie hydrologicznym w Gdańsku i już po okresie jednego roku został głównym energetykiem. Firma nie była duża (ok.1200 osób), ale „turytyczna”. Znana z dobrej strony wielu inwestorom, takich budów jak: stopień wodny - WŁOCLAWEK, elektrownia DOLNA ODRA, elektrownia wodna ŻARNOWIEC, ELANA Toruń, zakłady chemiczne POLICE, ŚWINOPORT, elektrownie OPOLE, ADAMÓW, BEŁHATÓW i wiele innych budów gdzie systemami pomp z powodzeniem firma wykonywała odwodnienia szerokoprzestrzennych wykopów fundamentowych, a także wykonywała ujęcia wód podziemnych.

Praca w ruchu, stale szeroki wachlarz zagadnień technicznych, urozmaicenie i niepowtarzalność rozwiązań sprawiły, że niepostrzeżenie przepracował na tym stanowisku 25 lat. Naturalnie musiał się doksztalać, szczególnie w zakresie

elektrotechniki, aby uzyskać uprawnienia dozoru. Bo energetyk w przemyśle i budownictwie to głównie elektryk. Na kolejne dwa lata wybrał się z DROMEXEM - Warszawa do Libii, na kontrakt eksportowy. Okres ten wspomina, jako okres nie tylko turystyczny, ale doświadczalny, gdzie niezwykła konieczność wyzwalała zdolności robienia „czegoś z niczego”. Fakt, że został dziadkiem zreflektował go do tego stopnia, że pomyślał, iż przyszła pora na prace spokojniejsza. Znalazł taką w zespole elektrociepłowni GDAŃSK. Tutaj spełniał swoje powołania zawodowe związane z kierunkiem studiów.

W okresie „przełomu ustrojowego” nie chcąc pozostawać na uboczu przeniósł się na 4 lata do przedsiębiorstwa prywatnego. Po pewnym czasie przyznał, że nie trafił najlepiej, bo w 1991 r. firma upadła. W roku 1991 powrócił do starej, ale zaczęj państwowej elektrociepłowni - Gdańsk, gdzie zamierzał doczekać emerytury. W latach 1970 i 1980/81 będąc w centrum wydarzeń w Gdańsku dołożył swoją cegiełkę do przemian. Był aktywnym członkiem ruchu, delegatem na „Zjazd Solidarności” regionu Gdańsk w 1981.

Obecnie także nie pozostaje bierny, udzielając się działalności UW. Jest przekonany, że to ugrupowanie przejęło najlepszą część dawnego ruchu solidarnościowego z lat 1980/81.

Posiada odznaczenia terenowe i resortowe, o których mówił skromnie. Nagrody były, ale nie pamięta, bo wydał, a wyróżnienia i odznaczenia to: „Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej”, „Zasłużony dla Przedsiębiorstwa Hydrologicznego Gdańsk”.

Od początku, życie osobiste przedkładał nad zawodowe. Kariery zawodowej nie zrobił (*zależy, co nazywamy karierą?*- MW), natomiast ma ogromną satysfakcję z życia rodzinnego. (*Wiadomości, z roku 1997-MW*)



**Zdzisław Szczerbiński.**

Ur. 12.02.1934 r. w Grodzisku Mazowieckim.

Żona Bogumiła – mgr rehabilitacji.

Córki: Anna – lekarz medycyny

Oto jego list:

*„Studia ukończyłem w 1956 r., jako inżynier mechanik o specjalności technologia obróbki skrawaniem. Nakaz pracy otrzymałem do SWSM, późniejszej fabryki motocykli JUNAK w Szczecinie, gdzie zatrudniono mnie, od 1.09.1956 roku, jako technologa warsztatowego, a następnie mistrza nowopowstającego montażu motocykli. Rok później zostałem kierownikiem wydziału wykończeniowego. I ku mojemu przerażeniu podporządkowano mi dodatkowo działy: lakiernię i galwanizernię. Nie chcąc być skazanym na „doradców” ukończyłem w IMP w W-wie dwa zaoczne kursy z lakiernictwa i galwanotechniki. Później ukończyłem studia magisterskie i razem z Heńkiem Wysockim otrzymaliśmy odpowiednie dyplomy w 1969 roku.*

*W pewnym okresie poczułem się „zielony” z obróbki cieplnej, wobec tego ukończyłem studium podyplomowe obróbki cieplnej, w katedrze profesora Stanisława Prowansa. Studium to, bardzo mi się przydało w przyszłości. Tak, jako głównemu technologowi FMS POLMO w Szczecinie, a i później w fabryce traktorów w URSUSIE w Warszawie.*

*Przez cały okres swojej pracy doszkalalem się, jako samouk z języka angielskiego – szczególnie technicznego. Uzyskałem uprawnienia tłumacza tekstów technicznych. Pomogło mi to w bezpośrednich kontaktach na wyjazdach zagranicznych. Do najciekawsze zaliczam wyjazdy do USA i Indii.*

*W moim życiu zawodowym tak się złożyło, że zawsze organizowałem i uruchamiałem coś nowego. Najpierw uruchomiałem montaż motocykli JUNAK, a przy tym galwanizernię i lakiernię. Było to w fabryce Junaka. Później organizowałem wydział wałów napędowych w POLMO, a następnie – dział głównego technologa zakładów licencyjnych w Ursusie. Zawsze organizowałem nowe zespoły ludzi (za wyjątkiem działu głównego technologa w Polmo- Szczecin) i dlatego, nie miałem nigdy poważniejszych problemów międzyludzkich. Chociaż czasy łatwe nie były, szczególnie dla bezpartyjnych, do których należałem.*

*Do Szczecina przyjechałem z rodziną 1.10.1945 roku, i uważam to miasto za miasto rodzinne, mimo że około 45 lat mieszkam już w Warszawie (mieście moich rodziców). Groby rodzinne, które są pewnego rodzaju wyznacznikiem przynależności- mam po równo w Szczecinie i Warszawie.*

*W życiu towarzysko-studenckim brałem ograniczony udział, ponieważ mieszkalem w domu rodzinnym, a nie w akademiku. Przez cały czas studiów pracowałem, z czym się nie ujawniałem, bo obawiałem się kłopotów ze strony władz uczelnianych. Równolegle uprawiałem sport. Teraz się dziwię jak to wszystko można było pogodzić? Ale, kiedy się ma 20 lat to... można. Naprawdę, można!*

*Poważny kryzys przeżyłem jesienią 1953 roku. Musiałem poddać się operacji nogi i, przez 6 tygodni nie uczęszczałem na wykłady oraz ćwiczenia. Wtedy bardzo mi pomogli koledzy: Henryk Ciesielski (niestety nie ukończył studiów) i Zbigniew Jurkstwicz, którzy przynosili mi notatki do szpitala. Groziła mi strata roku. Bardzo pomógł mi wówczas mgr inż. Lorkiewicz,*

*którego słowa pamiętam do dzisiaj: „Niech pan się nie załamuje i niech pan próbuje”. Moja sympatia do jego osoby trwała przez całe studia, czemu koledzy się dziwili, bo uchodził za nieprzystępnego asystenta.*

*Moje perypetie z wojskiem były szeroko znane, bo chyba, jako jedyny dwa razy wojsko „oblałem”. Moja twarz nie pasowała do ludowej armii. No i niektórzy koledzy do tego się przysłużyli? Zaczęło się od tego, że z nogą w gipsie nie chciałem chodzić na ćwiczenia. Mjr Jurkowski specjalnie przychodził na moje egzaminy poprawkowe. Było to paradoksalnie korzystne dla mnie, bo przy komisyjnym egzaminie nie udało mu się mnie oblać i dostawałem 5 i 4-ki. Teraz tamto „wojsko” wydaje mi się wielką dziecinadą, ale wtedy? Wtedy były takie czasy.*

*Przez cały czas pobytu w Szczecinie związany byłem ze sportem. W zapasach występowaliśmy w jednej drużynie z Ryszardem Zambrzyckim. Później, po kontuzji nogi zajmowałem się tylko gimnastyką przyrządową, jako zawodnik. W 1952 r. zdobyłem mistrzostwo Polski juniorów. Następnie byłem trenerem, sędzią i działaczem.*

*Ze Szczecina do Ursusa przenieśliśmy się razem z Kazikiem Kubiakiem (1974) i Heńkiem Wysockim (1975) i tu doczekaliśmy emerytury – niestety bez Heńka (zmarł w Warszawie – MW)*

*W Ursusie przeżyliśmy wielką przygodę techniczną (zawodową), uczestnicząc od początku w uruchomieniu licencji ciągnika Massey-Ferguson - Perkins. Szkoda, że nie w pełni udanej).”*

Zdziśka nie mogłem namówić na zwierzenia z najciekawszej praktyki inżynierskiej, czyli z okresu uruchamiania traktorów opartych o rozwiązania MFP. Mam nadzieję, że w pewnym czasie poznamy ten ciekawy okres czytając jakąś pracę magisterską albo doktorską pod tytułem...  
Czego Zdziśkowi życzę.  
Zachęcam do przeczytania bardzo ciekawych wspomnień Zdzisława, które są zamieszczone na stronie internetowej

[www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) – BLOGI – *Wspomnienia z ubiegłego wieku oraz Wspomnienia Pierwszego Mistrza montażu motocykla JUNAK*

**Profesor Makarewicz na egzaminie zadał Zdzichowi kolejne pytanie z teorii mechanizmów**

**- Kiedy będziecie już inżynierem kolego, i przyjdzie do was majster, i zada wam pytanie, jak narysować ewolwentę? To wtedy, co mu powiecie?**

**Zdzisiek na to:**

**– Panu profesorze, ewolwentę narysuję, ale majstrowi nigdy. Za taką odzywkę majster będzie musiał ganiać dookoła hali, a może i fabryki?**





### **Eugeniusz Świerczyński.**

Ur. 16.03.1931 r. we wsi Dmenin  
gmina Kodrąb woj. łódzkie.

Jedna z najstarszych miejscowości z  
1394 roku.

Liceum ogólnokształcące w Radomsku ukończył w 1951 r. W latach 1952-56 studiował w Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Budowy Maszyn.

Po ukończeniu studiów i otrzymaniu dyplomu inżyniera, rozpoczął pracę w goleniowskiej fabryce opakowań blaszanych, w zakładzie, w którym dotychczas nie było pracownika z wyższym wykształceniem. Załogę produkcyjną w większości stanowiły kobiety. Fabryka produkowała puszki metalowe dla przemysłu rybnego, spożywczego i chemicznego.

Zakład wyposażony był w przestarzałe maszyny, niekiedy jeszcze poniemieckie. Technologia produkcji oparta była na sile mięśni ludzkich i była mało wydajna. Jak wspomina, pierwsze miesiące pracy nie należały do ciekawych. Przygotowanie załogi fabryki do „tłocznictwa” było mizerne. Natomiast pracownikom nie brakowało energii i zapału. Eugeniusz wspinając się po drabinie awansów zawodowych pracował na różnych stanowiskach, Najpierw był konstruktorem oprzyrządowania. Następnie kierownikiem sekcji konstrukcji oprzyrządowania.

W niedługim czasie awansował na stanowisko kierownika wydziału narzędziowego.

W 1962 r. przeniósł się do goleniowskiej fabryki mebli, by brać czynny udział w jej budowie i w wyposażaniu w maszyny i urządzenia. Tutaj pracował w dziale inwestycji.

A od 1963 do 1965 r. pełnił funkcję głównego technologa i szefa produkcji w CWP (centralnych warsztatach portowych) w Szczecinie.

W 1965 roku powrócił do goleniowskiej fabryki opakowań blaszanych, gdzie objął stanowisko kierownika sekcji postępu technicznego.

Powrócił do Goleniowa, bo był to okres rozwoju przemysłu opakowań. Wprowadzane były nowe pomysły techniczne w tłócznictwie opakowań, nowe maszyny i nowe technologie. Od 1976 do 1991 roku pełnił funkcję zastępcy dyrektora d/s technicznych. Brał czynny udział w rozwoju fabryki kierując jej zapleczem technicznym. Wiele podróżował służbowo po kraju i poza granicami kraju.

W swoim dorobku ma dwa wynalazki, które otrzymały świadectwa patentowe. Jeden z wynalazków dotyczył konstrukcji prasy mimośrodowej do tłóczenia elementów blaszanych, drugi zaś dotyczy konstrukcji podajnika dla prasy automatycznej przy tłóczeniu z pasów blaszanych. Urządzenia zostały wdrożone do produkcji i przyniosły ogromne efekty ekonomiczne.

To spowodowało, że został wpisany do KM (klubu milionerów), wynalazców i racjonalizatorów woj. szczecińskiego. Otrzymał list gratulacyjny od ówczesnego przewodniczącego WKTiR - J. Piskorz - Nałęckiego i przewodniczącego WRZZ - B. Fikiela.

Za pracę zawodową otrzymał wiele wyróżnień i odznaczeń: Zasłużony dla zakładu „Goleniowskiej Fabryki Opakowań Blaszanych”, Zasłużony pracownik OPAKOMETU, Zasłużony Pracownik Przemysłu Spożywczego i Skupu, Gryf Pomorski, Medal 40-lecia PRL, Srebrny Krzyż Zasługi.

W roku 1991 przeszedł na rentę inwalidzką I grupy. Nadal pozostał skromnym człowiekiem, a nie posiadając bliskiej rodziny, chętnie wraca do wspomnień z lat młodości, beztroskich chwil wśród przyjaciół z uczelni i akademika.

*„W pamięci utrwaliły mi się mile i wesołe momenty. Nie byliśmy pozbawieni kłopotów i zmartwień. Wynikały one z tego, że kraj nie był bogaty, a my studenci jeszcze biedniejsi. Jediną osiągalną rzeczą była możliwość studiowania.*

*Z domu rodzinnego wyniosłem przestrożę ojca: ‘Nigdy nie rezygnuj z wiedzy! Masz możliwości, których ja nie posiadałem, ucz się byś był przydatny zrujnowanemu przemysłowi!’*

*I za te słowa wdzięczny jestem tacie. Wdzięczny ojcu jest również za jego czyny. Ponieważ w niedługim czasie trójka rodzeństwa ukończyła wyższe uczelnie.”*



**Kazimierz Taczała.**

Ur. 25.12.1935 r.

Wdowiec.

Troje dzieci: Maciej ur. 1961 r. absolwent P.S. Instytutu Okrętowego i po uzyskaniu doktoratu w 1994 r. jest tam zatrudniony, obecnie dziekan wydziału.

Dorota ur. 1963 r. absolwentka

Uniwersytetu Szczecińskiego, pracuje w firmie AEROTECH w Szczecinie

Alicja ur. 1983 absolwentka Uniwersytetu Szczecińskiego Wydział Nauk Ekonomicznych, właścicielka pizzerii KULUARY.

Wnuki: Karolina i Bartek, Gabriela

Prawnuki: Zuzanna, Hanna, Alfred, czwarty w drodze (stan 12.2017)

Studia rozpoczął w roku 1952 na Wydziale Budowy Maszyn Wyższej Szkole Inżynierskiej w Szczecinie (późniejszej P.S.) i kończył je w 1957 uzyskując dyplom mgr inż. mechanika.

Od chwili ukończenia studiów do maja 1989 r. zatrudniony był w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego, kolejno, jako budowniczy, starszy budowniczy, kierownik budowy, a przez ostatnie 20 lat, jako główny budowniczy statków. Tylko epizodycznie w latach 71-72 pracował, jako z-ca Szefa Biura Konstrukcyjnego Stoczni.

Po odejściu ze stoczni, od czerwca 1989 r., z okresowymi przerwami pracował w tureckiej stoczni PENDIK k/Stambułu, nadzorując i koordynując prace na statkach

budowanych dla armatorów PŻM, oraz na dwóch masowcach 75000 DWT dla armatora tureckiego.

W 1995 r. przeszedł na emeryturę, lecz w dalszym ciągu pracuje, jako doradca w stoczni tureckiej. Przy budowie tych statków przydatne jest doświadczenie, jakie zdobył w czasie pracy w Stoczni Szczecińskiej i w czasie pływania, jako mechanik gwarancyjny.

Do największych osiągnięć zawodowych zalicza kierowanie budową: 10 statków serii B-850 przeznaczonych do badań oceanograficznych dla marynarki wojennej b. ZSRR, dwóch masowców dla armatora meksykańskiego, 12 statków do przewozu chemikaliów dla Norwegii (statki te zdobyły szereg wyróżnień krajowych i międzynarodowych); serii masowców B-542 i B-545 dla armatora szczecińskiego (PŻM)

Największą satysfakcją zawodową dała mu praca przy budowie wspomnianych chemikaliowców typu B76, gdzie skupiło się wszystko to, co było najlepsze w polskim przemyśle okrętowym, i które to statki na pewien okres były wizytówką tego przemysłu. Statki te pływają do dziś i są w dobrym stanie technicznym, mimo upływu ponad dwudziestu lat od wejścia do eksploatacji.

Dużą satysfakcję stanowiła praca w stoczni tureckiej, gdzie mimo wolniejszego tempa budowy statków, wykazywać się trzeba dużą samodzielnością i wszechstronnością w rozwiązywaniu różnych problemów oraz umiejętnością poruszania się w środowisku znacznie różniącym się od stosunków panujących w Polsce.

Uzyskane wyróżnienia i nagrody to: Nagroda Państwowa I-go Stopnia w Dziedzinie Techniki za udział w opracowaniu projektu okrętu oceanograficznego (1966). Nagroda Wojewódzka NOT II-go Stopnia za: nowe rozwiązania konstrukcyjne zastosowane na masowcu B-449 (1970 r.); Nagroda Ministra za serie statków B-850, B-449, B-876 (1973 r.); Medal za zasługi dla województwa piotrkowskiego (1985

r.); Brązowy Medal za Zasługi dla Obronności Kraju (1973 r.); Złoty Krzyż Zasługi (1973 r.).

We wrześniu 1997 r. obchodził 40-lecie pracy zawodowej i nigdy nie uważał tych lat za stracone. Podczas pracy w Stoczni czterokrotnie był delegowany do pracy, jako mechanik gwarancyjny. W 1959 do Albanii, w 1961 do Indonezji, w 1969 do Meksyku i w 1978 do Norwegii. Pływając na statkach budowanych w stoczni szczecińskiej, jako mechanik, mógł opłynąć całą kulę ziemską, być na wszystkich kontynentach, i zwiedzić bardzo wiele portów Świata. Z chwilą przejścia na emeryturę zajmuje się tłumaczeniami z j. angielskiego (tłumacz przysięgły).



**Ludwik Taluniewicz.** Urodzony 26. 08.1933 roku na Litwie..  
Żona Bronisława, nauczycielka. Dwie córki:  
Kinga ur. 1968 r. – matematyk -  
absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego;  
Katarzyna ur. 70 r. - absolwentka  
Uniwersytetu Gdańskiego, ukończyła  
geografię.  
Wnuk: Marcin ur. 1996 r.

Studia rozpoczął w 1952 i ukończył w 1956 uzyskując dyplom inżyniera mechanika.

O sobie opowie własnymi słowami.

*„Urodziłem się na Litwie. Tam ukończyłem 9 klas szkoły podstawowej i średniej (w języku litewskim).*

*Mój przyjazd do Polski to zbieg okoliczności związanych z II wojną światową i skomplikowanego układu politycznego Europy. Lecz to długa historia. Krótko mówiąc rodzice zdecydowali się uciekać z Litwy w miarę zbliżania się frontu wschodniego (bolszewików), gdyż zdawali sobie sprawę, jaki los może nas spotkać pod ich okupacją.*

*Ojciec z dwoma braćmi przedostali się do Polski w 1945 r. Mamie, mnie i młodszej siostrze udało się wyjechać z Litwy dopiero w 1950 r. w ramach łączenia rodzin.*

*Przyjechałem do Polski nie znając w ogóle języka polskiego. W Miastku (woj. śląskie), gdzie mieszkał ojciec z braćmi, a później i my, zaliczyłem 10-tą i 11-tą klasę szkoły ogólnokształcącej i szczęśliwie zdałem egzaminy maturalne. Wielkich problemów z językiem polskim nie miałem, ale to dzięki*

temu, że miałem dopiero 16 lat, a w tym wieku umysł jest chłonny na języki obce.

Ta zmiana Ojczyzny skomplikowała mi całe życie. Przez długi czas nie czułem się pełnowartościowym obywatelem Polski, czułem się trochę wyobcowany. Może i to było po części powodem, że nie włączałem się całkowicie do życia towarzyskiego na studiach, a nawet później, podczas pracy zawodowej miałem zahamowania.

Wspominając moje pierwsze lata w Polsce, mam miłe wspomnienia i wdzięczność do Polaków, że choć znali moje litewskie pochodzenie, nie zaznałem od nich nigdy żadnego upokorzenia, a raczej życzliwość i koleżeńskość.

Ale wracając do życiorysu, lat spędzonych na studiach w Szczecinie, to może z wymienionych uprzednio powodów, nie mógłbym zaliczyć tego czasu do najszcześniejszego okresu mojego życia. Nie byłem zbyt zdolny, ale dzięki pracowitości i uporowi studia ukończyłem i dyplom inżyniera uzyskałem.

Po studiach podjąłem pracę w Słupskiej Fabryce Maszyn Rolniczych. Tam przepracowałem ponad rok, jako technolog. Ze Słupska przenieśliem się do stoczni w Ustce. Rozpocząłem pracę na stanowisku konstruktora. Później pracowałem na różnych stanowiskach, przeważnie związanych z biurem konstrukcyjnym. Nie zrobiłem wielkiej kariery zawodowej. Najwyższe stanowisko, jakie udało mi się osiągnąć to było stanowisko głównego technologa.

W 1962 r. ze Stoczni „Ustka” przenieśliem się do Centralnego Biura Konstrukcji Okrętów w Gdańsku, ale po dwóch latach, głównie z powodu kłopotów mieszkaniowych wróciłem spowrotem do Ustki. I tak pozostałem w Ustce do dnia dzisiejszego.

Ożeniłem się w 1965 r. Żona - nauczycielka, również pochodzenia litewskiego była z Sejn.



*Na początku mieliśmy 2-pokojowe mieszkanie, potem 3-pokojowe. Później, gdy powiększyła się rodzina i była taka możliwość, przystąpiliśmy do budowy własnego domu.*

*Bywało różnie, raz lepiej, raz gorzej. Żyliśmy oszczędnie i pracowicie. Cały czas byłem zapracowany i nie miałem czasu na życie towarzyskie i inne przyjemności.*

*Moja żona po ukończonych studiach nauczycielskich I-go stopnia, przez kilka lat studiowała zaocznie w Wyższej Szkole Nauczycielskiej, zdobywając tytuł magistra fizyki.*

*Córki dorastały, a my kontynuowaliśmy rozpoczętą budowę domu.*

*W 1979 r. wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Spędziłem tam ponad 2 lata. Ze względu na rodzinę, przed samym ogłoszeniem stanu wojennego wróciłem do Polski. Pracy w stoczni już nie podjąłem. I od tego czasu nie pracuję zawodowo. Ponieważ w sumie przepracowałem 29 lat (razem ze studiami), czekam teraz na ukończenie 65 lat i jeżeli przepisy się nie zmienią to może zacznę otrzymywać emeryturę. Na pewno nie dużą, z uwagi na staż, no i moje zarobki w ostatnim okresie pracy (niezbyt były wysokie).*

*Pomimo przerwania pracy zawodowej, nadal pracuję fizycznie na własnym podwórku. Główne prace wykończeniowe przy budowie domu wykonywałem osobiście. Zostało jeszcze wiele do zrobienia. Przerabiam, dobudowuję, usprawniam itd.*

*Wracając do życiorysu; kiedy żona zdobyła tytuł magistra, a córki podrosły i nasza sytuacja finansowa się poprawiła, żona zachorowała na raka i po 2-ch miesiącach, w 1986 r. zmarła. Starsza córka była wtedy na I-szym roku studiów, młodsza w III-ciej klasie liceum ogólnokształcącego. A życie płynęło dalej.*

*Starsza córka ukończyła matematykę w Uniwersytecie Gdańskim, młodsza - geografię w tej samej uczelni. W 1993 r. powtórnie się ożeniłem. Żona Krystyna, również nauczycielka, z Sierpca (woj. płockie), obecnie już emerytka. Dziwne to nasze obecne małżeństwo. Żona ma swoją posiadłość*

w Sierpcu, tam jeszcze trochę pracuje i tam mieszka. Spotykamy się przeważnie raz na miesiąc. Ma to swoje dobre i złe strony.

Ja mieszkam w Ustce, we własnym domu. W okresie wakacyjnym 5 pokoi wynajmuję wczasowiczom. Z tego mam niezły dochód.

Młodsza córka wraz z mężem - inż. mechanikiem mieszkają ze mną. Mąż córki pracował w Słupsku, w „Kapenie” jako konstruktor prowadzący przy projektowaniu autobusów, obecnie zatrudniony jest w „Warcie” jako rzeczoznawca. Okazuje się, że także w mojej rodzinie zachowała się ciągłość pracy projektowej. Córka jest obecnie na urlopie macierzyńskim, gdyż mają syna - Marcina. Z tego wynika, że jestem już dziadkiem.

Starsza córka po ukończonych studiach przez dwa lata pracowała w Gdańsku. W 1996 r. wyjechała do USA, powróciła i nadal pracuje w Gdańsku. Myślę, że będzie chciała powtórnie wyjechać. Ma taką możliwość, wyjeżdża, jako emigrantka i posiada zieloną kartę.

Ja również taką posiadam i mam prawo mieszkać w USA. Dzięki temu, co roku jeżdżę do Stanów (do Chicago). W 1996 r. byłem tam nawet dwa razy - raz wiosną pojechałem na tydzień, by nie stracić zielonej karty, drugi raz jesienią wraz z córką, by ułatwić jej pierwsze kroki na obcym kontynencie. Mam tam już sporo znajomych i niezłe rozeznanie.

W ogóle moje obecne życie to ciągle wyjazdy i powroty. Przynajmniej raz w miesiącu jeżdżę do Sierpca. Raz w roku jestem w USA. Od kilku lat mam również obywatelstwo litewskie i utrzymuję kontakty ze swoimi rodzinnymi stronami.

Z wyjazdami mam trudności, gdyż od prawie dwóch lat mieszka ze mną moja mama, która ma już 90 lat, wymaga opieki i bardzo przeżywa każdy mój wyjazd. Całe szczęście, że córka dużo mi pomaga.

Staram się nadal być czynnym człowiekiem, choć trochę dokucza mi reumatyzm. Jak na razie mam za dużo obowiązków, więc nie mam czasu na większe chorowanie. Czasem jeżdżę do

*sanatorium, które zresztą jest tu na miejscu. Ustka to przecież znana miejscowość wypoczynkowo - sanatoryjna. Muszę pochwalić się tym swoim miastem. Przemieszkalem tu tyle lat i nie żałuję tego wyboru. Przynajmniej mam wszystko na miejscu i nie mam problemów komunikacyjnych. Latem jest tu bardzo ładnie. Przyjeżdżajcie! Przekonacie się sami!”*

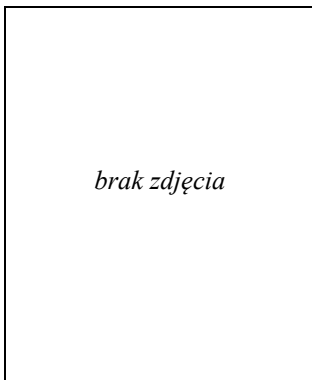
Ludwik po siedemnastu latach napisał: „*To już tyle lat minęło, a wydaje mi się, że tak niedawno pisałem pierwszą część mojego życiorysu. Mama już nie żyje. Zmarła mając prawie 95 lat. Mam nadzieję, że i ja dożyję takiego wieku. Starsza córka Kinga ułożyła sobie życie w Niemczech. Tam mieszka i pracuje. Mają dwoje dzieci. Dzieci, a moje wnuki każdego roku wakacje spędzają w Ustce.*

*Młodsza córka Kasia z rodziną coraz bardziej wiąże się z Ustką. Prowadzą dwa pensjonaty. Starszy syn Marcin jest studentem III roku Politechniki Gdańskiej. Młodszy za rok będzie zdawał maturę. My z żoną Krystyną nie marzymy, aby nam było lepiej. Chcemy, aby nie było gorzej. Nie nęcą nas wyjazdy na Zachód. Stwierdzamy, że w Polsce i na Litwie jest tyle uroczych miejsc, że jest, co podziwiać”*

*„...Po połączeniu rodziny w Polsce, rodzice i nas czwórka dzieci (Stanisław, Ludwik, Algis i Janina) zamieszkaliśmy w mieszkaniu ojca w Miastku obok apteki. Było nam trochę ciasno i wtedy postanowiliśmy zagospodarować podręczny magazynek na pokój dla uczących się chłopców. Pokój okazał się wystarczający, ale nie było w nim światła elektrycznego. W piwnicy znalazłem oprawkę do żarówki, gniazdko i wyłącznik. Brakowało kabla, którego nigdzie nie mogłem znaleźć. Był rok 1950 sklepów z osprzętem elektrycznym w Miastku nie było. Zauważyłem, że nad naszym podwórkiem zwisa jakiś kabel. Wystarczyło trochę gimnastyki i kabel zdjąłem. Jego długość akurat pasowała, aby podłączyć go do licznika prądu.*

*Wieczorem, kiedy zapaliłem światło, w naszym pokoiku było miło i świątecznie, a rodzina gratulowała mi fachowości technicznych.*

*Do szkoły chodziliśmy my dwaj tj. Stanisław i ja. Ja chodziłem na przyczepkę z bratem, bo nie znałem języka polskiego i miałem się jedynie przysłuchiwać. W klasie siedziałem z Polakiem, który z kolei mnie nie rozumiał. Graliśmy w szachy pod ławką. Kiedy rozgrywaliśmy partię, na lekcji języka polskiego, do klasy bez pukania, weszło dwóch w cywilnych ubraniach i wywołali mnie po imieniu i nazwisku. Zabrali mnie na komisariat milicji, zamknęli w małym pomieszczeniu, bo dogadać się ze mną nie mogli. Nie znali litewskiego, a ja nie znałem polskiego. Po kilku godzinach mnie wypuścili. W domu dowiedziałem się od taty, że ja, domorosły elektryk, pozbawiłem na trzy dni centralę banku prądu i telefonów. Do miasta przyjechała specjalna komisja z województwa, aby stwierdzić sabotaż. Moją instalację oglądał elektryk fachowiec i stwierdził, że była wykonana poprawnie i nie zagrażała pożarem. Czulem się jak przestępca, sabotażysta i mogli mnie skazać abym odpokutował. Nie zrobili tego, dlaczego? Nie wiem. Wiem, że dzisiaj mógłbym się ubiegać o kombatantstwo. Przecież na kilka dni unieruchomiłem ważną jak na tamte czasy instytucję – bank, a mnie represjonowano....”*



**Paweł Topoliński. \*)**

Żonaty.

Synowie (?)- absolwent Politechniki Gdańskiej - lat 26; (?) - ślusarz w „Klimarze” w Gdyni - lat 30. Obaj synowie nie są jeszcze żonaci.

Studia kończył w 1956 r., uzyskując dyplom inżyniera mechanika na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej.

Przez następne 17 lat pracował w hucie STALOWA WOLA w charakterze technologa, konstruktora, kierownika sekcji i specjalisty d/s analizy wartości. Przez następne 12 lat, w HYDROSTERZE Gdańsk, gdzie zajmował się analizą wartości, a następnie postępowaniem technicznym. W 1985 rozpoczął pracę w fabryce ZREMB w Gdańsku na stanowisku konstruktora. Nie zamierzał opisywać dokładniej swojej drogi zawodowej, bo twierdził, że są to dla niego wspomnienia przykre. (Tak napisał w roku 1986).

W styczniu 2001 po otrzymaniu książki pt. „A to My” Paweł napisał:

*”Dziękuję za książkę. Jest ona po prostu wspaniała.*

*Czytam ją po raz trzeci. Jest mi wstyd, że mój poprzedni życiorys przedstawiłem tak lakonicznie i dlatego chciałbym teraz nieco rozwinąć.*

W 1956 roku po otrzymaniu dyplomu ( ze względów rodzinnych) postanowiłem, że wezmę nakaz pracy do huty STALOWA WOLA. W hucie SW zacząłem pracę na stanowisku technologa w wydziale narzędziowym. Zajmowałem się opracowaniem technologii, uchwytów obróbczych, sprawdzianów i narzędzi. W tym czasie w Polsce każdy zakład pracy (w tym i huta SW), brał sobie za punkt honoru, rozpocząć produkcję samochodu. Akurat byłem w tym kręgu pasjonatów i dlatego oprócz normalnej pracy konstruktora oprzyrządowania, z kolegą konstruowaliśmy bardzo mały silnik wysokoprężny. Dodam, że dokumentację tego silnika oparliśmy o oryginalny silnik z Zachodu, który rozebraliśmy do najdrobniejszej części, dokonaliśmy pomiarów, a nawet niektóre części prześwietlaliśmy, aby niczego nie uronić. Czyste zrzynanie, jak mawialiśmy w naszym gronie. W ten sposób powstała nasza dokumentacja (ze zmianami). Oficjalnie silnik miał służyć wózkom do transportu wewnętrznego w hucie SW. Marzyliśmy, że ten silnik (już nasz) będzie dobrym początkiem produkcji małych samochodów. Taki był wówczas pęd do motoryzacji. Niestety produkcji tego silnika nie udało się uruchomić, a szkoda. W wyniku pracy nad silnikiem dałem się poznać, jako zdolny konstruktor, wobec czego zaproponowano mi pracę w dziale konstrukcyjnym. Od tej chwili w hucie STALOWA WOLA, jako kierownik sekcji, konstruowałem: wózki do transportu bliskiego z napędem akumulatorowym, wózki paletowe, ruchome rampy załadownicze i wyladowcze, wózki widłowe, a także agregaty sprzężarkowe. Pęd do konstruowania samochodu w hucie panował nadal. W biurze konstrukcyjnym opracowywaliśmy wówczas dwa samochody spalinowe, dostawcze i jeden samochód dla dzieci. W hucie SW wykonano prototypy i poddano próbom eksploatacyjnym. Prototypy objeżdżyły niemal całą Polskę. Jeden z prototypów wszedł do produkcji seryjnej. Był to samochód ciężarowy z napędem elektrycznym SA-1. Przez kilka

lat można go było spotkać na wybrzeżu w Gdyni. W tym czasie postanowiłem uzupełnić wykształcenie poprzez studia magisterskie w Politechnice Krakowskiej (zaocznie). Wykłady odbywały się w Stalowej Woli w soboty i niedziele, a ćwiczenia, kolokwia, egzaminy w Krakowie. Studia trwały cztery lata, a ilość egzaminów była równa z tymi w Szczecinie. W ten sposób zostałem magistrem inżynierem. Później zajmowałem się wdrażaniem do produkcji urządzeń dla górnictwa. Były to obudowy górnicze hydrauliczne, hydrauliczne stojaki górnicze, a także agregaty sprężarkowe. Urządzenia te były konstruowane przez zakład konstrukcyjny przemysłu węglowego w Gliwicach. Ścisła współpraca z górnictwem była nad wyraz ciekawa, ale propozycji pracy w górnictwie nie podjąłem z uwagi na to, że kopalnie mnie przerażały. W wyniku reorganizacji biura, na jakiś czas zostałem specjalistą d/s rozwoju konstrukcji agregatów sprężarkowych.

W pewnym okresie zostałem skierowany na kurs analizy wartości w Lublinie i po jego ukończeniu byłem analitykiem wartości i wynalazczości. W hucie dorobiłem się również patentu pt. zespół napędowy wózka akumulatorowego. Wózki z moim napędem jeżdżą po dzień dzisiejszy. Względy rodzinne (przydział mieszkania) spowodowały, że zmieniłem pracę. Rozpocząłem pracę w HYDROSTERZE Gdańsk, gdzie zajmowałem się analizą wartości. Praca polegała na tym, że powoływałem zespół ludzi, który (za określone ekstra wynagrodzenie) pracował pod moim nadzorem, realizując mój pomysł. Od założeń, poprzez wszystkie stadia, aż do uruchomienia produkcji. Właśnie jeden z zespołów opracował i wdrożył do produkcji siłowniki hydrauliczne spawane. Dotychczas produkowano pracochłonne siłowniki skręcane. Z kolei zespół opracował i wdrożył cały typoszereg sprzęgieł elastycznych i napędowych do urządzeń na statkach. Naszą pracę doceniono. Została wyróżniona przez dyrektora zjednoczenia przemysłu okrętowego. Niestety, osiągnięcia nie są

*mile widziane. Mnie powierzono robotę papierkową. Zmieniłem pracę. Po jedenastu latach pracy w HYDROSTERZE przeszedłem do ZREMB Gdańsk na stanowisko konstruktora. ZREMB w tym czasie produkował betoniarki na podwoziu samochodowym i szereg innych urządzeń budowlanych. Po roku pracy w „ZREMB” poszukałem pracy w biurze projektowym PROMOR. Na początku pracowałem przy adaptacji licencyjnej dokumentacji radzieckiej dla budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Po zaniechaniu tej budowy opracowywałem projekty dla przemysłu okrętowego i portów wybrzeża polskiego.*

*W 1991 roku, po 35 latach pracy, zostałem zwolniony z biura i musiałem mocno się trudzić, aby uzyskać emeryturę. Teraz zajmuję się kotem. Tobie życzę, aby następna książka o naszej grupie była bestsellerem.*

*Paweł*

*ps. Jedynym moim odznaczeniem, otrzymanym w HYDROSTERZE to...Medal Racjonalizatora Produkcji”*

**Na strzelnicy strzelaliśmy z broni krótkiej. Tym razem z pistoletu TT. Paweł strzelał z biodra. A oficer stojący z tyłu krzyczał na niego i nakazywał, aby wyciągał rękę przed siebie i celował do tarczy, a nie jak kowboj z biodra!**

**Nagle Paweł z pistoletem w dłoni odwrócił się do oficera, a ten głośno rozkazy:**

**–Rzuć broń! rzuć broń! wydawał z dołków piasku pod stopami „Pawki” (Paweł miał taką ksywkę).**





**Wiesław Stefan Turek.**

Ur. 19.08.1934 r. w Tatarze.

Żona Alina. Syn Paweł.

Dwoje wnuków: Kryspin i Ismena.

Studiów wyższych w Szczecinie nie ukończył, bo przeniósł się do Wrocławia. Ale zapisał się w naszej pamięci, jako wesoły, solidny kolega i był związany z nami bardzo

silnymi więzami uczuciowymi.

O nim samym opowie nam żona Alina.

*„Wiesław urodził się w dawnym województwie łódzkim, obecnie piotrkowskie. Ukończył gimnazjum ogólnokształcące w Piotrkowie Trybunalskim. W latach 50-tych studiował w Politechnice Szczecińskiej. W roku 1960 znalazł się we Wrocławiu, gdzie ożenił się ze mną.*

*Pracował we wrocławskiej ASPIE (dawniej fabryce wodomierzy) jako konstruktor do 1968 roku. Jednocześnie kontynuował studia w Politechnice Wrocławskiej, gdzie otrzymał dyplom i tytuł mgr inż. mechanika ze specjalnością obrabiarki, narzędzia i technologia budowy maszyn. Dyplom otrzymał w październiku 1970 r.*

*W roku 1968 zakochał się w Karkonoszach i przeniósł wraz z rodziną do Cieplic k/Jeleniej Góry, gdzie został zatrudniony w fabryce maszyn papierniczych FAMPa w Cieplicach w dziale konstrukcyjnym. Pracował tam do 1979 r. Również ja tam pracowałam, w dziale ekonomicznym i studiowałam na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.*

*Od roku 1979 do 1981 Wiesław pracował w zakładach metalowych w Podgórzynie k/Jeleniej Góry, jako dyrektor techniczny.*

*Od 1981 do 1987 r. pracował, jako główny mechanik w meblarskiej spółdzielni pracy w Łomnicy koło Jeleniej Góry, następnie, jako konstruktor w karkonoskich zakładach papierniczych do 1989 r. i ostatnio w karkonoskich zakładach maszyn elektrycznych KARELMA w Piechowicach, również, jako konstruktor. Stąd odszedł w roku 1991 na rentę, ze względu na zły stan zdrowia (miażdżyca - miał kłopoty z chodzeniem). Po operacji (założenie by-passów) wydawało się, że wszystko będzie dobrze, niestety ujawnił się nowotwór przełyku, na którym lekarze wcześniej się nie poznali i było już za późno na ratunek. Zmarł po ciężkich cierpieniach 1. lipca 1993 roku i jest pochowany na cmentarzu parafialnym w Jeleniej Górze-Cieplicach.*

*Wiesław we wszystkich zakładach, w których pracował był zawsze bardzo aktywnym pracownikiem. Na swoim koncie miał kilkadziesiąt wniosków racjonalizatorskich oraz 2 patenty.*

*Společnie raczej się nie udzielał, bo szkoda mu było na to czasu.*

*Jako, że był człowiekiem niepokornym i nie zabiegał o zaszczyty nie otrzymywał odznaczeń, poza dyplomami i wyróżnieniami związanymi z pracą zawodową.*

*Pracując w fabryce maszyn papierniczych ukończył drugi fakultet o specjalności: technologia maszyn papierniczych w Politechnice Wrocławskiej.*

*Sądzę również, że Wiesław byłby dumny i zadowolony, że ktoś o nim pamięta i że znajdzie się w Waszej kronice. Dziękuję w jego imieniu.*

*Z poważaniem – Alina Turek”*

Przed drzwiami profesora Wendekera Wiesiek przestępował z nogi na nogę i narzekał, że tyle się uczył i nic nie pamięta, że głowa go boli, że brak mu jasności myślenia i koncentracji i tak dalej.

Olek (*Zdzisiek Zaleski*) na to, że ma fiolkę kofeiny, ale za Chiny Ludowe nie wie jak to działa. Wiesio zawartość fiołki połknął i za chwilę był już na egzaminie z mechaniki teoretycznej. Wyszedł po kilku minutach z gabinetu egzaminującego i myśleliśmy, że zdał, bo minę miał roześmianą. Twarz była w rumieńcach i uśmiech był od ucha do ucha.

Pytamy go - jaki wynik? a on na to

- To co dał mi Olek jest fantastyczne. Odzyskałem i wiedzę i jasność myślenia i koncentrację i... ale egzamin zawałilem. Ale to, to jest to – stale powtarzał.



**Józef Leszek Uniżycki.**

Ur. w 1932 r. we Włocławku.

Żona, dwoje dzieci.

Po ukończeniu studiów w czerwcu 1957 i uzyskaniu tytułu inż. mechanika. Podjął pracę w przedsiębiorstwie połowowym „Barka” w Kołobrzegu w charakterze mechanika silnikowego. W 1959 r. został w kombinacie budowlanym, jako kierownik bazy sprzętu. Następnie awansował do stanowiska zastępcy dyrektora. Po 10 latach pracy w kombinacie został przeniesiony służbowo do tzw. przemysłówki w Koszalinie na stanowisko zastępcy dyrektora, na którym pracował do 1970 roku.

Z kolei przez następne dwadzieścia lat (1970-1990), jako dyrektor oddziału, kierował PKS (państwową komunikacją samochodową) w Kołobrzegu. Całe swoje życie poświęcał ziemi koszalińskiej. Miastom: Białogard, Świdwin, Połczyn-Zdrój, Karlino, a w szczególności Kołobrzegowi. Przez wiele lat związany był ze sportem, jako wice prezes MZKS KOTWICA (w latach 80-tych) oraz prezes „Transportowca”. Ostatnio był radnym rady miasta Kołobrzeg, przewodniczącym komisji komunalnej i ochrony środowiska. Był również delegatem Rady Związku Miast i Gmin dorzecza Parsęty. (*Informacje – na podstawie listu JLU z dnia 19.08.1997 roku – MW*)



**Mieczysław, Franciszek Walków.**

Ur. 20.09.1932 w Łanowcach

(Małopolska Wschodnia)

Żona Alina - informatyk, obecnie emerytka.

Córka Grażyna ur. 1956 r. mgr inż.

absolwentka Politechniki

Wrocławskiej, Instytutu Zarządzania

za granicą i Zachodniopomorskiej

Szkoły Bussinesu w Szczecinie,

mieszka i pracuje w Warszawie

Syn Jarosław ur. 1962 r. mgr inż.

absolwent P.S. Wydział Elektryczny, prowadzi firmę transportu morskiego w Szczecinie.

Wnukowie: Aleksander ur. 1979 r. mgr inż. informatyk,

Marcin mgr inż. automatyk. Obaj pracują w Warszawie.

Studia na Wydziale Budowy Politechniki Szczecińskiej rozpocząłem w 1952 r. Dyplom inżyniera mechanika o specjalności technologia budowy maszyn otrzymałem w 1956 r. Pierwsze kroki zawodowe (z nakazem pracy) stawiałem w 1956 r. w zakładach przetwórstwa rybnego w Szczecinie na stanowisku kierownika warsztatów remontowych.

Po miesiącu pracy i bojach o zmianę nakazu (firma nie wywiązała się z obietnicy przydziału mieszkania), w październiku 1956 r. zacząłem pracować w SWSM (szczecińskiej wytwórni sprzętów metalowych), w późniejszej fabryce motocykli JUNAK. W JUNAKU, a późniejszym POLMO pracowałem 17 lat na różnych stanowiskach: konstruktora oprzyrządowania, kierownika sekcji konstrukcji przyrządów, konstrukcji maszyn i urządzeń specjalnych, zastępcy głównego technologa i odpowiadałem za: technologię,

dobór maszyn i organizację pracy. Brałem żywy udział w uruchomieniu produkcji motocykla JUNAK, trójkołowca B-20, samochodu „Smyk”. A także miałem swój udział w konstruowaniu i tworzeniu modelu samochodu trójkołowego „Gryfia”.

Po zatrzymaniu produkcji motocykla kierowałem przemieszczaniem produkcji mechanizmów samochodowych z FSC Starachowice i FSO Warszawa. Następnie przez kilka lat odpowiadałem za pracę ośrodka organizacji i przetwarzania danych, wprowadzając zręby informatyki w fabryce. W okresie pracy w fabryce wielokrotnie byłem wysyłany za granicę (Czechosłowacja, NRD, RFN, Włochy - FIAT, ZSRR). Stale pogłębiałem swoją wiedzę. Ukończyłem kurs kosztów własnych produkcji i studium podyplomowe organizacji i przetwarzania danych, czyli informatyki.

Pracowałem również społecznie w: kole SIMP, klubie techniki i racjonalizacji oraz w związku zawodowym metalowców.

Za pracę zawodową w tej fabryce otrzymałem wiele wyróżnień m.in. Gryf Pomorski, nagrodę Komitetu Nauki Techniki, Brązowy Krzyż Zasługi.

Na początku lat 70-tych przyczyniłem się do powstania kolegium redakcyjnego gazety zakładowej pt. „Głos Polmo”, którym kierowałem do października 1973 roku.

W 1973 roku służbowo zostałem przeniesiony do fabryki urządzeń budowlanych HYDROMA w Szczecinie, na stanowisko dyrektora. Fabryka urządzeń budowlanych w tym czasie była w tragicznej sytuacji technicznej i ekonomicznej. Była bardzo potrzebna przemysłowi, a jednocześnie była kulą u nogi dla branży maszyn budowlanych. Wynikało to z ogromnego zaniedbania i niedoinwestowania. Dla mnie był to okres ogromnego wysiłku, ale i satysfakcji. W przeciągu trzech lat z przedsięwzięcia, które było „pod dnem” powstała fabryka na poziomie europejskim. Rozpocząłem od porządkowania organizacji przedsiębiorstwa. Pokonując opór materii - niestety

załogi, musiałem likwidować złe nawyki, wprowadzić nowy sposób zarządzania, uruchamiać produkcję nowych wyrobów, rozbudowywać fabrykę, zmieniać infrastrukturę, prowadzić budownictwo towarzyszące (powstał dom o 165 mieszkaniach), zmieniać wyposażenie techniczne i technologię. Wieloletnia, wyłożona praca przyniosła oczekiwane efekty.

W rankingu fabryk zgrupowanych w zjednoczeniu BUMAR FUB HYDROMA przesunęła się z ostatniego miejsca na jedno z czołowych. I to w każdej dziedzinie. Powstały nowe wydziały wyposażone w obrabiarki sterowane numerycznie. Wybudowaliśmy i wyposażyliśmy nowoczesną galwanizernię chromu technicznego, gdzie cały proces łącznie z oczyszczaniem ścieków był sterowany komputerowo. Powstawał nowy wydział zamiejscowy w Gryficach. I zapoczątkowaliśmy powstawanie nowej fabryki cylindrów w Choszcznie. Powstały nowe ośrodki wypoczynkowe. Fabryka zaspokajała wszystkie potrzeby producentów wyrobów finalnych maszyn budowlanych, maszyn drogowych dla kolejnictwa, maszyn geologicznych i górniczych, leśnych. Osobiście prowadziłem negocjacje eksportowe i eksportowaliśmy wyroby do Niemiec i Jugosławii. Fabryka przygotowywana była do uruchomienia siłowników długich (w Choszcznie) do dźwigów samojezdnych. Własne biuro konstrukcyjne pracowało nad nowymi siłownikami i typoszeregiem pomp hydraulicznych o zmiennym wydatku.

Rozmach rozbudowy fabryki i wdrażanie coraz to nowych wyrobów powodował, że wiele czasu poświęcałem na współpracę z różnymi instytutami i fabrykami w kraju i za granicą (w Szwecji, Danii, Niemczech, ZSRR i Jugosławii). Za wkład pracy otrzymałem szereg nagród i wyróżnień, w tym Złoty Krzyż Zasługi.

Ponieważ byłem osobą niepokorną, z własnym zdaniem, musiałem odejść z fabryki na zasadzie „Murzyn zrobił swoje”. Fabrykę zostawiłem w bardzo dobrej kondycji. Świadczy o tym chociażby to, że mimo zawirowań do tej pory produkuje wyroby bez znacznego doinwestowania, (choć jest kałubkiem tamtej fabryki do czego doprowadziła głupota zwalczających się ludzi).

Później objąłem stanowisko dyrektora ZZEAP „Meratronik” - oddział w Szczecinie.

W MERATRONIKU spotkałem doskonale przygotowaną kadrę techniczną, podatną na tworzenie „nowości” niemal z marszu. Wystarczyło tylko rozsądne pokierowanie umiejętnościami załogi. Dzięki dobrej współpracy dyrektora z kadrą i załogą oddziału, w ciągu jednego roku uruchomiliśmy wiele nowych wyrobów, które później były produkowane w wielkich seriach. Pozwoliło to oddziałowi osiągnąć bardzo dobre wyniki ekonomiczne.

Jednak to niezwykle ożywienie zakładu terenowego, przstraszyło kierownictwo jednostki macierzystej w Warszawie.

Zmieniłem pracę.

Ofertę pracy, niemal natychmiast, złożył mi dyrektor ZNTK w Stargardzie, popartą przez zjednoczenie w Warszawie. Zaproponowano mi stanowisko szefa biura konstrukcyjnego maszyn dla kolejnictwa. Po pierwszej rozmowie z dyrektorem zjednoczenia, a w przyszłości moim bezpośrednim szefem, nie zdecydowałem się przyjąć oferty. Miałem złe doświadczenia w MERZE.

Nie przyjąłem również propozycji zatrudnienia w fabryce koparek w Ostrówku. Z taką propozycją wystąpił dyrektor kombinatu koparek w Warszawie i przyrzekał mieszkanie w Warszawie.

Kolejną ofertę pracy złożył mi ówczesny dyrektor zjednoczenia MEPROZET w Warszawie. Proponował objęcie stanowiska zastępcy dyrektora d/s technicznych w przedsiębiorstwie mechanizacji produkcji zwierzęcej



MEPROZET w Pyrzycach, z bardzo trudnym do realizacji w tamtych warunkach zadaniem, stworzenia prototypu i uruchomienia seryjnej produkcji wozu służącego do mieszania i zadawania pasz objętościowych dla bydła w wielkich fermach hodowlanych, czyli w PGR-ach. W ciągu roku powstał taki prototyp, który był wszechstronnie przebadany. Uruchomiona została produkcja pierwszej serii tych maszyn. Wyrób otrzymał dobre referencje w fermach hodowlanych, a także został wyróżniony nagrodą „Złotego Kłosa” w Nitrze (Czechosłowacja), na wystawie rolniczej. Jako współtwórca wyrobu otrzymałem nagrodę I-go stopnia, ówczesnego ministra rolnictwa pana Kłonicy.

W roku 1980, ze względów rodzinnych, byłem zmuszony powrócić do pracy w Szczecinie. W Szczecinie kierowałem zakładem terenowym COiD (centralny ośrodek informatyki drogownictwa) z centralą w Warszawie. Po wprowadzeniu wielu pozytywnych zmian w pracy ośrodka, doszedłem do wniosku, że dalsza praca będzie nieciekawa.

W 1981 roku na prośbę przedstawicieli załogi ( żądałem tajnego głosowania całej załogi, wynik 93% za) objąłem stanowisko dyrektora PMPZ MEPROZET w Pyrzycach. Przedsiębiorstwo było w bardzo złej kondycji. Załozdze, na zebraniu wyborczym, przyrzekłem pracę. Jedynie pracę i nic więcej.

We wrześniu 1981 rozpocząłem długi maraton ogromnego wysiłku. Dzięki mobilizacji załogi i własnym pomysłom powstały szeregi maszyn i urządzeń dla rolnictwa, które przedsiębiorstwo produkowało w wielkich seriach. Niektóre maszyny były rozwiązaniami oryginalnymi i nagradzane były na różnych wystawach i targach.

Otrzymałem z UP (urzędu patentowego) świadectwo wzoru użytkowego (nr 38594) za wielozadaniową przyczepę TURON, oraz patent nr 137743 za urządzenie transportowe do

przewozu palet, pod nazwą PYRO-S. Za całokształt pracy na rzecz rolnictwa zostałem odznaczony złotą odznaką „Zasłużony dla rolnictwa”, medalem 40-lecia PRL, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymałem szereg nagród w tym dwie nagrody II-go stopnia Ministra Rolnictwa za: typoszereg maszyn do hodowli oraz za wdrożenie do produkcji „stalowych konstrukcji eliptycznych”. W 1984 r. rozpocząłem produkcję palet UJC na eksport do RFN, Szwecji, oraz palet specjalnych do Norwegii.

Przedsiębiorstwo MEPROZET w Pyrzycach wysunęło się na czołowe miejsce wśród siedemnastu MEPROZETÓW w Polsce. Pracując w Pyrzycach działałem w kręgach zajmujących się kulturą i folklorem. Przez siedem lat kierowałem TMZP (towarzystwem miłośników ziemi pyrzyckiej). Za tę działalność zostałem wyróżniony złotą odznaką STK (szczecińskiego towarzystwa kultury).

W czerwcu 1991 r. zostałem rencistą. Nadal pracowałem społecznie w POD „Skarbówka”, w radzie osiedla „Centrum”, a także przy wznoszeniu kościoła św. Dominika. Jednocześnie usiłowałem zebrać materiały, aby stworzyć monografię naszego roku. Udało się częściowo. Powstały trzy opracowania. Pierwsze pod tytułem „A to My” powstało w 2000 roku. Opracowanie zostało wydane własnym sumptem w niewielkiej ilości i zostało rozprowadzone wśród koleżanek i kolegów. Opracowanie zawiera życiorysy zawodowe 63 absolwentów PS. Jest to znaczący procent tych (105 absolwentów), którzy ukończyli studia w tym samym czasie, a jednak bardzo żałuję, że nie wszyscy potraktowali mój wysiłek poważnie.

W chwili obecnej (grudzień 2017) postanowiłem dokonać korekty pierwotnego zapisu, uzupełnić informacje, poprawić błędy i dopisać tych, którzy chcą przekazać mi swoje życiorysy zawodowe.

Z konieczności powtórnie zaglądam się w tekst i.... stwierdzam, że byliśmy tytanami pracy. Inżynierami z otwartymi głowami. Dzięki nam postawało wiele i wiele się zachowało do dzisiaj, wbrew tym wszystkim, którzy twierdzą inaczej.

Jestem przekonany, że na podstawie naszych życiorysów zawodowych (uzupełniony materiał w formie elektronicznej prześlę Książnicy Szczecińskiej im. Stanisława Staszica) powstawać będą nie tylko prace magisterskie, ale i doktorskie, bo przeżycia osobiste, praca i osiągnięcia zawodowe wielu kolegów zasługują na dokładne przebadanie i rzetelny opis.

Po spełnieniu warunków wiekowych, ZUS samodzielnie zaliczył mnie do innej kategorii i odtąd byłem i jestem emerytem.

Nadał czułem się na tyle sprawny, że postanowiłem opracować następne wydanie dotyczące naszej grupy akademickiej. I tak: w roku 2004 (1 maja w dniu wstąpienia Polski do UE) powstała skromna (w ilości dla mnie za dużej) o barwach unijnych książeczka (174 strony) pt. „KAMRACI”. W niej zawarłem przede wszystkim nasze życie studenckie (no i kilka lat po studiach). Starłem się przedstawić tamte lata bez zbędnego komentarza i ubarwień, pokazać wyraźnie, w jakich warunkach zdobywaliśmy wiedzę, abyśmy byli pożytecznymi ludźmi. Czasem mi się udawało przypomnieć prześmiewcze sytuacje albo powtórzyć kpiarskie odzywki moich przyjaciół – z roku. W opisie przywołałem przywary naszych profesorów, asystentów i pracowników PS, ludzi, których szanowaliśmy i szanujemy nadal. Mile Ich wspominamy, chociaż nieraz byliśmy stawiani przez Nich do pionu. Przywary szanowanych i kochanych ludzi nadały temu opisowi szczególnego kolorytu „tamtych czasów”.

Z oceną tej książeczki bywało różnie. Aby mnie nie peszyć koleżanki i koledzy przyjęli zasadę „cichych pochwał” (przyznam, że były też bardzo miłe, listowne, które zachowałem dla pamięci). Obdarowani książką osoby spoza naszego kręgu były (z łagodnością pomijali ewentualne błędy językowe, wtrącanie do opisów archaizmów, rusycyzmu i w ogóle innych izmów) zachwycone opisami życia studenckiego. Niektórzy narzekali, że książka nie zawiera zdjęć z czasów dla nas najciekawszych i miłych.

Na książkę pt. KAMRACI niektórzy zareagowali tak:

**Rysiek Zambrzycki** – *Jestem wzruszony powstaniem „Kamratów”. Napisana jest z dużą swadą. Pełna anegdotycznych perełek w najlepszym stylu. Aż się chce żyć dalej.*

**Gerhard Riemer vel Eugeniusz Mielczarek** – *To była niespodzianka. Trzy dni czytałem i nie mogłem przestać. A śmiałem się do łez, bez ustanku...*

**Gabriel Stępniewski** – *Dziękuję za książkę KAMRACI, którą przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Podziwiam Twój wielki wkład myśli, pracy i wysiłku w to dzieło...Wydobyłeś książką ducha tamtych czasów...*

**Eugeniusz Świerczyński** – *Otrzymałem wspaniałą pamiątkę. Duże brawa i podziękowanie twórcom. Preczytałem jednym tchem. I myślę, że będę czytał wiele razy. Odświeżyłem sobie jakże wspaniały okres życia – najlepszych lat młodości.*

**Zygmunt Ossowski** – *Jestem pełen podziwu dla twojej dociekliwości i pomysłowości.. Wyrażam szacunek dla twórcy*

*tego, bardzo poważnego i interesującego opracowania.*

**Zdzisław Zaleski** (współtwórca) – *Dziękuję Wam obojgu, bo bez wsparcia Alinki nie byłoby tej zgrabnej książeczki... Powstało coś, co będzie nas wspominać...*

**Profesor Karol Grudziński PS** – *to bardzo fajna książeczka. Tak! Wam buźka...*

**Leszek Wyżykowski** – *Dziękuję za KAMRATÓW. Czyta się ich z wielką przyjemnością. Przypominają mi lata i zdarzenia, które były dawno, a teraz powróciły...*

**Jolanta Gronkowska** doktor n. med. okulistyki – *Bardzo mi się podobała pana książka. Oddaje klimat tamtych lat. Rodzicom też przypomniła studenckie lata.*

**Dorota Kumer** – moja chrześnica – *...fajnie, że są jeszcze ludzie potrafiący pielęgnować wspomnienia...*

Podobne uwagi były wtedy, kiedy ukazała się pierwsza książka pt. „A to My”, która jednocześnie sprawiła, że zaczęliśmy się bardziej integrować. Otrzymywałem więcej listów, kartek pocztowych, więcej było telefonów. Dziękowano za wysiłek, ale i zwracano uwagę na błędy, niedomówienia, poprawiano zauważone usterki, a przede wszystkim cieszą się z tego, że znalazł się taki wśród nas, który miał chęć i odwagę opisać grupę, aby pozostał trwały ślad po nas.

Ponieważ jestem otwarty na każdą wyrażoną uwagę, postanowiłem wyjść naprzeciw potrzebom „załogi”, bo tak nazywam tę grupę koleżanek i kolegów, która od 2006 każdego roku, we wrześniu, spotyka się na kolejnym zjeździe. Jest nas coraz mniej, bo powoływani jesteśmy do grona po innej stronie

świata, ale żyjący osiemdziesięciolatkowie, podpierani również przez małżonki stawiamy się na każdy zorganizowany przez „organizatorów” zjazd (każdorazowo w innym miejscu) i cieszymy się sobą przez trzy kolejne dni. Przy okazji wspominamy. Wspominamy najpierw tych, którzy opuścili nasze grono. Wspominamy nasze przeżycia i czasem narzekamy, ale to ostatnie tylko na marginesie.

My jesteśmy z innej gliny. My jesteśmy dziećmi wojny. Dla nas zmieniające się warunki nie robią wielkiego wrażenia. Jeżeli o kogoś się troszczymy, to najbardziej o swoje rodziny. W tym miejscu muszę użyć pewnej metafory. To MY stworzyliśmy potężny pień drzewa, na którym wyrastały i wyrastają następne życiodajne konary i gałęzie, czyli nasze dzieci i wnuki, prawnuki, ogromna kadra ludzi wykształconych, twórczych, otwartych, kulturalnych, mądrych i pożytecznych (temat do opracowania).

W 2017 roku (przy współudziale „OLKA” – Zdzicha Zaleskiego) opracowałem i wydałem metodą „powielaczową” kolejną książkę uzupełnioną zdjęciami (czarno białymi) z czasów studenckich. Treści z poprzedniej książki zostały poprawione i uzupełnione. Wiele zamieściliśmy nowych treści. Nie ustrześliśmy się błędów, za które przepraszamy. Tak powstała nowa książka pt. KOMILITONI. Tym razem nie trafiliśmy z nazwą tytułu. Jedni uważają, że za bardzo skręciliśmy na Zachód, inni, że zachciało się nam łaciny, a jeszcze inni po prostu... nie lubią tego tytułu. Trudno. Tego już nie zmienimy. Mogę jedynie przyrzec, że więcej tytułów nie będzie. Nie będę nikogo z naszej grupy namawiał do pisania. Chyba, że ktoś sam będzie chciał, wówczas będę Jemu pomocny.

Na dzień 8.02.2018, do nowego wydania „A to MY” (w wersji elektronicznej dopisałem jedenaście życiorysów zawodowych – kolegów z roku i sześć życiorysów naszego pokolenia – dzieci i wnuków.

O naszej przyjacielskiej grupie absolwentów rozmawiamy nieraz z naszym wielce szanowanym Profesorem Wiesławem Olszakiem (93 lata w 2017 roku). Profesor nadal podtrzymuje to, co napisał w liście do Henia Krenkiego „Mordy” (str.3)

### **Parę słów o mojej rodzinie.**

My z żoną Alinką jesteśmy dumni ze swojej rodziny, wykształconej, pracowitej, mądrej i pożytecznej dla społeczeństwa.

Córka **Grażyna** - ur. w 1956r., absolwentka Politechniki Wrocławskiej i zagranicznego Instytutu Zarządzania przez prawie 19 lat pracowała w FMS POLMO Szczecin w ośrodku obliczeniowym kierowanym przez kolegę inż. Jana Praczyka, który od 1976 roku kierował ośrodkiem informatycznym organizowanym wcześniej przez jej ojca Mieczysława. W ośrodku pełniła funkcję głównego projektanta i programisty systemów informatycznych, które służyły do zarządzania organizacją, techniką i ekonomiką fabryki. W latach 1999 -2005 pracowała w IBM w Warszawie, a następnie pracuje w departamencie informatyki w PKO BP w Warszawie. Hobbistycznie jest zoopsychologiem, zajmuje się behawiorystyką.

Syn **Jarosław** - urodzony w 1962 w Szczecinie, absolwent Politechniki Szczecińskiej Wydział Elektryczny o specjalności elektrotechnika morska, pływał na statkach handlowych polskich armatorów. Obecnie prowadzi własną firmę transportu morskiego. Jego żona **Beata** (z domu Krupa) **ur. w 1965r. w Szczecinie** jest absolwentką US Wydziału Nauk

Ekonomicznych. Od wielu lat pełni funkcje kierownicze w bankach.

Wnuk **Aleksander Press** – ur. w 1979r. (syn córki Grażynki) absolwent PS Wydziału Informatyki pracuje obecnie w Barcelonie. Doskonale posługuje się kilkoma językami. Zwiedził niemal całą kulę ziemską.

Młodszy wnuk **Marcin Walków** – ur. 1991 roku (syn Jarosława i Beaty) ukończył PS Wydział Elektryczny o specjalności elektronika i automatyka. Obecnie pracuje w Warszawie projektując systemy informatyczne.

Tych, którzy są zainteresowani moją osobą i historią mojej pracy zawodowej informuję, że o tym można przeczytać na [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) – BLOGI – „Kronika Mietka W.” i „Mietek W. w pracy”. Z góry przepraszam za niedomagania w treści. Poprawiać już nie będę w stanie.

**Na obozie wojskowym potrafiłem naśladować piskliwy głos porucznika politruka, który przed „nauką ścisłą” pod namiotem robiliśmy wszystko, aby tylko nie słuchać bajdurzenia świeżo upieczonego oficera. Dawał się wrabiać na całego, bo do jego pogadank zawsze był wyznaczony zespół szczególnie dowcipnych studentów, którzy z niego robili niezłe jaja – (patrz ”Kamraci,, str. 107- Nie matura... albo znajdź w tej książce).**

**Podczas takiej pogadanki część studentów odsypiała brak snu. Wtedy zniecacka potrafiłem wydać piszczący rozkaz porucznika: – Bateria.. I zawsze budziłem śpiochów. Kocowy nie dostałem nigdy. Może byłem lubiany i to mi uchodziło na sucho? Ale groźby były.**



*brak zdjęcia*

**Ryszard Wianecki.**

Ur. 17.01.1929 r. w Żabnie.  
Żona - Romana. Dzieci: syn -  
Włodzimierz ur. w 1959 r. -  
absolwent wyższej uczelni; syn  
Jacek ur. w 1961 r. -  
wykształcenie średnie; córka  
Katarzyna ur. w 1969 r. -  
wykształcenie wyższe; syn  
Grzegorz - kończy technikum.  
Wnuki: Jerzy i Alicja

Studia na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej ukończył w 1957 r. i uzyskał dyplom mgr inż. mechanika. W tym samym roku rozpoczął pracę w WSK Mielec na stanowisku zastępcy kierownika wydziału.

Od marca 1960 r. podjął pracę w zakładach mechanizmów okrętowych w Gniewie. Tu pracował na różnych stanowiskach: był kierownikiem działu kontroli technicznej, szefem produkcji i głównym konstruktorem.

Od 2 stycznia 1976 do 31 stycznia 1993 r. pracował w przedsiębiorstwie produkcji keramzytu w Gniewie na stanowisku zastępcy dyrektora d/s technicznych.

W tym przedsiębiorstwie był przodującym racjonalizatorem. Brał czynny udział w życiu społecznym. Był radnym miasta Gniewa, śpiewał w chórze HALKA przy domu kultury w Gniewie.

Za pracę społeczną i zawodową otrzymał szereg wyróżnień, w tym również odznaczenie „Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej”.

Zmarł po ciężkiej chorobie dnia 15.01.1994 roku, jest pochowany na cmentarzu w Gniewie. *(Na podstawie listu żony Ryszarda z dnia.... – MW)*

**Rysiek, najlepszy student, nie chciał zdawać ostatniego egzaminu z wojska przed przysięgą. Mówił, że jemu stopień nie jest potrzebny. Najpierw dowództwo zaczęło go straszyć, że nie otrzyma dyplomu studiów, że i tak dalej...**

**A Rysio swoje, że on stopień oficerski ma w nosie. Trwało to kilka dni, i w końcu mu oświadczone, że... – My wiemy, że wy wiecie wszystko z wojskowości i oficerem będziecie!**

**I szlify otrzymał, a jakże!**

Przez cały pierwszy rok studiów mieszkałem z Rysiem, Jankiem Popielskim i z Leszkiem Wyżykowskim w jednym pokoju akademika przy ul. Bohaterów Warszawy. W pokoju długim jak autobus i bardzo wąskim.

Rysio, doskonały student był naszym „podpowiadaczem”, kiedy czegoś nie rozumieliśmy w matematyce. Uczył nas również mnemotechniki, aby zapamiętać wzory, chodził z nami do kościoła, ale nigdy nie brał udziału w ceremonii mszalnej. Za to pięknie śpiewał, i tak głośno, że zwracał na siebie i na nas uwagę  
zgromadzonych!

Rysio był naszym „stolarzem pokojowym”. To jemu zawdzięczaliśmy : dodatkowy stół do pracy, półki na wiktuały i garnki do parzenia kawy oraz na kubki. Rysio wszystkie meble wykonał scyzorykiem. Naprawdę! Tylko scyzorykiem, ze znalezionych, poza akademikiem desek. A były to meble przedniej jakości. Ściągały całe tłumy studentów, aby je podziwiać. Bywało, że niektórzy starali się wykonać podobne. Ale tylko się starali...(MW)



**Julian Wiktorski.** \*) Ur. w 1930 r.  
Żona Anna.  
Dwie córki 14 lat i 3 lata.

*(Informacje z 25.11.1986 roku)*

Studia kończy w 1956 uzyskując dyplom inżyniera mechanika.

Pracę rozpoczął, jako technolog...

W 1985 roku pracował w czwartym miejscu: tj. zakładzie doświadczalnym regionalnego związku spółdzielczości inwalidzkiej w Zielonej Górze na stanowisku starszego konstruktora. Praca koncepcyjna była jego pasją.

Przygotowanie przez uczelnię oceniał bardzo wysoko, ale w życiu bardziej liczyły się plecy i układy niż wiadomości, tak wtedy myślał.

Przez pewien czas kierował zespołem (kier. pracowni), jednak kierowanie nie było konkretną pracą konstruktora stąd powrócił do deski kreślarskiej.

Do swoich osiągnięć zaliczał uzyskane 3 patenty, które nie dały satysfakcji finansowej i co gorsze, stworzyły niezbyt przyjazną atmosferę wokół twórcy. Potwierdzał, że praca wynalazcy to bez przesady droga cierniowa, a finansowo, to sprawa deficytowa.

Pełną satysfakcję finansową uzyskał dopiero przy uprawie truskawek. Wyróżnienia to: „Zasłużony dla Spółdzielczości Inwalidów”, odznaka honorowa: „Za Zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”



**Stanisław Wojniusz.** Ur. 5.5.1935 r. w Wilnie.

Żona - Krystyna - pracownik PAM w Katedrze i Zakładzie Biochemii i Chemii.

Dzieci: syn Sławomir ur. 1965 r. - studia na wydziale fizjoterapii ukończył w Norwegii. Mieszka w Oslo z żoną Norweżką.

Córka Magdalena ur. 1970 r. - absolwentka Zachodniopomorskiej

Szkoły Samorządu Terytorialnego, Wyższej Szkoły Administracji Publicznej. Aktualnie studiuje socjologię zachowań ludzkich na U.S.

Wnuków czwórka.

Studia I i II stopnia ukończył w 1957 r. w P.S. na Wydziale Budowy Maszyn o specjalności: technologia budowy maszyn.

W tym samym roku rozpoczął pracę w stoczni szczecińskiej, w której później pracował wiele lat i miał nadzieję, że będzie pracował do dnia uzyskania emerytury.

Przez 24 lata pracy w biurze projektowym pełnił różne funkcje związane z projektowaniem. Specjalizował się w projektowaniu ogólnokrętowych instalacji rurociągowych i wyposażeniu wnętrza statków. Czternaście lat kierował pracownią projektową. W tym czasie wyróżnił się dużą innowacyjnością opracowań, a także zdolnościami organizacyjnymi.

W chwili pojawienia się kalkulatorów programowalnych, a później mikrokomputerów, mógł realizować swoje młodzieńcze zainteresowania związane z radiotechniką.

Od 1983 r. przez cztery lata, jako główny specjalista do spraw wdrożenia ETO w projektowaniu zajmował się intensywnie

komputeryzacją środowiska projektowego. W tym ciekawym i burzliwym okresie rozwój komputeryzacji mocno zależny był od finansów, które stale były ograniczane przez decydentów. Istniały także embarga licencyjne, hamujące rozwój tej techniki w Polsce.

W roku 1987 r. nastąpiły zmiany organizacyjne biura projektowego STOCZNI im. Warszawskiego. W wyniku tych zmian Stanisław objął stanowisko kierownika pracowni projektów akwizycyjnych i weryfikacji dokumentacji.

W tym czasie wprowadził własne, ciekawe rozwiązanie informatyczne, dotyczące kompleksowego tworzenia dokumentacji projektowej statków (CAD).

Na tę okoliczność została powołana spółka pod nazwą SHIP – COM – centrum systemów komputerowych stoczni polskich w Gdańsku z oddziałem w Szczecinie, której był głównym organizatorem. Do zadań spółki należało: koordynowanie przedsięwzięć, organizacja i dostosowywanie zakupionego oprogramowania do potrzeb użytkowników tj. stoczni polskich. W 1989 r. objął stanowisko dyrektora oddziału SHIP – COM w Szczecinie.

Zła sytuacja finansowa wszystkich stoczni w Polsce uniemożliwiła realizację celu. Oddział Szczecin wykonywał szereg innych prac informatycznych związanych z robotami rurowni stoczni szczecińskiej. System obejmował prefabrykację, wykonawstwo i kompletację.

Zapaść finansowa STOCZNI doprowadziła do tego, że projekt nie został wdrożony, a spółka uległa likwidacji. Likwidatorem spółki, z woli wspólników, był jej główny organizator.

W zaistniałej sytuacji osobistej jak i środowiskowej wraz z dotychczasowym współpracownikiem wzięli sprawę w swoje ręce i zorganizowali spółkę cywilną o nazwie: SHIP – COM (komputeryzacja zarządzanie i projektowanie), zachowując marketingowe logo poprzedniej firmy.

Był to zupełnie nowy etap życiowych doświadczeń, polegający na stałym poszukiwaniu rynku zbytu dla podstawowego produktu firmy. Wiązało się to z akwizycją, analizą rynku, prowadzeniem wdrożeń, prowadzeniem serwisu programów i administrowaniem. Praca po 12-14 godzin na dobę przy nieadekwatnych zarobkach.

Naciskany przez rodzinę, dla której miał coraz mniej czasu i zachęcany przez STOCZNIĘ, która składa ciekawą propozycję, odszedł ze spółki i objął stanowisko głównego specjalisty d/s gospodarki materiałowej w STOCZNI SZCZECIŃSKIEJ S.A.

Gospodarka materiałowa w stoczni była zagadnieniem ogromnym, ponieważ w koszcie statku 60% do 70% stanowią materiały, występujące w 10000 asortymentach i w setkach tysięcy sztuk.

Stanisław pracując w stoczni miał nadzieję, że kiedy będzie odchodził na emeryturę (ustawowo w 2000 r.) pozostawi po sobie znaczące dokonania i pozytywne wspomnienia.

W latach 1982-89 obok pracy zawodowej był zatrudniony na 1/2 etatu, jako starszy wykładowca w Instytucie Okrętowym P.S., prowadził tam wykłady i ćwiczenia z dziedziny projektowania instalacji ogólnookrętowych.

Pracę zawodową stale stawiał na pierwszym miejscu, co dawało mu pełną satysfakcję i wypełniało czas i nie pozwalało zajmować się (na szerszą skalę) pracą społeczną. Przez kilka kadencji był członkiem komisji rewizyjnej OW NOT w Szczecinie. Podobną funkcję pełnił też w POD (pracownicze ogródki działkowe).

Jest twórcą 4 patentów. Został wyróżniony dwoma nagrodami II-go stopnia i wyróżnieniem oddziału wojewódzkiego NOT w Szczecinie oraz nagrodą II-go stopnia zarządu głównego SIMP.

Za pracę zawodową otrzymał odznakę „Gryf Pomorski” oraz Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi.

Zawsze stara się utrzymywać dobrą kondycję fizyczną jeżdżąc na rowerze. Urlop spędza nad jeziorami, stale nadrabiając zaległości w pływaniu. Stanisław to zapalony wędrowiec z kijkami. Lubi po za tym spotkania w zaprzyjaźnionym kręgu, w którym czuje się dobrze, może dyskutować i grać w ulubionego brydża.



### **Mieczysław Wróbel.**

Urodzony 14.09.1924 w wiosce Szopin k/Zamościa.

Żona Danuta. Dwie córki: Lidia - absolwentka Akademii Rolniczej w Szczecinie, Dorota - ukończyła Uniwersytet Poznański im.

A.Mickiewicza. Wnuków- czwórka.

Szkołę podstawową ukończył w 1939 r. W czasie okupacji pracował na kolei, jako pomocnik maszynisty.

Po zakończeniu wojny osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych w Jeleniej Górze. Tam pracował w PKP, a we Wrocławiu uzupełniał swoje wykształcenie na poziomie szkoły średniej. W 1948 r. zdał egzamin na stanowisko maszynisty parowozowego.

W 1951 r. przybył do Szczecina. W 1952 został przyjęty na Wydział Budowy Maszyn Szkoły Inżynierskiej. W czerwcu 1956 r. otrzymał dyplom inżyniera mechanika i po miesięcznych wakacjach podjął pracę, jako technolog w parowozowni głównej w Stargardzie Szczecińskim.

1-go grudnia 1956 r. powierzono mu stanowisko naczelnika parowozowni w Nowogardzie, a od 1-go czerwca 1957 r. został kierownikiem parowozowni oddziału trakcji w Szczecinie.

W grudniu 1960 r. był już naczelnikiem oddziału trakcji w motowozowni - Wzgórze Hetmańskie w Szczecinie.

15 lutego 1964 r. decyzją ministra komunikacji awansował na stanowisko kierownika działu technicznego w zespole trakcji DOKP w Szczecinie. W sierpniu był już inspektorem BHP w DOKP-Szczecin. We wrześniu 1964 roku podjął dodatkową pracę, jako nauczyciel w technikum kolejowym dla pracujących. Funkcję inspektora BHP pełnił do maja 1971 r. Następnie został starszym radcą patentowym w DOKP-Szczecin.



W roku 1974 zdecydował się poświęcić jedynie dydaktyce. Uczył przedmiotów zawodowych w technikum kolejowym.

W roku 1985, przechodząc na emeryturę, nadal pracował z młodzieżą w technikum w zmniejszonym wymiarze godzin. Ostatecznie przestał pracować zawodowo w 1991 roku.

W czasie pracy zawodowej otrzymał wiele nagród od dyrekcji okręgowej kolei państwowych, związku nauczycielstwa polskiego, ministrów komunikacji i innych. Był odznaczony medalem ministra komunikacji i medalem 40-lecia PRL.

Zmarł na zawał serca 12 grudnia 1995 r. Jest pochowany na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

**Micio zwany starym , był dojrzałym wiekowo studentem na naszym roku. Od najmłodszego naszego kolegi Wicka Zawidzkiego był doroślejszy o 12 lat.**

**Była wojna, Micio tańczył raczej ze śmiercią w lasach (były partyzant) i nie miał czasu na naukę tańca salonowego, który uwielbiał.**

**W akademiku uczył Micia tańczyć Janek Czajka. Ćwiczenia odrabiał Micio w akademiku ze szczotką, z którą wywijał hołubce i tańczył tanga, walczyki, fokstroty i menuety. Był okres egzaminów i Janek przyszedł do Micia po swój zeszyt z wykładów, a Micio był w trakcie walczyka, chyba angielskiego.**

**– Miciu przestań tańczyć i daj mi zeszyt - Janek mówił do Micia kilka razy, a Micio nadal tańczył ze szczotką i tańczył.**

**– Janeczku – rzekł po chwili Micio – Zaraz skończę i oddam ci zeszyt. Obiecałem pani szczotce, że taniec będzie trwał 20 minut, a minęło dopiero piętnaście.**

*brak zdjęcia*

**Henryk Wysocki.** Ur. 16.09.1933 r.  
w Zakulinie.  
Żona Józefa – księgową.  
Dzieci: Syn Wojciech ur. 13.08.1959  
r. w Szczecinie, mgr inż., prowadzi  
własne przedsiębiorstwo  
projektowania systemów  
komputerowych  
Syn Zbigniew ur. 29.01.1961 r. w  
Szczecinie – technik samochodowy  
Wnuki: Joanna, Anna

Po ukończeniu studiów i uzyskaniu tytułu inżyniera mechanika w 1956 został zatrudniony w SWSM (szczecińskiej wytwórni sprzętów metalowych), późniejszej fabryce motocykli JUNAK. Tutaj pracował w dziale głównego technologa, jako konstruktor oprzyrządowania

W dziale technologicznym pracowało wówczas wielu kolegów z tej samej uczelni, absolwentów z roku 1955 i 1956 np.: Staszek Jardzioch, Hanka Głowacka - Hapek, Bohdan Tomaszewski, Janusz Skibiński, Zdzisiek Szczerbiński, Kazik Kubiak „Mietek Walków, Mietek Kaczmarek, Leszek Bielous, Zenek Mrówka, i wielu innych ( *po roku było nas znacznie więcej, bo dołączyli ci, którzy zostali, aby mieć „mgr”*: Ania (Bożenka) Zdun, Wicek Zawidzki, Andrzej Briks , Zbyszek Jurszowicz)

Właśnie taki zespół ludzi młodych i kreatywnych pracował nad techniką i organizacją procesów produkcyjnych w okresie uruchomienia sztandarowej wówczas produkcji jednośladu pod nazwą „motocykl o pojemności 350 centymetrów sześciennych – „Junak”. Ci młodzi zapaleńcy pracowali nad technologią przebiegu produkcji, konstruowali przyrządy i narzędzia, organizowali wydziały i stanowiska pracy, aby umożliwić fabryce rozpoczęcie produkcji motocykla i jego pochodnych.

Celem ostatecznym były założenia, że fabryka w najbliższych trzech latach osiągnie zdolność produkcyjną na poziomie 20 tysięcy motocykli rocznie. W tym wszystkim brał żywy udział „Piotr” (*taką miał uroczą ksywkę Henryk i stale rysując kolejny przyrząd na desce kreślarskiej śpiewaliśmy mu refren znanego wówczas szlagieru...Piotruś? Ty możesz wejść...*).

W 1957 lub na początku 1958 fabryka motocykli w Szczecinie została wytypowana do produkcji samochodu małolitrażowego: SMYK. Do opracowania technologii, oprzyrządowania i zorganizowania warsztatu wykonawczego serii prototypowej 20 sztuk samochodów został wytypowany przez dyrekcję fabryki, zespół z działu głównego Technologa (Wysocki, Walków i Ludźmiński).

Zespół najpierw opracował sposób wytworzenia elementów (ponad 450/ na jeden samochód), następnie zorganizował odpowiedni oddział produkcyjny, dobrał pracowników i w przeciągu kilku miesięcy zaprezentował (po próbach trakcyjnych) 20 sztuk małych samochodów pod wdzięczną nazwą (małego brzdąca) – SMYK. Przez cały czas zadaniem kierował inżynier Henryk Wysocki. Seria prototypowa samochodów z napędem w postaci silnika motocyklowego JUNAK potwierdziła, że konstrukcja „Smyka” na ogół jest dojrzała (wymaga pewnych uzupełnień). Do wyjątków należy tylko napęd, który nie pasuje do pojazdu samochodowego.

SMYK jeszcze w latach 90-tych jeździł po szczecińskich drogach. Obecnie jest w muzeum techniki w Szczecinie. Produkcja samochodów nie była kontynuowana. Henryk został przeniesiony na stanowisko kierownika wydziału produkującego wały napędowe do samochodów „Star”, jako kierownik. Pracując zawodowo, kontynuował naukę w Politechnice Szczecińskiej na wydziale mechanicznym, gdzie zdobył tytuł magistra.

W 1975 r. otrzymał propozycję pracy w fabryce traktorów w Ursusie. Skorzystał z oferty i przeniósł się do Warszawy. W ZM URSUS brał udział w uruchomieniu produkcji licencyjnej traktora Masey-Ferguson-Perkins. (*Informacje z roku 1999 – MW*)

Zmarł w Warszawie - Ursusie.



**Zdzisław Zaleski. Ur.04.04.1934**

Żona: Krystyna, lekarz specjalista II stopnia medycyny przemysłowej  
Córka ur. 1957 r.- lekarz anestezyjolog we Wrocławiu; syn ur. 1959 r. - absolwent Handlu Zagranicznego, mieszka i pracuje w Warszawie.

Troje wnuków - Joanna - 1981 r.,  
Hanna 1985 i Paweł 1992 r.

Przed studiami, od 1949 do 1952 r. pracował w Państwowych Zakładach Samochodowych w Warszawie, jako uczeń - monter samochodowy.

Studia na Wydziale Budowy Maszyn P.S. ukończył w 1956 r. i uzyskał dyplom inżyniera mechanika.

Nakaz pracy otrzymał do Technikum Mechanizacji Rolnictwa Szczecin-Dąbie, gdzie przez trzy lata, od 1956 do 1959 r. pracował, jako nauczyciel przedmiotów zawodowych.

Od sierpnia 1959 r. do kwietnia 1961 pracował w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Dobrzanach (woj. szczecińskie), jako kierownik warsztatów wykonujących remonty maszyn rolniczych, w tym również kombajnów zbożowych. W ramach poszukiwań lepszych warunków płacowych i mieszkaniowych w maju 1961 r. przeniósł się na Śląsk Opolski. Tu został zatrudniony w hucie „Małapanew” w Ozimku. Pracował tam, jako kierownik sekcji oprzyrządowania, a później z-ca głównego technologa mechanika. Zakres pracy to: wykonywanie oprzyrządowania do obróbki mechanicznej odlewów i opracowywanie technologii obróbki.

Od 1965 do 1966 r. przeszedł do Huty im. Świerczewskiego, obecnie huta ANDRZEJ w Zawadzkiem woj. opolskie, na stanowisko kierownika narzędziowni nr 2, która produkowała oprzyrządowanie dla walcowni i ciągarni rur.

Przez 10 m-cy w 1967 r. pracował w kolejowych zakładach maszyn i sprzętu drogowego, obecnie KOLZAM w Raciborzu, jako główny technolog. Zakład ten zajmował się produkcją sprzętu torowego: rozjazdy, elementy wagonów itp. Od listopada 1967 r. do stycznia 1971 r., jako konstruktor linii produkcyjnych do wykonywania elementów budowlanych: ściany, stropy, płyty korytkowe pracował w (RZBiŻ) raciborskich zakładach betoniarskich i żelbetowych w Raciborzu.

W lutym 1972 r. został zatrudniony w NARTOPROJEKT - oddział Racibórz, jako starszy projektant, później kierownik sekcji i kierownik pracowni. Zakres pracy to: projektowanie oddziałów i obiektów dla koksowni, zakładów produkcji elektrod grafitowych i węglowych, a także konstruowanie urządzeń dla w/w przedsiębiorstw. Oddziałowi wielokrotnie zmieniano podległość np.: PROSYNCHEM, KOKSOPROJEKT.

Tutaj pracował do grudnia 1990 r. Po przepracowaniu 40 lat, od stycznia 1991 r. jest na emeryturze.

W lipcu 1997 r. przeżywał „biblijny” potop, który zalewał również Racibórz. Mieszkając w domu położonym na Ostrogu, doświadczył tylko zalania piwnicy. Do zalania parteru brakowało 20 cm. Koledzy z pracy i znajomi, najczęściej emeryci i renciści, mieli wody po suficie. Ci stracili wszystko, czyli dorobek całego życia. Na działce, którą z przyjemnością uprawiał miał 2 m. wody. Drewniana altana odpłynęła, ale na jej miejsce przyplłynęły trzy inne. Wbrew przysłowiu, że od przybytku głowa nie boli - jednak bolała.

Na zdrowie nie narzekał, dóbr materialnych nie gromadził, stanowisk nie piastował. Humor Go nie opuszczał i cieszył się, że każdy wiek ma swój urok.

Pozostało we wspomnieniach kilka anegdot, których głównym bohaterem był śp. prof. K. Wendeker.

Więcej o OLKU znajdziesz na [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) –*BLOGI – U Olka*

Zmarł 27.12.2018 w Raciborzu. Pochowany jest na cmentarzu w Warszawie.

**Aby usprawiedliwić nieobecności trzeba było pisać podanie do opiekuna roku (był nim profesor Wendeker) i każdorazowo należało uzasadniać tę że nieobecność, bo inaczej profesor nie przyjmował podania. . Olek (*ksywka Zdzisława*) po roku stwierdził, że anatomia nie ma racji. Człowiek ma 53 zęby ..., licząc z tymi które usunął.**



**Ryszard Mirosław Zambrzycki.**  
**Urodzony 7.11.1935 w Wilnie**  
Żona Maria. Syn Przemysław  
urodzony w 1969 r. w Szczecinie.

Absolwent Politechniki Szczecińskiej Wydziału Budowy Maszyn. Dyplom mgr inż. mechanika otrzymał w czerwcu 1957 r.

Nie ośmieliłbym się przeredagować życiorysu napisanego przez Ryszarda. Pozostawiam list w brzmieniu oryginalnym.

*„Urodzony 7 listopada 1935 r. w Wilnie. Proszę zwrócić uwagę na datę urodzenia, która w moim pojęciu powinna w dużym stopniu stymulować moją karierę w późnym okresie „gierkowskim”. 7. listopada jest datą Rewolucji Październikowej.*

*Po przyjeździe z kraju „raju”, mieszkałem początkowo wraz z rodzicami na wsi pod Miechowem, 40 km na północ od Krakowa. O żadnej tablicy marmurowej w tym miejscu nie ma mowy, bo chata była drewniana.*

*Do 1949 r. mieszkałem z rodzicami w Krakowie, gdzie uczęszczałem do szkoły powszechnej. Należałem tam również do harcerstwa, do którego mam niekończący się sentyment do dziś.*

*W 1949 r. rodzice wraz z moją siostrą - Hanką i mną przenieśli się do Szczecina. Ojciec pracował w Miejskiej Radzie Narodowej, a potem w Wojewódzkiej Radzie Narodowej.*

*Przed przejściem na emeryturę odznaczony został Krzyżem Kawalerskim, mimo, że był bezpartyjny. Był bardzo odpowiedzialnym i pracowitym człowiekiem, prawnikiem z wykształcenia.*

*Mama pracowała, jako sekretarka w biurze projektów budownictwa wiejskiego.*

*Oboje rodzice przeszli na emeryturę w Szczecinie.*

*Siostra zdała maturę w liceum ogólnokształcącym, gdzie osławioną dyrektorką była pani Szczerska. Był tam wysoki poziom nauczania i wysoka dyscyplina. Te dwa atuty pozwoliły jej dostać się na Uniwersytet Jagielloński i piąć się po szczeblach kariery naukowej, do pozycji profesora zwyczajnego, kierownika katedry etnografii Wydziału Filozofii. Zmarła w 1993 r. Całe życie była bezpartyjna.*

*Po przyjeździe do Szczecina rozpocząłem edukację w technikum budowy okrętów i energetyki przy ulicy Racibora, które skończyłem z wynikiem b. dobrym w 1952 r. Zostałem wytypowany na wyższe studia. W tej szkole zostałem wprowadzony przez kolegów do sekcji zapaśniczej prowadzonej przez sławnego polskiego olimpijczyka Zbyszka Szajewskiego. Dlaczego o tym piszę? Zapaśnictwo i siła fizyczna w znacznym stopniu wykształciły mój charakter i pozwoliły mi przeżyć najtrudniejsze chwile w moim życiu.*

*W 1952 r., po kiepsko zdanym egzaminie wstępnym, rozpocząłem studia na Wydziale Budowy Maszyn Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie. Dlaczego egzamin poszedł mi kiepsko? „Technika” nie przygotowywały absolwentów do zdawania egzaminów na wyższe studia. Było duże zapotrzebowanie na techników w przemyśle.*

*Wiedza wyuczona w technikum pomogła mi na studiach dopiero na II i III roku.*



*W chwili rozpoczęcia studiów było nas 224 studentów (na pierwszym roku). Pamiętam, że I i II rok były bardzo trudne. Przedmioty teoretyczne stały w naszej uczelni na bardzo wysokim poziomie w porównaniu z uczelniami amerykańskimi chociażby. Ładunek wiedzy był ogromny.*

*Do tego dochodziło wojsko, którego poziom był na równi z wiedzą, konieczną do prowadzenia I wojny światowej, oraz sławny marksizm, czyli nauka, której głównym dociekaniem było: „Ilu diabłów da się umieścić na główce od szpilki?”. Było, co robić na studiach.*

*To studiowanie nie przeszkadzało, by w sobotnie popołudnia bywać na potańcówkach w osiedlu studenckim przy ulicy „Ku słońcu”, w sławnej sali gimnastycznej zwanej popularnie „ogiernią”.*

*Królował tam Zygmunt Ossowski grający na gitarze z takim wdziękiem, że dziewczyny staniały się na nogach z wrażenia. Skory do figłów Gryglaszewski oraz Krenke zwany „Mordeczką” oraz „Dawidek” z nazwiska Kryński, ci zawsze byli pierwszymi na ubawie. Przychodził również kwadratowy, muskularny gimnastyk Szcherbiński, skrótowo zwany „Szcherbą”. Chemiczy, co pewien czas robili zadymę w postaci gazu rozweselającego (nadtlenu azotu). Zawsze coś się działo. Dziewczyny były jak łanie. Zwłaszcza ze stomatologii. Pamiętam jak dziś.*

*Tam umawialiśmy się na randki, na Cmentarzu Centralnym, który w tym czasie blisko nasypu kolejowego nie był „zaludniony”.*

*Pamiętacie ten dzień, w którym przyjechał kardynał Wyszyński w odwiedziny do duszpasterstwa akademickiego. Wyprowadzili nas wtedy za miasto w ramach szkolenia wojskowego. Zwialiśmy stamtąd biegiem, chyba 10 km. Najpierw do stołówki, a następnie do kościoła.*

*Miał piękne przemówienie-kazanie pełne miłości do młodzieży.*

*Zawsze podobał mi się czas studiów, więc pozostałem na kursie magisterskim i skończyłem studia w 1957 r. Było to po emocjach „października” w Poznaniu i Warszawie.*

*Byliśmy pełni entuzjazmu szybko rozmiennego na drobne.*

*W 1957 r. podjąłem pracę w rejonie dróg wodnych. Byłem tam głównym energetykiem i zajmowałem się taborem wodnym tego przedsiębiorstwa oraz remontami jednostek pływających.*

*Pracowałem tam z inż. Kazimierzem Lisem, który kończył ze mną magisterkę oraz Eugeniuszem Zdunem, naszym kolegą z roku. W dziale głównego mechanika było 3-ch inżynierów i o 3-ch za dużo. Pensje były bardzo niskie, więc nikt nie liczył się z przerostem kwalifikacji. Pracowałem tam prawie 2 lata. Po co? Nie wiem.*

*Związałem stamtąd na stanowisko głównego mechanika do fabryki czekolady „Gryf”. Fabryka ta rozwijała się intensywnie pod światłym kierownictwem dyr. Pintowskiego, dawnego dyrektora fabryki „Wedel” w Warszawie (przed II wojną światową). Naciskana przez stocznnię szczecińską wolno przenosiła się do nowej zabudowy na wyspie Puckiej. Czulem, że jako bezpartyjny nie mam szans na karierę w tym przemyśle. Przeniosłem się do stoczni remontowej GRYFIA po 2 latach pracy w fabryce czekolady.*

*W stoczni remontowej pracowałem, jako mistrz na wydziale silnikowym. Usmarowany po białka oczu otrzymywałem ostrogi w przemyśle okrętowym od samych podstaw. Praca ta bardzo mi odpowiadała. To tak, jak lekarz pracujący w przychodni dostaje pracę w szpitalu. Koniec z papierkami i sprawozdawczością. Samo życie. Różnorodność silników i maszyn zmuszała do podejmowania różnorodnych decyzji. Wyloniła się możliwość wykorzystania wiedzy w biurze projektowym stoczni szczecińskiej, w nadzorze projektowym prototypów, a następnie projektowaniu siłowni. W tym czasie stocznia rozwijała się*

*dynamicznie. Rozwijał się cały przemysł okrętowy. Rozwijała się gospodarka morska wraz z zapleczem badawczym i naukowym. Zapotrzebowania na statki były olbrzymie i to na coraz to nowocześniejsze. Rynek naszego wschodniego sąsiada był nie do nasycenia, między innymi, dlatego, że ceny statków były bardzo niskie, przy dobrej jakości wyposażenia i kadłubów. dawało to, możliwość „wyżycia się” i „sprawdzenia się” w nowych rozwiązaniach konstrukcyjno-technologicznych.*

*W moim życiu zaowocowało to kilkoma patentami i wnioskami racjonalizatorskimi, czyli tym, co w zasadzie nobilituje inżyniera.*

*W czasie pracy w biurze projektowym podjąłem póletatową pracę w komórce badawczej Centralnego Biura Konstrukcyjnego Silników Spalinowych, pracującej pod kierownictwem prof. dr inż. Kazimierza Dziewanowskiego i mieszczącej się w Politechnice Szczecińskiej, w Zakładzie Silników Spalinowych.*

*Badaliśmy tam przepływy powietrza w cylindrach i chłodnicach powietrza nowego silnika okrętowego polskiej produkcji - 7D55, oraz silników kolejowych rodziny C30 i C22.*

*Pracowałem tam wraz z mgr inż. Ryszardem Ochwatem, z którym miałem przyjemność studiować w tej samej grupie energetycznej przez 5 lat studiów.*

*Dalsza praca na pół etatu była niemożliwa ze względów rodzinnych i załamania się koncepcji wyprodukowania własnych silników okrętowych, a nie jedynie oparciu się na projektach licencyjnych.*

*Zmiana koncepcji była moim zdaniem słuszna. Jednak za późno wzięliśmy się za te sprawy.*

*Ubiegli nas Szwajcarzy - Sulcer; Duńczycy - Burmajster i Niemcy - M.A.N. A więc ci, co mieli przemysł z większym doświadczeniem i z większymi możliwościami.*

*W czasie pracy w stoczni zaangażowałem się politycznie w okresie strajku 1970 r. Po strajku byłem przez 3 lata*

przewodniczącym rady zakładowej biura projektowego. Jakie wytyczyłem sobie zadanie? Wszystkimi siłami starałem się utrwalić zdobycze strajkowe i nie pozwolić na powrót poprzedniego stylu rządzenia ludźmi. Czy mi się udało? W ciągu tych 3-ch lat w dużym stopniu tak. Na dłuższą metę było to w tym czasie niemożliwe. Musiał by nastąpić wstrząs społeczny.

I nastąpił. Robotnicy przestali wierzyć, że ustrój ten jest reformowalny. „Szerokie kierownictwo” przestało wierzyć w siebie. Robotnicy na krótką metę wygrali, ale wielu indywidualnych ludzi przegrało. Musieli opuścić Polskę. I ja znalazłem się w USA. Bardzo słabo znałem język angielski i nie miałem wsparcia w rodzinie. Żona i syn byli w dalszym ciągu w Polsce. Podejmowałem się każdej pracy, grubo poniżej moich kwalifikacji. Pracowałem, bo byłem odporny psychicznie i ogromnie silny fizycznie. Nic nie mogło mnie złamać.

Mieszkałem w Nowym Yorku. W slamsach Brooklyn’u wśród Portoricanów, złodziei i prostytutek. Moją obroną był nóż w rękawie. W miarę poznawania języka zarobki zaczęły rosnąć. Zacząłem organizować przedsiębiorstwa. Pierwszym był warsztat remontu wtryskiwaczy silników okrętowych. Drugie było przedsiębiorstwo transportu drogowego przewożące towary między miastami USA. Są to olbrzymie samochody w Polsce zwany TIR-ami. Jeździłem, jako kierowca przez rok. Oba te przedsiębiorstwa nie wypaliły z powodu braku rozeznania rynku i „reguł gry” tu obowiązujących.

Jakie jeszcze zawody popełniłem? Byłem kierowcą limuzyny rozwożącej pilotów i stewardessy pomiędzy lotniskami, kierowcą cysterny rozwożącej benzynę na stacje w Nowym Yorku. Obsługiwałem ogromną maszynę - piec do hartowania szkła budowlanego (szkło można hartować, mimo, że ma strukturę niekryształiczną!). Byłem również robotnikiem budowlanym.

W końcu wyjechałem z tego straszego miasta do Las Vegas. Początkowo Podejmowałem różne zawody, jako elektryk na budowie, aż w końcu znalazłem pracę w biurze projektowym,

*jako konstruktor. Obecnie pracuję na komputerze i projektuję w systemie Microstation 5.0*

*Co projektuję? Instalacje elektryczne i linie wysokiego napięcia. Śmieszne, prawda?*

*Wielokrotnie poszukiwałem pracy w przemyśle stoczniowym, lecz przemysł ten jest w odwrocie. Właściwie produkują tylko okręty wojenne.*

*Mój syn skończył Politechnikę w Nowym Yorku i pracuje w firmie zakładającej sieć telekomunikacyjną - satelitarną na całym świecie.*

*Tak, więc, można zapytać: „Czy jestem solą tej ziemi skąd mój ród?” Bardzo skomplikowana będzie odpowiedź. Chyba jestem trochę nietypowy!*

*Kocham Polskę i nigdy nie zmienię nazwiska, mimo, że jest ono niewymawialne dla Amerykanina.*

*Będąc w Szczecinie nosiłem się z myślą wygłoszenia pogadanki o swoim życiu w USA dla grona zbliżonego do środowiska technicznego. Dawniej organizacja ta nazywała się NOT.*

*Myślę, że mógłbym rozwiać wiele mitów o moim kraju, a zarazem przybliżyć go od strony, która jest tego warta. Głównym jednak przesłaniem miało być to, że poziom intelektualny i zawodowy naszej kadry inżynierskiej jest wyższy niż w USA.*

*Dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze? W 1939 r. byliśmy krajem zacofanym technicznie. Nasz przemysł był w bardzo kiepskim stanie, tak ilościowo jak i jakościowo. Staliśmy niżej niż Czechosłowacja.*

*Niemcy, Francja, Anglia i USA były wtedy znaczącymi potęgami przemysłowymi. Od 1945 r. rozwijały się tylko te gałęzie, które były niezbędne do rozwoju siły militarnej. Przemysł USA w czasie wojny 1941-45 rozwinął się w ekspresowym tempie. Potem, w czasie wojen w Korei i Wietnamie rozwijał się również i to nie tylko w kierunku zbrojeniowym. Mieli ogromne pieniądze na badania podstawowe oraz nowe technologie.*

*Jeśli przestaniemy się szamotać politycznie nastąpią w naszym kraju zasadnicze zmiany. Jestem o tym przekonany. Za krótko byłem w Szczecinie. Życie jest cholernie szybkie. A szkoda. Jest wiele przemyśleń, z którymi warto się podzielić. Może przyjadę wcześniej niż za 10 lat. Wielu moich kolegów obiecało, że nie umrze do tego czasu. Gdy przyjadę następnym razem zorganizujemy odczyt-pogadankę. Odpowiem na brakujące pytania. Odświeżymy stare przyjaźnie.*

*Ryszard zwany Gruby lub Richy”.*

Rysiek obiecywał, ale nie zdążył. Do kraju powrócił na początku XXI wieku. Po raz drugi ożenił się w Krakowie. Stamtąd z wielkim zaangażowaniem pomagał Polakom za wschodnimi granicami. Woził im różne rzeczy potrzebne do życia.

Z kolegami utrzymywał łączność telefoniczną. Obiecywał, że przyjedzie na Zjazd. Napisał i wydrukował swoje opowiadania, które zamieściliśmy na stronie internetowej [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) – BLOGI – Opowiadania

Niestety nie przyjechał na nasz coroczny zjazd. Zmogła Go choroba.

Zmarł 11. 02. 2005 roku w Krakowie i tam jest pochowany.

**Staliśmy przed namiotami z poniesionymi kołnierzami drelichów i kurzyliśmy „Wczasowe” na potęgę, aby odpędzić krwiożercze komarzyce, a podobóz wizytowała jakaś delegacja wojskowa, której przewodził kapitan, przed którym nawet pułkownicy byli jacyś mali. Podeszli do nas i tenże kapitan zapytał Rysia (olbrzyma).**

**– Co, wam zimno student, że macie podniesiony kołnierz?**

**– Nie– odpowiedział tubalnym głosem Rysiek – To wina komarów, które chcą nas zaje....ć, obywatelu kapitanie.**



### **Wincenty Zawidzki.**

Ur. 26.01.1936 r. w Brześciu  
n/Bugiem.

Żona - Henryka - inż. elektryk,  
ukończyła PS - Wydział  
Elektryczny.

Dzieci: Syn Adam - mgr inż.  
mechanik, absolwent PS

Córka Ewa - mgr inż.- absolwentka  
PS. Wydział Budownictwa

Wnuki: Anna ur. 1983, Michał ur.

1984, Witold ur. 1985, Dorota ur. 1988.

Studia ukończył w 1957 r. i uzyskał dyplom mgr inż. mechanika o specjalności technologia budowy maszyn. Bezpośrednio po ukończeniu studiów w 1957 r. rozpoczął pracę w SFM (szczecińskiej fabryce motocykli) JUNAK w Szczecinie na stanowisku, najpierw konstruktora wyrobów, a następnie konstruktora pomocy warsztatowych. Brał udział w rozwoju produkcji motocykla M07, a później jego modernizacji - M10, wykazał się wielkimi zdolnościami twórczymi. Należał do grupy najzdolniejszych inżynierów. Był twórcą wielu oryginalnych przyrządów, w szczególności z zakresu tłocznictwa.

Był bardzo lubianym, wesołym i dowcipnym kolegą. Chętnie pomagał innym, mającym problemy zawodowe. Osobiście szczególnie mile wspominam go, jako bardzo lojalnego i odpowiedzialnego podwładnego, mimo tego, że pochodziliśmy z tego samego roku studiów (MW).

W styczniu 1962 r. w fabryce tworzono dział postępu technicznego i uruchomień. Wincenty został jego kierownikiem. Przez okres od 1959 do 1961r. pracował dodatkowo w Politechnice Szczecińskiej, jako asystent w katedrze technologii budowy maszyn.

W lutym 1965 r. w drodze awansu został zatrudniony w fabryce sprzętu elektrotechnicznego (późniejsza SELFA) na stanowisku zastępcy dyrektora d/s technicznych.

15 listopada 1966 r. przeszedł do biura projektów budownictwa przemysłowego i tam pracował na stanowisku starszego projektanta.

W maju 1968 r. rozpoczął pracę w świetnie rozwijającej się fabryce kabli w Załomiu k/Szczecina. Od marca 1968 r. był już głównym mechanikiem w tej fabryce. Miał tam opinię pracownika o dużych zdolnościach organizacyjnych i ogromnej przedsiębiorczości.

Chcąc jednak poświęcić się karierze naukowej, do której miał ogromne predyspozycje, przeszedł na pełny etat do Politechniki Szczecińskiej (09.1968) i został zatrudniony w katedrze technologii budowy maszyn w charakterze wykładowcy. 01.01.1969 r. powierzono mu pełnienie obowiązków kierownika zespołu naukowo-dydaktycznego technologii budowy maszyn P.S.

W tym czasie rozpoczął również przewód doktorski z dziedziny technologii. Od września 1963 r. do czerwca 1970 r. wykładał równolegle w technikum dla pracujących w Szczecinie, ucząc przedmiotów zawodowych. Parał się również tłumaczeniami tekstów technicznych z języka angielskiego i rosyjskiego. W plebiscycie na najlepszego wykładowcę roku (V-go „T”) w roku akademickim 1969/70 zajął I-sze miejsce.

Rozpoczętej pracy doktorskiej nie ukończył. Zmarł śmiercią tragiczną 10.06.1970 roku Pochowany jest na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.



**Podczas zajęć studium wojskowego jakiś facet w mundurze (oficer) truł coś o tradycji oręża polskiego i mieszał wszystko – Mickiewicz u niego walczył w Ameryce o naszą i waszą... Myśmy wtedy rozgrywali robra na „tyłach” sali wykładowej i Wickowi jakoś nie wyszło. Zaczęliśmy z niego trochę pokpiwać, a ten na cały głos:**

**– Jak mogę się skupić, kiedy ten dupek takie brednie opowiada?!**



**Anna Bożena Zięba-Zdun.** Ur. 22.06.1934 r.  
w Krakowie.

**Eugeniusz Zdun.**  
Ur. 4.02.1931 r. w  
Kowlu.

Dzieci: syn Ryszard;  
wykształcenie średnie  
zawód: marynarz.

Wnuki: Iwonka, ur. w

1980 r. - zginęła w 1989 r w wypadku samochodowym;  
Patrik , ur. w 1990 – absolwent ZUT Wydział Techniki  
Morskiej- budowa jachtów

### **Anna Bożena**

W 1957 r. ukończyła studia na wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej na kierunku technologia budowy maszyn i otrzymała dyplom magistra inżyniera mechanika. Z nakazem pracy została zatrudniona w szczecińskiej wytwórni sprzętu metalowego, późniejszej FMS „POLMO” S.A. Na stanowisku inżyniera normalizatora. Po roku została technologiem zajmującym się opracowywaniem technologii dla podzespołów i elementów składowych motocykla

JUNAK.

Po zaprzestaniu produkcji motocykla, brała czynny udział we wdrażaniu produkcji wałów napędowych i mechanizmów kierowniczych do samochodów ciężarowych. Praca wymagała zajęć inżynierskich w fabryce samochodów STAR w Starachowicach. Stąd była konieczność częstych wyjazdów i wielotygodniowych pobytów w Starachowicach całego zespołu odpowiedzialnego za przenoszenie produkcji (trzy osoby, w tym i piszący). Zespół był odpowiedzialny za sprawne

przemieszczenie materiałów, maszyn, wyposażenia, narzędzi wszelkiej dokumentacji itp. z FSC Starachowice do FMS Polmo i wdrożenie do produkcji wyrobów z jednoczesną ich modernizacją w nowych warunkach wytwarzania tak, aby zakłady finalne produkujące samochody nie odczuły żadnej „przeprowadzki” produkcji z zakładu do zakładu. Zadanie ogromne i skomplikowane (bardzo skomplikowane z uwagi na porę roku - okres zimowy). Zadanie wymagające zaangażowania, roztropności, zaufania, wiedzy i wiele innych cech. Wielomiesięczna praca (na wyjeździe) w zespole i praca w fabryce była doskonałą szkołą nie tylko techniki, ale i organizacji pracy. To wszystko doświadczyła Anna, która na miejscu w Szczecinie była współodpowiedzialna za nadzór technologiczny nad uruchomianiem nowej produkcji w POLMO.

Po kilku miesiącach całkiem nowym wyzwaniem było uruchomienie zespołów (wały napędowe i mechanizmy kierownicze) do samochodu licencyjnego Fiat 125p. W tym dziele wielką część swojej pracy również pozostawiła Anna (Bożena).

W 1977 przeszła do Działu Inwestystycji na stanowisko specjalisty ds. prognozowania i programowania produkcji. Po paru latach powstał dział postępu technicznego, którego kierownikiem była Anna Zdun, mgr inż. z wieloletnią praktyką. Po dwóch latach ciekawej i odpowiedzialnej pracy przeszła na wcześniejszą emeryturę. Podyktowane to było względami rodzinnymi (chora matka wymagała ciągłej opieki). Po pewnym czasie Bożena powraca do POLMO i przez kilka lat pracuje w niepełnym wymiarze godzin. Po ukończeniu kursu księgowości pracuje na rzecz trzech firmach prywatnych. Pracę zarobkową ostatecznie przerywa dopiero po kilku latach.

Trzydzieści pięć lat pracy w jednym zakładzie, który zmieniał swój profil produkcji, stale się rozwijał i osiągał coraz to lepsze warunki pracy zalicza Anna do lat dobrze spełnionego

obowiązku inżyniera. Były to lata doświadczeń i rozwoju osobistego. Praca w „POLMO” to również okres zaangażowanej pracy w SIMP. Przez wiele lat pełniła funkcję sekretarza koła zakładowego tej organizacji.

Za pracę zawodową i społeczną została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi.

Jest posiadaczem świadectwa autorskiego wzoru użytkowego „osłony gumowo-metalowej wału napędowego”

Hobby: czytanie książek, szycie, haftowanie, uprawa roślin, szczególnie kwiatów.

Nie znosi telewizji.

**Na pierwszym roku Ania nigdzie nie mogła wyjść sama, bo mama nie pozwalała. Pomógł Janek Popielski, którego mama poznała i stwierdziła, że jest wart zaufania (był naprawdę bardzo dobrze wychowanym chłopcem). Od tej pory Ania mogła chodzić na zabawy, chociażby trwały do brzasku.**

**Mama postawiła warunek: Do domu Anię musiał przyprowadzić Janek.**

## **Eugeniusz**

Studia na wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej, na kierunku elektrownie cieplne i wodne ukończył w 1957 i otrzymał dyplom inżyniera mechanika.

Nakaz pracy otrzymał do miejskiego przedsiębiorstwa wodociągów i kanalizacji w Szczecinie. Wodociągi akceptował, kanalizacją się nie chwalił. Płace tam były marne (*w tym okresie nie było to czymś szczególnym – MW*).

Po czterech miesiącach złożył prośbę o zwolnienie z nakazu pracy. Powodem było to, że jako młody inspektor ośmielił się zaprotestować przeciwko likwidacji wielu głębinowych ujęć wody (ekologicznie czystej i nienarażonej na skażenie), na rzecz budowy stacji POMORZANY, która miała czerpać wodę z rzeki (Odry) i na rzecz przyszłościowego ujęcia wody z jeziora Miedwie.

W pierwszym starciu z ówczesnymi decydentami przegrał batalię. Wprawdzie premię potracono, ale łaskawie pozwolono pozostać w zakładzie.

Po krótkim czasie od tego zdarzenia udało mu się zatrudnić w rejonie dróg wodnych na stanowisku głównego mechanika. Dyplom ukończenia szkoły morskiej w Gdyni umożliwił mu to zajęcie. Po roku, wraz z małżonką, opracował ekspertyzę dotyczącą awarii dźwigu pływającego. Według ekspertów NOT w Szczecinie winę ponosiła załoga, Eugeniusz i Bożena po analizie przekładni ślimakowej wykazali, że awaria była spowodowana przez wadliwy sprzęt. Stanowisko ich poparło ministerstwo żeglugi. W ten sposób dźwigowy pozostał na stanowisku, a Eugeniusz stał się niekwestionowanym autorytetem dla załogi.

Po kilku latach spotykał kolegę z lat gimnazjalnych, który zaproponował mu pracę w PŻM w Szczecinie. Tak rozpoczął 35-letni okres pracy na różnych stanowiskach w PŻM-ie. Od inspektora do głównego inżyniera. Praca w żegludze umożliwiła mu zwiedzenie połowy świata, poznanie stoczni w kilkunastu krajach, w tym i w Japonii. Jednak na czteroletni pobyt we Włoszech nie zdecydował się. Z każdego zagranicznego pobytu z radością powracał do kraju, który był dla niego najpiękniejszy.

Najwięcej zadowolenia przynosiła mu praca w bezpośrednim nadzorze przy budowie statków. Tutaj zawsze miał żywy kontakt z bezpośrednim wykonawcą. A przecież każdy statek należy do innych statków. Jest statek jest innym wytworem.

Za pracę społeczną uważał głównie pracę w IM (izbie morskiej) pełniąc tam najpierw funkcję ławnika, a później delegata ministra.

Jego hobby: woda i łowienie ryb (od najmłodszych lat).

Zmarł 5.04.2007 w Szczecinie – pochowany jest na CC.

**Kapral Kowara w Mrzeżynie na początku był bardzo rygorystyczny dla studentów, którzy zawsze robili go w „konia”. W końcu zmądrzał i zaprzyjaźnił się z kilkoma, z którymi łowił żmije na poligonie i odzierał je ze skórek (miał ich podobno ponad 200). Największym przyjacielem kaprała był Gienek. Chodzili na ryby, a połowy węgorzy degustowali z oficerami, obsługującymi działa nadbrzeżne (przeciwlotnicze). Podobno Gienek nawet chciał zostać na drugi miesiąc obozu?**

**Ale to nieprawda.**

**Pytałem Gienka. Śmiał się.**



### **Tadeusz Zieliński**

Inż. mechanik

Specjalista budowy

i eksploatacji kontenerów

Członek SIMP od 1974

Urodził się 11 sierpnia 1931 w Augustowie. Ojciec Antoni - od roku 1945 do emerytury był kolejarzem. Matka Anastazja z domu Kuzniecow.

Tzw. małą maturę w szkole ogólnokształcącej zdał w Augustowie w 1950 roku. W latach 1950-1952 uczył się na dwuletnim kursie specjalnym w liceum mechanicznym im.

Stefana Batorego w Skierniewicach, gdzie zdał maturę i zdobył tytuł technika mechanika.

W roku 1952 rozpoczął studia na Wydziale Budowy Maszyn w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Studia ukończył w 1956 roku, ale już na PS, zdobywając dyplom inżyniera mechanika o specjalności technologia ogólna budowy maszyn. Pracę zawodową rozpoczął 01.09.1956 roku w szczecińskich zakładach przemysłu maszynowego leśnictwa w Szczecinie w Kijewie, na stanowisku technologa. Po roku pracy awansował na stanowisko głównego technologa.

W tym czasie rozpoczęto rozbudowę zakładów. Powstał nowy wydział w Szczecinie (Płoni), który był wielokrotnie większy od zakładu macierzystego. Tam właśnie zdecydowano przenieść dyrekcję fabryki oraz jej wszystkie działy: techniczny, ekonomiczny i administracyjny, a dotychczasowy zakład w Kijewie nadal należał do zakładu i był w randze wydziału, w którym nadal produkowano narzędzia do pielęgnacji lasów, czyli pługi leśne konne, pługi leśne ciągnikowe, pogłębiacze. Produkowano tam również resory do przyczep. Była to produkcja seryjna i wielkoseryjna. W nowym wydziale w Płoni (w pierwszych latach) produkowano urządzenia jednostkowe oraz jednostkowo - powtarzalne. Były to urządzenia dla fabryk płyt wiórowych i paździerzowych oraz dla fabryk terpentyny i kalafonii. W większości wyroby te były produkowane na eksport. Wielkość produkcji oraz jej złożoność, wymagała zwiększenia ilości kadry technicznej i opanowania nowych technologii takich jak, technologia spawania miedzi oraz jej stopów, a także stali austenitycznych.

Zachodziła również potrzeba wprowadzenia nowych wydajniejszych metod spawania w osłonie gazu-CO<sub>2</sub> oraz spawanie stali węglowych pod osłoną topnika. Równolegle przygotowywano zakład do uzyskania dopuszczenia przez UDT produkowanych naczyń ciśnieniowych. I wkrótce takie

dopuszczenie do produkcji uzyskano. W międzyczasie Tadeusz poszerzał swoją wiedzę na 14. miesięcznym studium organizatorów wyzwalania rezerw w przemyśle maszynowym. Studium prowadzone było przez TWWP (towarzystwo wolnej wszechnicy polskiej) w Warszawie, na zlecenie ministra przemysłu ciężkiego i komitetu drobnej wytwórczości. Szkolenie wymagało opracowania trzech obszernych zagadnień dotyczących: aktualizacji paszportu przedsiębiorstwa; bilansu zdolności i rezerw produkcyjnych metodą wskaźnikową oraz programu rozwoju zdolności produkcyjnych na lata 1966-1970. Tadeusz po zdaniu egzaminu otrzymał świadectwo pt. „Organizator wyzwalania rezerw w przemyśle maszynowym”.

Od roku 1970 pracował w ZSRR na kontrakcie CEKOP-u, na stanowisku zastępcy kierownika polskiej grupy specjalistów. Podczas budowy fabryki płyt październowych w Horodeji (powiat Nieśwież - obecnie Białoruś) prowadził nadzór nad montażem maszyn. Montaż przebiegał sprawnie i polskie urządzenia również pracowały sprawnie, a wyniki pierwszego roku gwarancyjnego (tak pod względem jakości produkcji jak i wydajności) były większe od zakładanych w kontrakcie. W styczniu 1971 powrócił do Polski, do zakładu, w którym uprzednio pracował, a który teraz zmienił zwierzchnictwo, bo należał już do ministerstwo przemysłu ciężkiego i otrzymał nową nazwę FAKON (fabryka urządzeń wagonowych). Początkowo zatrudniony był na stanowisku szefa biura koordynacji produkcji kontenerów.

Po wykonaniu prac rozpoznawczo - szkoleniowych, powrócił na stanowisko głównego technologa, któremu kierownictwo fabryki podporządkowało również dział konstrukcyjny i otrzymał angaż szefa biura konstrukcyjno – technologicznego.

Z ogromną pasją rozpoczął pracę nad kontenerami. Powstawały wówczas polskie konstrukcje kontenerów (a było ich kilka), ale



kończyły się wyłącznie na prototypach. W tym czasie w naszym kraju, specjalne profile hutnicze i specjalizowane maszyny oraz urządzenia do produkcji kontenerów nie były do osiągnięcia. Aby je zdobyć, niezbędna była licencja na produkcję tych wyrobów (kontenerów). Licencję na produkcję powyższych wyrobów Polska kupiła w RFN. Rozpoczął się w firmie wyścig z czasem, bowiem prowadzono jednocześnie duże prace inwestycyjne w zakładzie. Inwestycje budowlano – montażowe, technologiczne, a także w konstrukcji oprzyrządowania, w doborze i montażu maszyn oraz w szkoleniu załogi.

Dzięki zakupowi licencji, Tadeusz miał możliwość poznania wiele zakładów przemysłowych w Niemczech (RFN). Przez okres dwóch lat był członkiem tymczasowej grupy roboczej, powołanej do opracowania porozumienia o specjalizacji i kooperacji materiałowej bazy, kontenerowego systemu transportowego przy RWPG w Moskwie. Zetknięcie się z wymogami licencyjnymi i przemysłem zachodnim było wielką nauką praktyczną i teoretyczną dla inżyniera.

W roku 1973 pierwsze prototypy zostały wykonane i przebadane w fabryce kontenerów w Zwickau w NRD. Prototypy przeszły pozytywnie próby i zostały uznane przez Germanischer Lloyd i PRS, jako odpowiadające normom. W roku 1974 ruszyła produkcja seryjna. Była to olbrzymia radość i jednocześnie satysfakcja. Przez kilka kolejnych lat Tadeusz zgromadził ogromną wiedzę z zakresu konstrukcji, technologii i obowiązujących norm w budowie kontenerów, że uplasował się w ścisłej czołówce inżynierów tej branży w Polsce.

Podczas strajku w roku 1970 dyrektor fabryki kontenerów stanął na czele tego strajku, toteż KW PZPR natychmiast go pozbawił tej funkcji, a nowy dyrektor miał inne plany kadrowe. Umyślnie pominął Tadeusza w odznaczeniach za uruchomienie produkcji

kontenerów.

Po jednej z rozmów z szefem, Tadeusz podjął decyzję o zmianie pracy i dlatego od 1975 rozpoczął „terminowanie” w UDT w Szczecinie (w dozorcze technicznym w grupie kotłowo - zbiornikowej). Szkolenie trwało trzy miesiące i zakończyło się egzaminem w Okręgowym Dozorze Technicznym w Poznaniu. Po czterogodzinnym egzaminie został młodszym rzeczoznawcą w Inspektoracie D.T. w Szczecinie. W UDT pracował wiele lat wśród wysokiej klasy specjalistów. Stale poszerzał swoje kwalifikacje specjalistyczne na kursach organizowanych przez firmę. Na emeryturę, już jako, starszy specjalista d/s. urządzeń ciśnieniowych przeszedł 01.03.1997. W tym czasie, kiedy pracował zawodowo, był wykładowcą na kursach spawalniczych w WZDZ (wojewódzkim zakładzie doskonalenia zawodowego). Był również członkiem państwowej komisji egzaminującej spawaczy przy WZDZ Szczecin. Od roku 1975 jest rzeczoznawcą SIMP (nr 3327) o specjalności (501- kotły i zbiorniki ciśnieniowe), Do tej pory brał czynny udział w opracowywaniu wielu ekspertyz i opinii. W roku 1988 został odznaczony srebrną, honorową odznaką SIMP.

Jest autorem sześciu rozdziałów technicznych książki pt. Budowa Kontenerów (rodzaje, przeznaczenie, konstrukcja), wydanej na zlecenie Państwowej Rady Gospodarki Materiałowej - Warszawa 1976.

Spółecznie udzielał się w latach 1958 - 1964, przez dwie kadencje, będąc radnym dzielnicowej rady narodowej Szczecin-Dąbie,.

Za pracę zawodową został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz srebrną odznaką pamiątkowa „Gryfa Pomorskiego”, w 1962 roku.

Tadeusz i Krystyna z d. Panasewicz (nauczycielka) są małżeństwem od 1953 roku.

Córka Alicja Jadwiga ur.1954 - mgr inż. budownictwa wodnego, absolwentka Politechniki Szczecińskiej od 1980 roku mieszka w USA, gdzie nostryfikowała dyplom i pracuje w biurze projektów, jako „*senior project manager*” w firmie KBR o światowym zasięgu i światowej renomie. Syn Sławomir Jan ur.1956 r., mgr inż. budownictwa – o specjalności urządzenia sanitarne jest absolwentem Politechniki Szczecińskiej. Od kilku lat prowadzi własną firmę DIPI doradztwo i pośrednictwo inwestycyjne. Tadeusz i Krystyna mają wnuki Michała, Marię i Joannę oraz prawnuki Maję, Aleksandra i Leonarda.

**W tym miejscu o Tych, którzy nie zdążyli i nie „załapali się” na pierwsze wydanie „A to My”**

## **Janusz Szustkiewicz**

urodził się 19.06.1932 roku.

Żona Maria – etnograf, artysta plastyk

Dwie córki.

Po ukończeniu Politechniki Szczecińskiej w roku 1956 uzyskał dyplom inżyniera mechanika. Pracę w tym samym roku rozpoczął w stoczni szczecińskiej na wydziale ruchu i zajmował się pracami budowlano – konstrukcyjnymi stoczni, uruchomianiem maszyn i urządzeń, a przede wszystkim żurawiami i suwnicami.

W roku 1967 został oddelegowany do nowo powstającej fabryki prefabrykatów budowlanych, czyli do tzw. fabryki domów w Szczecin- Płonie. Tam pełnił funkcję zastępcy dyrektora d/s. technicznych. Pełniąc tę funkcję, dyrektora technicznego, nadzorował budowę i uruchomienie produkcji wielkich płyt na potrzeby budownictwa mieszkaniowego. Dopiero w roku 1970 (po zakończeniu budowy i rozruchu fabryki) powrócił do Stoczni im. Warszawskiego, gdzie objął stanowisko kierownika wydziału budowlano montażowego. W Stoczni Szczecińskiej pracował do 22.06.1995. Zmarł na skutek wylewu 23.06.1995. Jest pochowany w Szczecinie na CC.

**Janusz mieszkał poza akademikiem, na stacji. Tam dla przyjemności i zabawy hodował białą myszkę. Pewnego dnia umówił się ze Zdlichem (Olkiem), że wyciągną z alkoholizmu (wczesnego stadium) pewnego kolegę z roku, który lubił wypić, ale nie za swoje pieniądze.**

**Kiedy opróżnili jedną butelkę wina „Tur” (taka siarczanowa mocniejsza lura), posłali Andrzejkę do kuchni po następną butelkę. Ten po chwili przybiegł błądy, poważnie wystraszony i zaczął niemal krzyżeć, że po stole w kuchni chodzi biała myszka. On ją widział i daje słowo!**

Trzeba wyjaśnić, że zanim usiedli do butelki, wiele mówili na ten temat alkoholizmu, przewidzeniach po picu i tak dalej.

Ostrzegali Andrzejka o szkodliwości picia w nadmiarze i o delirium tremens.

Teraz, kiedy Andrzejek zapewniał, że widział białą myszkę oni zaczęli zaprzeczać, że w kuchni nie może być żadnej myszki, i to jeszcze białej. Chyba że...Ale Andrzejek nadal się upierał, że ona tam jest i jest biała... Poszli do kuchni, i istotnie na stole siedziała myszka i coś wcinała. Andrzej się ucieszył, że on nie ma zwidów, a oni, że żadnej myszki nie widzą.

– Andrzejku – ostrzegli go - ty już nic nie wypijesz, bo masz pijackie omamy.

## **Andrzej Warski**

Po zdaniu matury w 1951 roku rozpoczął pracę stoczni szczecińskiej w biurze projektów, jako kreślarz. Później, po kursie normalizatorów produkcji, zajmował się opracowywaniem norm wewnętrznych dotyczących mechanizmów i elementów wyposażenia statków. Na czas studiów zrezygnował z pracy w Stoczni, ale miał zamiar do niej powrócić.

Nakaz pracy otrzymał jednak do zakładów porcelany elektrotechnicznej w Kowarach. Tam został zatrudniony na stanowisku konstruktora matryc do wyrobu elementów z porcelany.

Z chwilą, kiedy nakazy przestały obowiązywać, powrócił do Szczecina, do Stoczni gdzie został zatrudniony w wydziale mechanicznymi, gdzie zajmował się nadzorem nad produkcją wind i innych mechanizmów okrętowych. W 1958 roku CBKO (centralne biuro konstrukcji okrętowych) w Gdańsku powołało specjalny zespół nadzorujący produkcję

mechanizmów dla potrzeb budowy statków (wykonywanych wg dokumentacji tegoż biura). Powołany zespół, oprócz prac nadzoru technicznego pełnił funkcję „korektorów” dokumentacji pierwotnej. Andrzej został powołany do kierowania tym zespołem. Z czasem zespół poszerzył swój zakres prac i samodzielnie konstruował mechanizmy, które były produkowane przez Stocznę.

Z chwilą powstania samodzielnego biura konstrukcyjnego w Szczecinie, zespół został wchłonięty przez biuro, ale nadal zajmował się konstrukcjami mechanizmów okrętowych. Na podstawie konstrukcji (teraz także własnych) stocznia szczecińska wykonywała mechanizmy dla wszystkich stocznii na terenie kraju, a także na eksport do: Finlandii, ZSRR, Niemiec Wschodnich, czyli do NRD.

Przy stosunkowo dużej samodzielności zespołu i doskonałej współpracy z wydziałem produkcji mechanizmów (kierował wtedy wydziałem Franciszek Maziarz, kolega z roku) Stocznia była postrzegana, jako doskonały wytwórca i miała możliwość dalszego rozwoju, gdyby nie wydarzenia, które zepchnęły Stocznę na boczny tor.

Praca w tym miejscu pozwoliła zrealizować chłopięce marzenie budowy statków, których modele tworzył podczas okupacji. Wbrew temu, co chciał osiągnąć okupant w tamtych ponurych czasach, Andrzej z dumą podkreśla, że nie tylko mógł w polskim Szczecinie ukończyć szkołę podstawową, średnią i wyższą, i w rzeczywistości brać udział w budowie prawdziwych, wielkich statków.

W 1992 roku Stocznia zaniechała produkcji mechanizmów okrętowych i zespół został rozwiązany. Na emeryturze, pozostała mu jedynie pasja do budowy modeli statków.

Andrzej zaapelował do tych, którzy chcą pisać wspomnienia (To do mnie?) – *„Różne opowieści o pracy (i nie*

*tylko) możemy sobie snuć kiedyś przy kawie. Na pisanie wspomnień nie próbujcie mnie namawiać. W pisaniu jestem kiepski”*

Czyżby to była prawda? Andrzejku, ja tak nie myślę (MW)

**Andrzej na zadane przez oficera pytanie na egzaminie z wojskowości:**

– Co znajduje się w torbie na maskę P-GAZ - powiedzcie student?  
Odpowiedział, że maska właściwa, rura i pochłaniacz..., a pytający nadal chciał, aby Andrzej coś dodał.

**Wreszcie egzaminator zapytał :**

– A masło może tam być?

– Może – odpowiedział Andrzej – Kiedy będzie taki rozkaz obywatelu...

## **Leszek Wyżykowski**

urodzony 29.06.1934 w Warszawie.

Żona Barbara – ekonomistka, zmarła 04.2013 w Warszawie

Córka Monika – absolwentka Politechniki Warszawskiej -

Wydział Geodezji i Kartografii

Wnuki: Marta – ukończyła studia na Akademii Pedagogiki Specjalnej,

Maja – studiuje w UW lingwistykę stosowaną, Maria i Maciej

Studia ukończył w 1956 roku z dyplomem inżyniera mechanika o specjalności technologia budowy maszyn. Nakaz pracy otrzymał do zakładu budowy maszyn lampowych w Warszawie, gdzie został zatrudniony na stanowisku inżyniera kontroli technicznej. Następnie powierzono mu rolę mistrza wydziału mechanicznego, później kierownika oddziału gospodarki narzędziowej z podległą narzędziownią wykonywującą narzędzia, oprzyrządowanie i pomoce dla produkcji.

Zakład budowy maszyn lampowych w Warszawie powstał, aby opracowywać i wykonywać maszyny i urządzenia (często jednostkowe) dla zakładów produkujących różnego rodzaju żarówki, lampy radiowe, lampy rtęciowe, kineskopy, pompy próżniowe, wraz z ich elementami. Mimo tego, że praca w zakładzie była ciekawa i dająca duże doświadczenie zawodowe, postanowił odejść z tego zakładu.

W lutym 1964 rozpoczął pracę w warszawskiej fabryce pomp. Zakład był w trakcie reorganizacji i przenosin ze starego zakładu przy ulicy Grochowskiej do nowo wybudowanego na Żeraniu.

W fabryce pomp pracował kolejno na stanowiskach: kierownika wydziału remontów, kierownika biura przygotowania produkcji fabryki, szefa produkcji, kierownika działu postępu technicznego, wynalazczości i norm, kierownika działu gospodarki narzędziowej.

Trochę historii.

Początki warszawskiej fabryki pomp sięgają 1908 roku, kiedy to „towarzystwo komandytowe- zakład mechaniczny Czesław Witoszyński i Wacław Brandel” rozpoczęła produkcję pomp wirowych dla wodociągów i kanalizacji oraz cukrowni. Przez całe lata zakład nie zmieniał profilu produkcji. Cały czas dostosowywał produkcję do potrzeb rynku, modernizując już istniejący asortymenty i wprowadzał coraz to nowsze, własnej konstrukcji. Tak powstawały pompy wirowe przemysłowe, jedno i wielostopniowe, poziome i pionowe, zatapialne o szerokim zakresie parametrów technicznych, w różnych wersjach materiałowych tj. z żeliwa, brązu, staliwa. W większości były to produkty jednostkowe na specjalne zamówienia, a przeznaczone były na potrzeby: energetyki, ciepłownictwa, przemysłu chemicznego, rolno- spożywczego, gospodarki komunalnej, melioracji i inne. Wszystkie wyroby



wytwarzane były na podstawie dokumentacji opracowanej przez własne biura: konstrukcyjne i technologiczne. Fabryka posiadała własną odlewnię: żeliwa, staliwa i metali nieżelaznych (kolorowych), która posługiwała się modelami wykonanymi przez modelarnię fabryczną. Fabryka posiadała wdrożony system zapewniający jakość wyrobów zgodny z normą ISO 9001.

W fabryce pomp Leszek zakończył ciekawy okres pracy zawodowej, o której napisze: *„Praca w fabryce pomp przy produkcji jednostkowej i małoseryjnej wyrobów była bardzo ciekawa, wymagała pełnego zaangażowania i stałego podnoszenia wiedzy, ponieważ były to wyroby nowoczesne, oparte przeważnie o własne pomysły i rozwiązania konstrukcyjne, a także o kupione licencje i rozwiązania post licencyjne. Produkowany asortyment wyrobów nie posiadał konkurencji w kraju. Wyroby fabryki pomp w Warszawie stanowiły dla odbiorców istniejących i nowobudowanych w Polsce dobra inwestycyjne. Były one także (w znacznym procencie) eksportowane do innych krajów świata.”*

Za pracę zawodową otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń państwowych. Na emeryturze jest od 30. 09. 1999.

Leszek z natury jest oszczędny w słowach i dlatego Jego życiorys zawodowy przypomina raport wojskowy. Wiem z rozmowy bezpośredniej z Leszkiem, a także rozmowy z kolegami, że Leszek mógłby nam opowiedzieć bardzo ciekawe historie pracy inżynierskiej w różnych warunkach, tak w okresie PRL, a i w początkach transformacji (MW).

– Leszku pożycz dwa złote (kolega, który chętnie pożyczał, oddawać - nie pamiętał i robił zdziwioną minę, że mu się przypomina o długu).  
– Nie pożyczę - mówił Leszek – dwóch. Mogę pożyczyć pięćdziesiąt, bo o dwóch ty najczęściej zapominasz, a mnie jest głupio ci przypominać, ale o kwocie pięćdziesiąt, to inna para kaloszy.

## **Wiesław Kendelewicz**

urodził się 14.11.1934 roku w Warszawie.

Żona Małgorzata – nie żyje

Córka Izabela ur. w 1957 – absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego – archeologia.

Syn Tomasz ur. w 1969 – absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego – doktorat z archeologii

Wnuki: Elżbieta, absolwentka prawa,  
Magdalena.

W 1952 roku egzamin wstępny zdał w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu. Nie został przyjęty z braku miejsc. Zaproponowano Wiesławowi Szkołę Inżynierską w Szczecinie. Studia na Wydziale Budowy Maszyn o specjalności: maszyny i urządzenia energetyczne ukończył w 1956 roku i otrzymał dyplom inżyniera mechanika.

Skuszony szybkim otrzymaniem mieszkania, zgodził się na nakaz pracy do nadodrzańskich zakładów przetwórstwa owocowego w Dębnie Lubuskim, gdzie został zatrudniony na stanowisku głównego mechanika.

Po upływie jedenastu lat pracy w tym zakładzie przeszedł do POM Dębno na stanowisko głównego mechanika, a następnie na stanowisko zastępcy dyrektora ds. technicznych. Od 1980 roku rozpoczął pracę w ZREMB Kostrzyn, gdzie pracował na stanowisku zastępcy dyrektora oddziału, a następnie dyrektora oddziału. Tutaj pracował do emerytury. W okresie pracy zawodowej w Dębnie uczył młodzież techniki w szkolnictwie zawodowym (na niepełnym etacie). Pracował również w ośrodku szkolenia kierowców (PZMot). Od 1971 roku posiadał uprawnienia rzeczoznawcy techniki samochodowej i ruchu drogowego.

## **Zygmunt Lenartowicz**

urodził się 18.11.1933 roku w Mikołowie.

Żona Regina

Syn Marek

Wnuk Filip

Studia w Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Budowy maszyn ukończył w 1956 roku i otrzymał dyplom inżyniera mechanika. W tym samym roku został zatrudniony zakładzie mleczarskim w Szczecinie na stanowisko starszego mechanika.

We wrześniu 1959 zmienił pracodawcę. Został zatrudniony w zakładzie remontowo montażowym przemysłu mleczarskiego w Szczecinie przy ul. Gdańskiej. Zakład w tym czasie wykonywał remonty i montaż maszyn i urządzeń w okręgowych spółdzielniach mleczarskich na terenie województwa szczecińskiego. W 1967 ZMR został przemianowany na FAM (fabrykę aparatury mleczarskiej), która rozpoczęła produkcję zbiorników (zwanych tankami) do mleka ze stali nierdzewnej o pojemności od 4000 litrów do 20000 litrów. Fabryka produkowała pojemniki dla wszystkich zakładów gromadzących i przetwarzających mleko w Polsce.

Zygmunt aż do emerytury (w czerwcu 1994 roku) pracował w fabryce na różnych stanowiskach, wspinając się po szczeblach kariery zawodowej. Najpierw jako kierownik robót terenowych, następnie był szefem montażu urządzeń mleczarskich. Od września 1971 pełnił funkcję zastępcy dyrektora ds. technicznych. W lipcu 1984 został awansowany na dyrektora fabryki i prezesa spółki produkującej aparaturę mleczarską.

Z chwilą przejścia w stan spoczynku, czyli na emeryturę, nie odpoczywał. Pomagał żonie w prowadzeniu działalności gospodarczej, aż do roku 2001.

## Zbigniew Ługin

Ostatni list napisał do Ani, czyli Bożenki Zdun,  
data: poniedziałek 6 maja 2002 rok,  
miejsce: Szymbark.

List przedstawię w formie oryginalnej.

*„Zbigniew Ługin to ja, na zasłużonym wypoczynku. Po osiągnięciu pełnego wieku jestem na emeryturze, nigdzie nie pracuję, nawet zleconych prac nie robię. Mieszkam w Szwajcarii Kaszubskiej, we wsi Szymbark u stóp Wieżycy, najwyższej góry Pojezierza Pomorskiego (tak mówią). Zajmuję się domem, sadem, ogrodem ozdobnym, latem łowią ryby, a zimą biegam na nartach. Tak, teraz nadszedł czas, na higieniczny tryb życia.*

*Przez te 44 lata pracowałem: w Zakładach Chemicznych Oświęcim, Rafinerii Gdańskiej i w firmie zagranicznej. W roku 1975 ukończyłem dwuletnie, wieczorowe studia magisterskie Politechniki Gliwickiej, otrzymując dyplom magistra organizacji i zarządzania przemysłem. Jestem współautorem i autorem kilku projektów wynalazczych nagrodzonych w krajowych konkursach.*

*Byłem członkiem Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, i nie tylko aktywnie pracowałem, ale również wykładałem zasady organizacji i zarządzania dla mistrzów i kadry kierowniczej.*

*Z żoną Stenią za kilka lat będziemy obchodzić 50- lecie małżeństwa. Mamy trzech synów, żonatych i mieszkających w Gdańsku. Jeden pracuje w firmie Szwedzkiej, drugi w Rafinerii Gdańskiej, a trzeci ma firmę produkującą komputerowe*

*programy wizualne. Do tego składu „rodzinki” dodać należy sześcioro wnucząt: najstarsza Ania będzie kończyć 18 wiosen, a najmłodszy Piotr ma 10 lat. Tę potęgę” rodu widać z okazji świąt i rocznic, kiedy spotykamy się, bawimy i biesiadujemy w naszym domu”.*

Zbyszek nie przyjeżdżał często na zjazdy, ale pamiętnego roku 2002 wybierał się do Szczecina. Koniecznie chciał się widzieć z „ferajną”.

A że należał do grona nieszkodliwych rozrabiaków, każdy z nas już na zapas cieszył się z tego spotkania.

W liście do Ani pisał również: *”Nie jestem pewny czy uda mi się namówić żonę na wyjazd do Was, a kogoś z rodziny zatrudnić na ten czas, do doglądania naszego domu?...”*

Zbyszek nie przyjechał. Zmarł w czerwcu 2002 roku.

**Eugeniusz Mielczarek**  
**ur.08.01.1932**

**Gerhard Riemer**  
**ur.15.08.1931**

Studia na Wydziale Budowy Maszyn ukończył w 1956 roku i uzyskał dyplom inżyniera mechanika. Nakaz pracy otrzymał do elektrowni w Gorzowie Wlkp., gdzie pracował do chwili możliwości wyjazdu do Niemiec, w ramach akcji łączenia rodzin.

W Niemczech został zatrudniony jako inżynier w firmie MAN w Norymberdze, w oddziale budowy kotłów parowych w sekcji budowy palenisk dla wszelkich materiałów opałowych z wykorzystaniem różnych palników. Sekcja specjalizowała się w uruchomianiu kotłów parowych o wydajności od 9 ton do 1500

ton paliwa na godzinę.

Firma MAN prowadziła prace nie tylko na terenie RFN, ale i poza jej granicami. W Holandii w elektrowni Inselcentrale Hengelo, w fabryce papieru Masstrich i Wormawer. We Włoszech prowadzone były prace w firmie ILVA Bagnol. W Hiszpanii zaś, w hucie stali PUERTO SAGUNTO w Walencji, a w Rumunii w elektrowni CRAIOWA.

We wszystkich tych budowach brał udział jako kierownik zespołów. Inżynier wykształcony w Politechnice Szczecińskiej. W 1995 roku Eugeniusz mimo zbliżającej się emerytury, stale pracował na swoim poważnym stanowisku pracy jako ekspert wysokiej klasy.

Firma MAN w 1995 roku połączyła się z inną firmą.

Powstała nowa firma EVT- Energie und Verfahrenens Technik GmbH Stuttgart (później kupiony przez ALSTOM), w której aż do emerytury pracował Eugeniusz - Gerhard.

Przez cały okres pracy w firmie pracował również w wielu elektrowniach na terenie Niemiec.

Po otrzymaniu książki pt. KAMRACI, zadzwonił do mnie z Norymbergi, gdzie mieszkał, i był bardzo zadowolony, że o nim pamiętałem. Od tej pory często prowadziliśmy długie telefoniczne rozmowy, w których Gienek z wielkim rozrzewnieniem wspominał cudowne lata młodości wśród najmilszych przyjaciół na studiach w Szczecinie.

Mówił, że chciałby przyjechać i spotkać się z nami, ale przedtem nie mógł, bo najczęściej pracował na wyjeździe, pełniąc ważne funkcje podczas montażu urządzeń na budowach i to w krajach zachodnich. Do Polski było daleko i były różne warunki.

Teraz był w Polsce, ale jedynie na Dolnym Śląsku skąd pochodziła jego żona. Nie obiecywał, ale miał nadzieję, że przed śmiercią zdąży przyjechać do Polski, aby się spotkać z nami. Tego sobie najbardziej życzył.

Najczęściej rozmawiał z moją żoną Alinką ( ja bywałem poza domem z racji swoich zajęć społecznych) i wtedy rozmawiali nie tylko o przeszłości, ale o terażniejszości i ewentualnie o przyszłości.

Mówił, że coraz gorzej znosi dolegliwości poważnej choroby. Cieszył się swoją rodziną, córką i wnuczką. Później już nie dzwonił. Z rozmów wnioskujemy z żoną, że chyba odszedł, ponieważ więcej nie zadzwonił z Norynbergi.

Gienek chciał, aby Marian pracował nad swoją wymową (razem mieszkali w akademiku, a Marian trochę się zacinał) i dlatego zawsze na przerwach nabijał się z Mariana F. że się jąka, i nie chce nad sobą pracować.

Marian, doprowadzony do ostateczności zwykł odcinał się koledze:

– Tttrup - (kzywka Gienka, był chudy, nie dożywiony) – ja zawsze mówię płynnie.

A kiedy zaczynaliśmy się śmiać, dodawał już tak jak zawsze:

– Nnno! I czczego się śśśmiejecie bbbarany?

## **Bohdan Tomaszewski**

urodzony 31.05.1931 w Warszawie.

Od 1944 do 1945 roku przymusowo pracował w Niemczech, a od 1946 w PZInż nr 2 (URSUS nr 2), w dawnej fabryce Stoewera, późniejszej SFM JUNAK, następnie FMS POLMO S.A. W PZInż nr.2 w Szczecinie pracował na stanowisku konstruktora.

W 1950 roku rozpoczął pracę w dziale głównego mechanika w zakładach gazownictwa okręgu szczecińskiego, gdzie pracował do roku 1952.

Po ukończeniu studiów w 1956 roku i uzyskaniu dyplomu

inżyniera mechanika podjął pracę w swoim dawnym zakładzie, teraz SWSM, a zaraz SFM JUNAK, na stanowisku zastępcy głównego konstruktora. Brał czynny udział w adaptacji i modernizacji dokumentacji motocykla JUNAK – M07 na JUNAK- M10, a także i w konstruowaniu trójkołowca B20, przyczepy bocznej WB3 i różnych innych modernizacjach motocykla Junak, ze słynnym prototypem M14, który nie doczekał się uruchomienia produkcji.

W SFM – Junak Bohdan pracował do roku 1964.

Od 1964 do 1973 roku pełnił funkcję dyrektora Biura Projektów Handlu, Przemysłu i Usług w Szczecinie, a następnie, aż do 1975, był zastępcą dyrektora tego biura.

W roku 1975 pracował na stanowisku głównego specjalisty do spraw produkcji i postępu technicznego w zjednoczeniu przemysłu terenowego, z siedzibą w Szczecinie.

Od 1976 do 1980 roku, jako główny specjalista ds. inwestycji prowadził nadzór inwestorski nad uruchomieniem „fabryki cylindrów długich” w Choszczynie. Nowopowstająca fabryka siłowników hydraulicznych przez jakiś czas była filią FUB HYDROMA – BUMAR w Szczecinie. Równolegle brał udział w realizacji inwestycji w nowym oddziale HYDROMY w Gryficach. Obie budowy, a także modernizacja i rozbudowa HYDROMY były efektem ogromnej pracy zespołu kierowniczego fabryki, pod przewodnictwem kolegi ze studiów inżyniera MW (*autora niniejszego opracowania*).

Od 1980, aż do emerytury (1990) powrócił do przemysłu terenowego. Na stanowisko dyrektora Wojewódzkiego Biura Projektów Przemysłu Terenowego w Szczecinie.



## **Mirosław Wojciechowski**

urodzony 21.04.1933 roku

Studia w Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Budowy Maszyn ukończył w 1956r. i uzyskał dyplom inżyniera o specjalności energetyka. Otrzymał nakaz pracy do Papierni SKOLWIN, gdzie pracował na stanowiskach: asystenta naczelnego inżyniera i starszego inżyniera gospodarki cieplnej. Papiernia w Szczecinie - Skolwinie, wytwarzała przede wszystkim papier gazetowy. Ówczesnie towar deficytowy. W papierni dał się poznać, jako inżynier o odpowiedniej dla tego przemysłu wiedzy, kreatywny i rzutki w działaniu. Stosunkowo szybko awansował do roli kierownika rozbudowy elektrociepłowni, by następnie pełnić funkcję zastępcy kierownika elektrociepłowni wewnętrznej. W latach 1961 do 1962 w kombinacie budownictwa ogólnego nr 1 w Szczecinie pełnił funkcję głównego inżyniera produkcji pomocniczej.

W latach 1962 do 1998 w Okręgowym Inspektoracie Gospodarki Energetycznej oddział w Szczecinie (do 1975 r. centrala była w Poznaniu, a do 1989 r. w Gdańsku) Mirek pełnił funkcje najpierw starszego specjalisty, a następnie głównego specjalisty.

Z rozmów z Mirkiem wiem, że nawet po przejściu na emeryturę udzielał się zawodowo, szczególnie w szkoleniu i egzaminowaniu na uprawnienia elektryczno energetyczne.

Zmarł nagle 08.12. 2017 i, nie zdążył opisać swojej ciekawej i ważnej dla naszego regionu pracy. Wprawdzie był – jak to nazwał w przemowie nad grobem nasz kolega Staszek Wojniusz - ORATOREM – ale w pisaniu był bardzo oszczędny (MW).

## **Stanisław Szmaj**

urodzony 21.03.1932 roku

w Kobyłanowie województwo wielkopolskie.

Żona Alina,

Synowie: Jarosław (1960) ukończył technikum elektryczne

Lechosław (1969) ukończył technikum samochodowe.

Wnuki: Aleksandra (1984) absolwentka socjologii i Mateusz (1994).

Dyplom inżyniera mechanika PS Wydziału Budowy Maszyn otrzymał w 1957 roku. Nakaz pracy skierował Stanisława do DZN PW (dąbrowieckie zakłady naprawcze przemysłu węglowego) w Dąbrowie Górniczej. Tam pracował, przy naprawach urządzeń i maszyn górniczych do 1958 roku. Następnie, aż do 1965 roku pracował najprawdopodobniej w tak zwanym ruchu, przy nadzorze maszyn i urządzeń w kopalni CHROBRY, a po połączeniu zakładów, w kopalni WAŁBRZYCH.

W 1965 roku rozpoczął pracę OUG (okręgowym urzędzie górniczym – biuro w Wałbrzychu (*OUG jest podporządkowany WUG - wyższemu urzędowi górniczemu z siedzibą w Warszawie – MW*)). Stanisław, jako inżynier mechanik z praktyką w kopalniach i zakładach naprawczych maszyn i urządzeń górniczych pełnił rolę specjalisty – rzeczoznawcy przy rozpatrywaniu przyczyn wypadków górniczych. W UOG pracował do 1983 roku, a później, aż do emerytury (w 1986 r.) w kopalni WIKTORIA.

Jak z tego wynika, Stanisław pracując w kopalniach, na emeryturę poszedł niemal w kwiecie wieku (54lata). Nie mam dalszych informacji. Liczę na to, że może kiedyś ktoś z bliskiej rodziny, lub bliskiego kręgu poszerzy wiadomości o Stanisławie Szmaji (MW).

## **Bronisław Ślega**

urodzony 01.09.1932 w Krosinie.

Żona Anna - magister farmacji

Córka Kamila (1967) absolwentka Politechniki Szczecińskiej,  
Wydział Budownictwa i Architektury (mgr inż.)

Syn Marcin (1972) technik farmaceuta

Studia ukończył w 1957 roku i otrzymał dyplom inżyniera o specjalności energetyka cieplna. W tym samym roku został zatrudniony w zakładzie remontowo montażowym przemysłu mleczarskiego w Szczecinie przy ul. Gdańskiej na stanowisku szefa produkcji, a potem na stanowisku głównego technologa.

W tym czasie opracował konstrukcję aluminiowego kontenera o pojemności 1200 litrów do przewozu mleka.

Na samochodzie Star mieściły się trzy takie kontenery.

Kontener aluminiowy zrewolucjonizował dotychczasowy, uciążliwy przewóz mleka w konwiach, których utrzymanie w czystości było wielkim problemem dla użytkowników. Stalowe konwie wymagały corocznego cynowania. A proces ten był szkodliwy dla obsługi i środowiska. Kontenery aluminiowe produkowane przez fabrykę aparatury mleczarskiej, (bo dotychczasowy ZRMPPM został przekształcony w fabrykę) były użytkowane w całym kraju.

Następnym osiągnięciem Bronisława był pasteryzator do mleka. Również na użytek przemysłu mleczarskiego w całym kraju był produkowany przez fabrykę w Szczecinie.

W 1962 Bronisław podjął pracę w Stoczni Warszawskiej na stanowisku technologa prowadzącego na wyposażaniu statków specjalnych, tak zwanych „uzbrojonych” Praca technologa polegała na nadzorze wykonawstwa zgodnie z dokumentacją techniczną, a także na opracowywaniu dodatkowych technologii dla prac przewidzianych w dokumentacji pierwotnej, lub na

wprowadzaniu koniecznych odstępstw. Po zbudowaniu statku rolą technologa (podczas próbnego rejsu) było sporządzenie protokołu zauważonych usterek, uwag i zastrzeżeń odbiorcy statku. Taki protokół był podstawą do wprowadzania robót poprawkowych na zbudowanym statku (w stoczni).

W 1965 roku, jako bezpartyjny, po ostrej rozmowie z pierwszym sekretarzem partii, musiał opuścić Stocznię i przenieść się do oddziału zjednoczonych zakładów elektronicznej aparatury pomiarowej ELPO w Szczecinie przy ul. Podgórznej, na stanowisko szefa produkcji. Oddział szczeciński ELPO był wówczas częścią zakładu ELPO w Świdnicy, który z kolei podlegał zjednoczeniu MERA w Warszawie.

W Szczecinie produkowano wtedy tablice do sprawdzania liczników prądu, zegary uliczne, automaty do czasowego włączania oświetlenia na klatkach schodowych.

W 1973 roku zjednoczenie MERA wybudowało i wyposażyło nowoczesną (jak na tamte warunki) wytwórnię elektronicznej aparatury pomiarowej, automatów czasowo - zwłoczných do parników ziemniaczanych, testerów pracy silników samochodowych, zegarów do fotografii i innych. Przeniesiono dotychczasowy oddział ELPO z ul. Podgórznej, wraz z produkcją do nowego zakładu i stworzono w ten sposób firmę pod nazwą MERATRONIK, która jako oddział podlegała zakładowi macierzystemu przy ul. Brzeskiej w Warszawie. Bronisław w MERATRONIKu pracował na stanowisku głównego technologa.

Po zmianach w 1990 zakład, będąc uzależniony od 'warszawskiej czapki', przy braku pomysłów na produkcję zaczął upadać.

Meratronik w Szczecinie posiadał nowoczesne wyposażenie, doskonałą kadrę techniczną i ekonomiczną, wyjątkowo

wykształconą, młodą załogę i przy odpowiednim pokierowaniu mógł znaleźć niszę pozwalającą, nie tylko produkować, utrzymać zatrudnienie, a nawet rozwijać się. I istnieć do dnia dzisiejszego!

Wystarczyło jedynie myśleć i działać. A wiem o czym mówię, bo znałem ten zakład. Zawiedli zarządzający, zarówno w Warszawie, jak i w Szczecinie. (MW)

W roku 1991 Bronisław na krótki czas podjął pracę w wytwórni wózków transportowych WUTEH przy Mieszka I. Wytwórnia wózków, pozbawiona nagle ogromnego odbiorcy swoich wyrobów – Związku Radzieckiego – upadała wolniej niż MERATRONIK, ale upadała. Nie wytrzymała nowych zmian, dysponując potencjałem i możliwością sprzedaży swoich wyrobów w nowych warunkach ustrojowych? Tego nie można zrozumieć, bo zaraz jak grzyby po deszczu powstawały supermarkety fantastyczni odbiorcy wyrobów.

Kadra likwidowanych zakładów pracy w Szczecinie szukała swojego miejsca na ziemi. I w ten sposób do urzędu miasta trafiło wielu dobrze zapowiadających się pracowników technicznych z byłego MERATRONIKA, z POLMO oraz z innych fabryk, które powinny były pracować na rzecz gospodarki kraju i przynosić efekty Polsce i miastu. Bronisław w wydziale aktywności gospodarczej znalazł pracę na stanowisku kierownika sekcji i tam pracował do okresu przejścia na emeryturę w 1996 roku.

## Ci którzy nas opuścili

*Dni człowieka są jak trawa;  
kwitnie jak kwiat na polu:  
ledwie go muśnie wiatr, a już go nie ma,  
i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje.*  
(Księga Psalmów, psalm 103)

*Pełen nadziei i ufności,  
odpoczniesz bezpiecznie strzeżony,  
nikt nie zakłóci spokoju,  
a wielu będzie Ci sprzyjało.*  
(Księga Hioba)

1. Eugeniusz Bielakowski zm. 10.11.1986 r. - CC Szczecin
2. Józef Błachnio zginął tragicznie 1957r. - CK w Ostródzie
3. Cezary Ciszewski zm.(?) - CK w Sochaczewie
4. Ewald Desz zmarł 17.04.1991 r. - CC Szczecin
5. Kazimierz Drozd zm. (?) - CK w Lidzbarku
6. Ryszard Dziemianowicz zm.(?) - CC w Szczecinie
7. Zenon Frąszczak zm. (?) - CK w Koninie
8. Adam Głębocki zm. 22.05.1997r. - CC w Szczecinie
9. Henryk Jachimowicz zm. (?) - CC w Szczecinie
10. Jan Karaś zm. 26.07.1990r. - CK w Nowym Warpnie
11. Edward Kleszcz zm.13.12.1974r. - CC w Szczecinie
12. Tadeusz Kondratowicz zm.(?) - CC w Szczecinie
13. Kazimierz Koczyński zm.13.08.1996r.- CK w Bydgoszczy
14. Zdzisław Kostecki zm. (?) - CC w Szczecinie
15. Marian Kozerski zm.(?) - CK we Wrocławiu
16. Karol Langer zm. (?) - CK w Warszawie
17. Adam Orzechowski zm. (?) - CK(?)
18. Bogdan Pleskaczewski zm. (?) - CC w Szczecinie
19. Jan Popielski zm. 7.6.1999r. - CK w Płocku

20. Apolinary Radkowski zm.01.1976r. - CK w Wałczu
21. Stanisław Skrobisz zm.13.02.1994r. - CK w Cedzynie
22. Włodzimierz Skorupa zm. 21.07.1994r. - CC Szczecin
23. Kazimierz Spaliński zm.1995 roku - CK w Krapkowicach
24. Marian Stachowicz zm. 1991roku - CK Brzeg Dolny
25. Zbigniew Strzałkowski zm.(?)
26. Józef Szczepaniak zm.(?) -CC w Szczecinie
27. Marian Szufliński zm. (?) - CC w Szczecinie
28. Janusz Szustkiewicz zm.(?) - CC w Szczecinie
29. Wiesław Turek zm.1.07.1993r. - CK w J. Górze
30. Włodzimierz Urbanowicz zm.(?) – CK(?)
31. Ryszard Wianecki zm.15.01.1994r - CK w Gniewie
32. Mieczysław Wróbel zm.12.12.1995r. - CC w Szczecinie
33. Henryk Wysocki zm. (?) - CK w Warszawie
34. Wincenty Zawidzki zm. trag. 06.1970r. - CC w Szczecinie
35. Marian Fudel zm. 01 lub 09.1998r. – CK w Nowym Sączu
36. Bohdan Chmielecki zm.14.05.2002r. – CC w Szczecinie
37. Antoni Karczewski zm.06.08.2002r. - CK w Warszawie
38. Paweł Topoliński zm. 09.2001r. – CK w Gdańsku
39. Sławomir Sadowski zm. 2002r. - CC w Szczecinie
40. Wiesław Kendelewicz zm. 2000r -. CK w Dębnie Lubuskim
41. Ryszard Zambrzycki zm. 11.02.2005r. – CK w Krakowie
42. Jerzy Burba zm. 31.12.2005r. – CK w Głogowie
43. Andrzej Sobotko zm.(?) – CK (?)
44. Zdzisław Reich zm. 3.03.1998 r. – CK (?)
45. Marian Karpiński zm. 27.01.2006r. CK(?)
46. Ryszard Doliński zm. (?) – CK (?)
47. Henryk Pawłowski zm. (?) – CK(?)
48. Eugeniusz Zdun zm. 05.04.2007r. - CC w Szczecinie
49. Stanisław Szatwiński zm.8.07.2007r. - CK w Nysie
50. Julian Wiktorski zm. 17.07.2007r. - CK(?)
51. Zbigniew Ługin zm. 06.2006r. – CK(?)
52. Franciszek Maziarz zm.(?) – CC w Szczecinie
53. Henryk Kubica zm. 22.09.2010r. - CK w Warszawie

54. Waldemar Siemionow zm. 14.11.2010r - CK w Włocławku
55. Władysław Pichet zm.(?) – CK(?)
- 56 Stanisław Szmaj zm. 10.2011r. - CK w Wałbrzychu
57. Janusz Skibiński zm. 26.10.2013r. - CC w Szczecinie
58. Błażej Daszyński zm. 29.07.2014r. – CK w Poznaniu
59. Julian Kacprzak zm. 09.06.2015r. – CC w Szczecinie
60. Bohdan Tomaszewski zm. 07. 2015r. - CC Szczecinie
61. Zbigniew Gniewoszewski zm. 07.2015r. - CC Szczecinie
62. Zygmunt Ossowski zm. 05.03.2017r. - CC. Szczecinie
63. Włodzimierz Kryński zm. 10.20r. - CK Kostrzynie n/Odrą
64. Stanisław Neumann zm. 06.11. 2017r. - CK w Mierzynie
65. Czesław Łukaszewicz zm.(?) – CK(?)
66. Andrzej Sobotko zm.( ?)
67. Gerhard Riemer (vel Eugeniusz Mielczarek) zm. prawd.
68. Sławomir Felicki zm(?)
69. Mirosław Wojciechowski zm.8.12.2017r. - CC w Szczecinie
70. Roman Niemczyk zm. 1.07.2018r - CC w Szczecinie
71. Jan Adrian zm. W sierpniu (?), w Wrocławiu
72. Karol Iwański zm. 2017r - CK w Warszawie
73. Zdzisław Zaleski zm. 27.12.2018 r. – CK w Warszawie
74. Tadeusz Krawczuk zm. 09. 2019r.- CC w Szczecinie
75. Andrzej Briks zm.22.11.2020 – CC w Szczecinie



***Koledzy z którymi nie mogłem nawiązać kontaktu (otrzymałem zwroty listów - przyp. M.W.):***

Kamil Grochowski  
Bogumił Jaworski  
Ryszard Wittig  
Jan Wolski

Apeluję do wszystkich! Jeżeli ktokolwiek o tych kolegach wiedziałby cokolwiek, niech się skomunikuje z autorem wspomnień.

Adres mój jest znany - patrz: [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl)

## Część 2.



II Zjazd absolwentów w 1971 r. (zdjęcie na tle wejścia do hotelu  
“Arkona” w Szczecinie)

Stoją od lewej: *M. Szufliński, Z. Kosteki, T. Zieliński, J. Karaś,  
E. Desz, T. Krawczuk, Z. Zaleski, R. Nowosad, K. Solecka,  
A. Głębocki, St. Szalwiński, Wł. Skorupa, J. Gregorius,  
K. Koczyński, Z. Ługin, E. Świerczyński, J. Czajka*

Kucają od lewej: *M. Walków, J. Grzęda, R. Zambrzycki, St. Neumann, J. Burba*



III Zjazd absolwentów w 1986 (zdjęcie na tle wejścia do Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie)

Stoją w górnym rzędzie od lewej: *J. Skibiński, K. Kubiak,*  
niżej od lewej: *W. Turek, Z. Szczerbiński, R. Nowosad,*  
*A. Zięba-Zdun, S. Neuman,*  
niżej od lewej: *M. Fudel, L. Wyżykowski, St. Jardzioch,*  
*J. Lorkiewicz,*  
niżej od lewej: *A. Gryglaszewski, K. Solecka, Z. Kostecki,*  
*J. Praczyk, K. Iwański, E. Zdun*  
niżej stoi: *G. Stępniewski, klęczy H. Krenke*

siedzą: *L. Rączka-Kędzior, J. Czajka, R. Niemczyk, M. Walków*



IV Zjazd absolwentów, wrzesień 1996 r. (zdjęcie na tle wejścia do Zamku Księżąt Pomorskich)

Stoją od lewej: *J. Praczyk, J. Skibiński, J. Czajka, T. Zieliński* (niżej), *S. Neumann* (wyżej), *R. Zambrzycki, M. Wojciechowski, J. Grzęda* (częściowo zasłonięty), *A. Briks, R. Gmitrowicz* (wyżej), *K. Iwański* (niżej), *B. Tomaszewski, A. Zięba-Zdun* zasłania *R. Niemczyka, Z. Szczerbiński, G. Stępniewski, B. Chmielecki,*

Siedzą od lewej: *B. Daszyński, A. Gryglaszewski, M. Walków, H. Krenke*



“My chodziliśmy na końcu kolumny wojskowej?”

od lewej: *Mieczysław Walków, Mirosław Wojciechowski,  
Gabriel Stępniewski*

Zdjęcie ze zjazdu – Wrzesień 1996 r. w Szczecinie (PS)



*Od lewej: J. Grzęda, R. Niemczyk, T. Zieliński, Z. Szczerbiński,  
J. Skibiński, B. Tomaszewski, A. Gryglaszewski*

20.09.1996 r.



Na korytarzu uczelni – w oczekiwaniu na wykład

Od lewej: *B. Chmielecki, Z. Niemczyk, NN, K. Solecka,  
T. Zieliński, J. Grzęda, K. Iwański*

19.09.1996 r.

## Przeżyjmy to jeszcze raz!

### Wspomnienia z uczelni.

☞ Włodzimierz Radyski, profesor prowadził wykład z geometrii wykreślnej. Aby wyrobić w studentach zdolność widzenia przestrzennego, posługiwał się wszystkim, co było pod ręką. Chcąc przedstawić prostą w przestrzeni, długim drewnianym wskaźnikiem dotknął klosza lampy i powiedział: *To jest jeden punkt*. Klosz, który ledwo się trzymał oprawki spadł na podłogę i roztrzaskał w drobny mak. Profesor zachował się jakby tego wcale nie zauważył i dalej prowadził wykład: – *To jest jeden punkt, jak powiedziałem*, a dotknąwszy swojej łysej głowy powiedział – *to jest drugi punkt. Przez te dwa punkty biegnie prosta. Czy studenci to widzą?* Nagle wstał jeden z kolegów i mówi: – *Panie profesorze, pierwszego punktu już nie ma, spadł i się rozbił!* Na to profesor spokojnie: – *Kolego, trzeba mieć wyobraźnię, a strata klosza, to żadna strata. Tu w grę wchodzi nauka.*

☞ Profesor Kamil Wendeker od mechaniki teoretycznej i wytrzymałości materiałów miał zwyczaj przeprowadzać egzaminy w swoim mieszkaniu. Mieszkał w budynku Rektoratu na terenie uczelni. Jego towarzyszem był pies - owczarek niemiecki, wabiący się „Cezar”. Było to psisko ułożone, ale jednocześnie bardzo groźne. Do mieszkania profesora pies Cezar wpuszczał każdego, lecz nigdy sam, bez rozkazu właściciela, nie wypuszczał z pomieszczenia.

Wyzaczył profesor naszemu koledze, Cezaremu Ciszewskiemu egzamin z wytrzymałości materiałów. Cezary z duszą na ramieniu przyszedł na egzamin punktualnie. Przez profesora został mile przyjęty, a przez psa dokładnie obwąchany. Profesor wskazał studentowi miejsce za stołem. Napisał kilka zadań na



kartce. Pies w tym czasie położył się na dywanie tuż obok stóp studenta.

Profesor kazał studentowi przystąpić do rozwiązywania zadań, psu powiedział, wskazując na naszego Cezarego: – *To jest pan Cezary, który właśnie zdaje egzamin, pilnuj Cezar pana Cezarego.* Sam zaś, poszedł do odległego pokoju, aby się oddać ulubionej drzemce po południu.

Zadania nie były łatwe. Student Cezary zaczął przypominać sobie wzory, szukał ich w ściągawkach i poradnikach, bo profesor pozwalał korzystać z poradników, ale nie mógł ruszyć... Stawał się nerwowy, zaczął się pocić, przebierał pod stołem nogami; chciał po prostu uciec z pokoju. Nic z tego. Każdy jego ruch nogami kwitowany był groźnym warczeniem psa - cerbera. Nasz Cezary rozpoczął prowadzić dialog ze stworem. Najpierw mówił do pieska ciepłutkim głosem, później zaczął mu grozić, wreszcie zaczął prosić „bydlę” – jak się wyraził, aby go wypuścił. Niestety wszelkie zabiegi były na nic. Pies dobrze wykonywał rozkazy swojego pana i coraz to wyraźniej pokazywał garnitur swoich wielkich, białych zębów. Rad nierad, nasz bohater nie mogąc się skupić, zrezygnował z dalszego rozwiązywania zadań, które zresztą i w innych warunkach też byłyby zbyt trudne do rozwiązania. Dopiero po godzinie przyszedł profesor do studenta, popatrzył na jego dzieło, pochwalił Cezara za wzorową służbę, a Cezaremu wpisał do indeksu zielonym atramentem – niedostatecznie.

☞ Kamil Wendeker od wielu minut przy tablicy tłumaczy zasadę Coriolisa (*G.G. Coriolis – francuski inżynier matematyk*). Zagadnienie było trudne do zrozumienia i wymagało dobrej koncentracji oraz wyobraźni studentów; *bo dodatkowe przyspieszenie poruszającego się ciała jest wynikiem*

*ruchu obrotowego układu odniesienia, a jedna z sił bezwładności uwzględnia ruch (...)* Mocno się profesor starał, a widząc, że wielu studentów ma wprawdzie otwarte usta, ale ich oczy mówią: „nic z tego nie rozumiemy”. Wtedy wpadł na pomysł i mówi tak: - „*To jest tak jakby mucha chodziła mi po tyłku, a ja bym chciał ją zgonić*”. Zaczął robić ruchy obrotowe, unosząc jednocześnie nogę i... pokazał kałesony. Spodnie od połowy nogawki aż do pasa były rozprute. Profesor był starym kawalerem i na takie drobiazgi nie zwracał uwagi.

☞ Kiedyś nasz Kamil tłumaczył rozkład sił posługując się przykładem łódki na wodzie i wsiadającego z brzegu do niej pasażera. - *Najczęściej – powiada profesor – takie wsiadanie kończy się wylądowaniem w wodzie. Ale tylko, kiedy to jest mężczyzna.*

I popatrzył na Lidkę siedzącą w pierwszej ławce. – *Panny nigdy nie wpadną do wody, bo każda panna, przy rozkroku ma, proszę studentów, miarę w kroku.* Taka uwaga profesora była dla nas (chłopaków), chwilą wytchnienia i zabawy.

☞ Absolutnie nie możemy zapomnieć uroczych spotkań Kamila z Olgą – rusycystką. Profesor Wendeker miał wielki sentyment do Olgi Michalskiej. Zawsze, kiedy wychodził z wykładu, miał ręce dokładnie umazane kredą. Olga wchodziła na wykład, czyściutka, delikatna, słowem wypieszczona. Zawsze brał jej ręce w swoje i dokładnie ścisnął. Wygłaszał przy tym formułkę czułą i pełną uwielbienia. I robił to tak, że jej ręce robiły się zupełnie białe. Resztę kredy wycierał o jej bluzkę i uroczo się uśmiechał na pożegnanie.

☞ Profesor (cały czas mowa o Wendekerze), stary kawaler, nijak nie mógł się pogodzić z tym, że na kierunku mechanicznym zaczęły gremialnie studiować dziewczyny. Wykładał przedmioty, jak wspomniałem – z wytrzymałości materiałów i mechaniki teoretycznej. Bywało, że często w treść wykładów wplątywał złośliwe, ale urocze uwagi pod adresem płci odmiennej.

Kiedyś omawiał konstrukcje nitowane. Nagle odwrócił się od tablicy i zwrócił się do naszych koleżanek siedzących w pierwszym rzędzie. – *Czy aby panie wiedzą, jakie są nity? Są, proszę pań, nity grube i krótkie, cienkie i długie...jak panie wolą... chyba te drugie?* I popatrzył z półuśmiechem na męską część sali wykładowej (czym wywołał u nas wesołość). Koleżanki zwykle przy takich odzywkach piekły raka, a nasz „pogromca bab”, bo tak go nazywaliśmy, nadal z temperamentem prowadził wykład.

Trzeba przyznać, że na egzaminach traktował wszystkich jednakowo i nie dyskryminował płci żeńskiej, chociaż krążyły plotki, że w młodości doznał zawodu miłosego.

☞ Profesor był doskonałym wykładowcą, ale również niezwykle oryginalnym człowiekiem.

Na swoje wykłady najczęściej przychodził z wielkim budzikiem, który stawiał na stole stojącym na podwyższeniu. Mechanizm budzika był bardzo głośny, a stół i drewniane podwyższenie doskonale rezonowały głośność tykania zegara.

Pewnego razu, jeden ze studentów siedzących w pierwszym lub drugim rzędzie zaczął półgłosem komentować, że profesor powinien posiadać mały zegarek na rękę, a nie na stole - ten by nie hałasował. Kamil słuch miał dobry i chociaż był odwrócony twarzą do tablicy, nagle się odwrócił i powiada do kolegi tak: – *Pan nie ma racji. Skromni ludzie muszą mieć coś takiego, co za nich samych jest głośne. A po cichu wam powiem, że jeszcze*

*nie dorobiłem się zegarka na rękę, bo czasy są trudne i zegarków mało na rynku.*

☞ Zdawaliśmy egzamin z mechaniki teoretycznej. Nasz Kamil spokojnie dokonywał wpisów do indeksu Heńka Jachimowicza. Podpisał wykłady, ćwiczenia, egzamin, a potem szybko wpisał ocenę z egzaminu i powiada: – *Proszę wyciągnąć rękę, kciuk odgiąć wg osi „z”, wskazujący wg osi „y”, a środkowy wzdłuż osi „x”.*

Heniek pomyślał sobie: – No to cześć frajerze! Trafiłeś na Coriolisa i masz egzamin z mechaniki do poprawki. A profesor tym czasem wetknął, w tak rozczapierzoną dłoń indeks i ostrzegł zbaraniałego studenta: – *Proszę zacisnąć i tak trzymać przez chwilę, bo się atrament rozmaże.*

☞ Akurat w sesji letniej zdawaliśmy egzamin z wytrzymałości i jak zwykle byliśmy zmuszeni iść do mieszkania Kamila, jak wspominałem mieszkał na terenie rektoratu.

Zdzisiek Zaleski, nazwisko ma na „Z” – był ostatnim na liście i miał wyznaczony czas do zdawania egzaminu na godzinę 20. – Mam wyznaczoną godzinę 20.00 – wspomina „Olek” (ksywa Zdzińska), a mój poprzednik wyszedł z gabinetu o 19.20. Jestem sam na klatce schodowej i czekam na wezwanie. Po długiej jak mila chwili wychyliła się zza framugi drzwi głowa profesora i padło pytanie:

- Czy jest ktoś jeszcze do egzaminu?
- Ja jestem panie profesorze- odpowiedziałem.
- A o której miał pan przyjść?
- O 20-tej, panie profesorze.
- No to ma pan jeszcze 40 minut i może pan iść na kawę.

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem, a wpuścił do mieszkania dopiero o 20-tej.



*Kamil Wendeker wśród studentów*



*Przed akademikiem*

od lewej: *J. Popielski, W. Skorupa, K. Drozd, L. Wyżykowski,  
R. Gmitrowicz, M. Walków, H. Polito*

☞ Magister Stefan Kula wykładał matematykę i miał zwyczaj przedłużać wykład o przerwę. Później oczywiście spieszył się przy wychodzeniu z sali, ażeby zwolnić ją dla innego wykładowcy. A, że był członkiem partii, szczególnie nie był lubiany przez profesora Wendekera. Grafik zajęć był tak niefortunnie ułożony, że wykłady z wytrzymałości materiałów i mechaniki teoretycznej odbywały się zaraz po matematyce.

Wszyscyśmy, w sali wykładowej nr 24, nagle przestawali niemal oddychać, aby dokładnie obserwować wymijanie się w drzwiach dwóch panów. Profesor Wendeker swoim dosyć pokaznym brzuszkiem, rzucał wymijanego magistra na futrynę drzwi, po czym ze zdziwieniem powtarzał (zawsze to samo): „*Ooo, to pan? Bardzo przepraszam*”. I żwawo wchodził na podwyższenie.

☞ Zdawaliśmy egzamin z „dźwignic” u prof. Stanisława Smotryckiego. Pierwsi wychodzący z gabinetu z wpisanymi już ocenami poinformowali nas, ku przerażeniu wielu innych, że oprócz wiadomości profesor żąda okazania notatek. Notatki z wykładów robili nieliczni.

Zaczęli do profesora przychodzić studenci z tymi samymi notatkami. Wszystko byłoby w porządku, gdyby umieli się nimi posługiwać.

Profesor zadał pytanie, a jeden ze zdających zrobił wielkie oczy i zaczął twierdzić, że tego tematu nie było na wykładach, pierwszy raz o tym słyszy (co było najprawdziwszą prawdą, bo on właśnie na tych wykładach nie był). Profesor natomiast

upierał się, że o tym mówił... i kazał studentowi odnaleźć to zagadnienie w notatkach. Zdający, nie znając notatek zaczął je na chybił-trafił przeglądać. A ponieważ trwało to zbyt długo, profesor był już pewny, że notatki są „lewe”. Wstał z krzesła, bez słowa zabrał z rąk zdrętwiałego studenta notatki, podszedł do okna, gdzie na parapecie leżał dużych rozmiarów gwóźdź, a obok klepka parkietu, położył notatki na parapet, przyłożył świek i dokonał ich perforacji. Notatki nie mogły być już „przechodnie”.

Okazał się, że profesor był lepiej przygotowany do zagadnienia pt. „Cudze notatki”, niż niektórzy studenci do „dźwignic”.

☞ W mojej grupie ćwiczeniowej był Staszek Walów, spec od całek, które ku utrapieniu mgr Kuli rozwiązywał w pamięci, a na tablicy pisał tylko wynik (bez wyprowadzeń).

Razem zdawaliśmy egzamin z matematyki. Wchodziliśmy po trzech do gabinetu. Była to „ostatnia” matma i bardzo mi zależało, aby tego egzaminu nie „położyć”. Były wtedy takie dziwolągi, że egzaminowi przysłuchiwał się „czynnik społeczny”. W tym przypadku był to student, członek partii. Pierwszy do odpowiedzi został wywołany Walów, ponieważ miał nazwisko krótsze od mojego.

Rozwiązywałem wylosowane zadania i wiedziałem, że będę miał kłopoty, ponieważ każde z nich mogłem drogą wyprowadzeń rozwiązać do połowy, reszta niestety wyleciała mi z pamięci. W tej materii orłem nie byłem. A tu jeszcze ten Walów. Czulem przez skórę, że będzie „draka”. Nie tylko byłem pewny, jakiego rodzaju?

Dokładnie widziałem, że Walów przeczytał wyciągnięty zestaw egzaminacyjny, napisał na kartce coś od niechcenia i bezczelnie patrzył magistrowi w oczy. Wywołany, podszedł do stołu, położył indeks i udał się do tablicy. Bez słowa wyjaśnień napisał

trzy wyniki i je podkreślił. Mgr Kula spojrział na tablicę, a ponieważ był człowiekiem dociekliwym i lubił posługiwać się wyprowadzeniami, powiedział: – *Student zrobił to źle*. A student ze stoickim spokojem odrzekł: – Dobrze, panie profesorze. Na co mgr Kula: – *Toż mówię, że źle*. Student swoje: – Dobrze! Powtarzali kilkakrotnie, każdy wydając własną opinię. Po czym mgr Kula spojrział na studenta i do skryptu, znowu na studenta i wysnęło mu się: – *No, wyniki są dobre, ale ...* I w tym momencie zarozumiały Walów wypalił prosto w twarz egzaminującego: – Panie profesorze, całki trzeba umieć rozwiązywać. Magister zbładł, zachował jednak spokój, chociaż ręce mu drżały, wziął do ręki indeks i zapytał studenta. – *Czy pan potrafi wyprowadzić te całki?* Odpowiedzi od Walowa nie usłyszał. Panowie egzaminujący spojrzeli na siebie, mgr K. wpisał do indeksu:  $3=$  (dostateczny z dwoma minusami). Walów wziął do ręki indeks, popatrzył na wpis, później na magistra, coś mruknął pod nosem i wyszedł, trzaskając drzwiami.

W tej nerwowej atmosferze egzaminujący (jeszcze błady) poprosił mnie do tablicy. Idąc, postanowiłem zagrać „*Va banque*”. Zacząłem szybko pisać na tablicy wyprowadzenie pierwszego zadania, a w dokładnym i starannym pisaniu byłem mistrzem. To znaczy w systematyczności pisania i dobrym liternictwie. Tak doszedłem do miejsca, w którym moja pamięć „dobięgała końca” i... usłyszałem zbawienne: – *Dziękuję. Następne proszę*. Ten sam sposób zastosowałem do drugiego zadania i znowu usłyszałem upragnione: – *Dziękuję. Następne*. Z niezłym wynikiem egzaminu i z niezłym dorobkiem z ćwiczeń, miałem już zagwarantowany przynajmniej stopień „państwowy” (dla czytających młodszego pokolenia - dostateczny). Zabrałem się z pasją za zadanie z całki potrójnej. Zacząłem pisać długie wywody i ... słyszałem kilkakrotne – *Dziękuję, wystarczy*. Ja pisałem nadal, bo w trakcie



rozwiązywania otworzyła mi się jakaś klapka w pamięci i mogłem doprowadzić zadanie do ostatecznego wyniku, który z dumą podkreśliłem. I to, co usłyszałem z ust egzaminującego było najpiękniejszą dla mnie melodią dnia. Magister zwracając się do „czynnika społecznego” powiedział: – *Tak się zdaje egzamin z matematyki.* Do indeksu wpisał mi „dobry”.

☞ Staszek Walów miał jeszcze jedną cechę, o której warto wspomnieć, bo jest pouczająca. Dosłowny „*survivalowy sposób na życie*” ubogiego studenta. Kiedy Staszek jechał na ferie lub wakacje do domu, to jechał kilka dni, a bywało, że dłużej. Bilet zawsze kupował, ale do miejscowości, do której wystarczało mu pieniędzy. A zawsze było ich mniej niż było potrzeba, aby dojechać do domu. W tej miejscowości, w której kończył mu się bilet, wysiadał i szukał zajęcia, dachu nad głową i „wiktu” - jak mawiał.

Ponieważ najczęściej zdawaliśmy razem egzaminy i „robiliśmy” zaliczenia, miałem okazję wypytywać go, czym się w podróży do domu zajmował. Opowiadał, że bywało różnie. Czasem udało się znaleźć pracę u rolnika. I wtedy pracował w polu, naprawiał sprzęt rolniczy lub lutował garnki. A zależało to od pory roku. Czasem przy okazji była córka gospodarza, ciepła i miła.

Innym razem pracował doraźnie w sklepach, jako tragarz lub stróż nocny. Zawsze była to jednak praca niewymagająca szczególnych kwalifikacji (za wyjątkiem maszyn i garnków). Zarabiał pieniądze, poznawał ludzi, nawiązywał przyjaźnie. Później, kiedy już miał forszę na bilet, wałówkę na drogę to jechał dalej, niekoniecznie od razu do domu. Jedynie powroty do Szczecina były ekspresowe. Te nie wymagały przesiadek, bo

choć w domu się nie przelewało, dla studenta - dumy rodziny, zawsze uskładano na cały bilet do celu. Bywało, że nieraz znalazła się całkiem bogata „wałówka” i buteleczka dla kurażu.

☞ Podstawy marksizmu i leninizmu były w roku 1954 traktowane na równi z innymi przedmiotami, a nawet wyżej.

O tym miałem przekonać się wkrótce.

Był początek czerwca, pachniało wiosną, słońce prażyło niemiłosiernie, a my zaszydzi w niewykorzystanych „kwaterach” Cmentarza Centralnego, przygotowywaliśmy się do egzaminu z podstaw marksizmu i leninizmu. Egzamin miał być za trzy dni. Przed nami w sesji letniej było sześć egzaminów, oczywiście w terminach obligatoryjnych. O przełożeniu jakiegoś egzaminu nie było mowy. To udawało się tylko nielicznym i to w przypadkach losowych.

W tych sześciu egzaminach była wspomniana nauka Marksa i Lenina, a także wyszkolenie wojskowe, które samo w sobie było rozdrobnione na kilka egzaminów. Jak wspomniałem, do pierwszego egzaminu mieliśmy trzy dni. Łudziłem się, że może przez czas trzech dni trochę przeczytam i może coś zapamiętam z tej „nauki”, do której miałem... W ćwiczeniach udziału nie brałem. Nie żebym na ćwiczeniach nie był ciałem. Byłem, ale duch mój był zupełnie gdzie indziej. Dziwiłem się niektórym kolegom, że przez dłuższy czas mogli dyskutować z asystentem o sprawach, które dla mnie były mało wartościowe i które mnie śmieszyły. O, jakże się myliłem. Jak mało byłem wyrobiony politycznie, jak brakowało mi instynktu samozachowawczego i wkrótce zrozumiałem, że nie miałem racji unikania tej „wielkiej nauki”.

Gdy słońce rozgrzało moje ciało (trzeba dopowiedzieć, że zawsze łączyliśmy obowiązek z przyjemnością) i gdy powoli zacząłem się zagłębiać w frazesy tej „wiedzy” o ucisku mas

pracujących, cytatach „wielkich ludzi” i tp., galopem przybiegł do nas uczących się, zziązany kolega i oznajmił, że egzaminujący zmienił termin z siódmego na czwartego czerwca - tj. na dzień dzisiejszy i oczekuje nas, wszystkich w katedrze. Musimy się pospieszyć, bo „Sokole Oczy” (tak nazywaliśmy wykładowcę tego przedmiotu z racji jego bardzo grubych okularów) ma dla nas czas tylko do godziny piętnastej. Później wyjeżdża na wakacje – powiedział posłaniec. Wszyscy, a była nas duża grupa, pobiegliśmy, co tchu w piersiach na wydział budownictwa, gdzie mieściła się katedra marksizmu-leninizmu. Tam najpilniejsi byli już po egzaminach, lub lada moment mieli wejść do gabinetu.

Ustawiłem się w kolejce, lecz nie pchałem się do przodu. Przepuszczałem wszystkich, by jak najwięcej wyczytać z notatek. Na studiowanie nie było już czasu. Siedząc na „giełdzie” (jedyna w owym czasie w Polsce), uczyłem się, ponieważ wychodzący zawsze komentowali zadane pytania i opowiadali, jakie dali odpowiedzi. Co ciekawe, z gabinetu coraz częściej wychodzili koledzy z „lufą” Tych nie należało pytać jak odpowiadali, a tylko, jakie mieli pytania? Nie spostrzegłem się kiedy nadeszła moja kolej.

Wszedłem do gabinetu, podałem indeks i siadłem na krześle. Pociłem się ze strachu i z gorąca. W głowie miałem całkowitą pustkę, zupełną, jakby przed chwilą było tam gruntowne sprzątanie.

„Sokole Oczy” przybliżył mój indeks do swoich szkielec, prawie ich dotknął, popatrzył w jakieś wykazy, które jak się okazało, były sprawozdaniami z ćwiczeń sporządzonymi przez asystentów, spojrzął na mnie i wykrzywiając usta sadysty powiedział: - „*A, kolega Walków... to wy jesteście?!*”. Poczulem jak pot mi spływa po plecach. I to z dwóch powodów. Jednym był nieszczęsny egzamin, a drugim - prażące słońce, które wpadało do gabinetu prosto na moją twarz. Czulem się jak na przesłuchaniu.

Egzaminujący zadał mi pytanie: - *Co wiecie o kwietniowych tezach Lenina? Wymieńcie je i scharakteryzujcie.* Pojęcia nie miałem, że takowe istniały. Zacząłem coś bąkać o rewolucji, gniewie robotniczo - chłopskim i o tym, że Lenin przedkładał tej rewolucyjnej masie swój program zawarty w tezach... I posłużyłem się jeszcze kilkoma frazesami wyczytanymi naprędce z notatek, przed wejściem do gabinetu. „Sokole Oczy” spojrział na mnie, uśmiechnął się złośliwie i zaczął mnie pouczać, że z takimi wiadomościami z zakresu przodującej nauki, daleko nie zajadę. Że muszę pamiętać o tym, iż nauka m-l ma mnie uzbroić na całe życie itp. itd. Do indeksu wpisał mi niedostatecznie i byłem po egzaminie.

Pierwszy zły stopień w indeksie w sesji letniej wywarł na mnie bardzo niemiłe wrażenie. Zapałem się i postanowiłem pokazać, że stać mnie na stopnie lepsze niż państwowe.

Trzy następne egzaminy zdałem z wynikiem dobrym. I kiedy przygotowywałem się do poważnego egzaminu z wytrzymałości materiałów (czasu było zawsze za mało), wezwano mnie do uczelnianego zarządu ZMP.

Członkiem ZMP w owym czasie musiał być każdy za wyjątkiem Krysi S., a szczególnie ci musieli, którzy musieli korzystać ze stypendiów, jeżeli chcieli studiować. Ja chciałem i byłem studentem

pracowitym.

W pokoju, za stołem siedziało trzech młodzieńców, których założyłem znałem z widzenia, bo spotykaliśmy się w akademiku na imprezach studenckich. Jeden z nich (tego znałem lepiej), siedział w środku, w zielonej koszuli i czerwonym krawacie ze znaczkiem ZMP, zapytał mnie, czy wiem, w jakim celu zostałem wezwany do zarządu uczelnianego? Kiedy zrobiłem wielkie oczy i powiedziałem, że nie mam zielonego pojęcia, wstał i prawie krzyżąc powiedział, że mnie, członkowi ZMP widocznie źle jest na uczelni, i że ja widocznie nie chcę być studentem, bo chyba jestem „anty”, i że mnie się nie podoba

nauka marksizmu i leninizmu, i że ja chcę się uczyć tylko przedmiotów ścisłych, a moją powinnością (cały czas używał formy: „wy”) jest uczenie się tych podstaw marksizmu leninizmu, ponieważ przyszły inżynier powinien być świadomy i być wychowawcą przyszłego pokolenia...” Tak mnie napominał, że aż się zapienił i plótł jeszcze jakieś androny, których nie słuchałem, bo tylko myślałem, co z tego wyniknie?

W końcu stwierdził: - Ja wiem kolego, dlaczego wam się nie chce uczyć podstaw marksizmu leninizmu, bo wy chcecie mieć w indeksie stopień niedostateczny, byście mogli go pokazywać innym, którzy są przeciwko nam!” Przyznam, że na chwilę to jego końcowe stwierdzenie mnie trochę ubawiło. Ale tylko na chwilę.

Bo oto wyobraziłem sobie, co mnie czeka. Ugięły mi się kolana.

I w tym momencie zostałem jakby olśniony. Patrząc „prześladowcy” w oczy zapytałem: - Czy mam rozumieć kolego, iż twierdzicie, że ma się coś zmienić, to znaczy ustrój? Takiego obrotu sprawy nikt, z siedzących za stołem, się nie spodziewał. Ten, który przed chwilą był wielkim i srogim sędzią i prokuratorem, nagle zrobił się malutki. Bąkał coś, że nie, że on tego nie powiedział. Że... Wobec tego zapytałem go znowu: - Więc komu mam pokazywać ten stopień i po co?

Grzecznie podziękowano mi za przyjście i poproszono, aby to, co tu było, pozostało między nami.

Wakacje i tak miałem wyraźnie schrzanione, bo musiałem się uczyć frazesów z WKP(b) (Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii <bolszewików>) i zdawać egzamin poprawkowy, razem trzydziestoma trzema kolegami. Jednemu się nie udało zdać komisyjnego egzaminu i musiał rok repetować.

Po latach, kiedy kierowałem dużymi zespołami ludzkimi wielokrotnie na różnych „spędach”, w tym i partyjnych, spotykałem egzaminatora „Sokole Oczy”. Nigdy nie wymieniliśmy ani jednego słowa, choć wydaje mi się, że usiłował sobie przypomnieć skąd my się znamy. A może tylko

tak mi się wydawało? Miał przecież „na sumieniu” wielu takich jak ja.

A ten „uczelniany” kolega, działacz ZMP nigdy nie ukończył studiów. Myślę, że nie pomogła mu w życiu „przodująca” nauka. Jeśli przypadkowo przeczyta sobie to wspomnienie, to powiem mu, że pomimo różnych zakrętów i dzisiejszych możliwości nie obnoszę się z tą „lufą”, bo nie mam takiej potrzeby. Jemu samemu po latach powiem: „Nie trzeba było opierać się tylko o „przodującą” naukę, a po prostu trzeba było się uczyć, czyli studiować, a nie bawić się w polityka. Dyplom inżyniera byłby w ręku i byłaby satysfakcja.

☞ Jeszcze raz o Staszku Walowie. Był rok 1953. Walów żył według zasady: „Jak najbliżej kuchni i jak najdalej od dowodzących”. Wszedł w komitywę z kierowniczką kuchni i za prace transportowe (przenoszenie ziemniaków i warzyw z piwnicy do kuchni) otrzymywał dodatkowe posiłki na zapleczu stołówki. Pracy było coraz więcej, a Walów wyrobił sobie takie układy, iż „zgłosił” kierownicze stołówki potrzebę zatrudnienia kilku dodatkowych kolegów, jako pomocników. Doabrał do grona Julka Kacprzaka, Staszka Jardziocha i innych. Wydał im polecenie: że o piątej rano każdego dnia mają dostarczyć do kuchni, z odległej piwnicy: ziemniaki, marchewki, kapustę i inne wyznaczone produkty. Za te czynności mieli otrzymywać darmowe posiłki. Walów już nigdy nie nosił towarów, on był do innych celów, ale o kolegów dbał i kontrolował czy im się krzywda nie dzieje.

☞ Profesor Roman Sawa był bardzo wymagającym egzaminatorem. Wiadomości z teorii maszyn cieplnych wkuwaliśmy na potęgę. Ćwiczenia też odrabialiśmy sumiennie,

bo asystenci: Sobański i Kamiński czasem byli surowi od swojego szefa.

Nasz kolega Julek Kacprzak wiedział, że nawet solidne wkuwanie teorii maszyn cieplnych może być nie przydatne, bo Profesor Sawa często zadawał pytania zaskakujące.

Julek wszedł do gabinetu, położył indeks na stole i blady czekał na pytanie. Profesor akurat czegoś poszukiwał w szufladach biurka. Trwało to dłuższą chwilę, a dla Julka, całą wieczność. Wreszcie podniósł głowę i jakby od niechcienia powiedział: ☞ Niech student wytłumaczy, co to jest *entropia*? W studenta jakby piorun strzelił, zamarł, zaczął szukać w pamięci *entropii*, a nie natrafiwszy na taką informację, zaryzykował i powiedział: – Nie wiem, ale wiem, co to jest *entalpia*”.

Zazwyczaj srogi, profesor nagle się uśmiechnął i powiedział: –Dobrze, niech kolega wyjaśni entalpię. Julek dokładnie wyrecytował znaczenie entalpii, za co w indeksie otrzymał ocenę pozytywną. Jeszcze przez chwilę siedział na krześle i nie wierzył, że takim sposobem zdał trudny przedmiot. Wychodząc z gabinetu profesora przyrzekał sobie, że musi dokładnie poznać znaczenie entropii.

*Entropią nazywamy samorzutne przechodzenie wszystkich energii w energię cieplną, promienistą przy jednoczesnym wyrównywaniu temperatury*

*Entalpia to wielkość zależna od stanu termodynamicznego układu i wyrażającego się w tych samych jednostkach co energia*

Proste, co?

☞ Teorię mechanizmów zaczął nam wykładać mgr inż. Ryszard Makarewicz, repatriant z Mandżurii, który nie znał języka polskiego, lecz usilnie starał się wykładać w języku polskim.

Był tytanem pracy, ponieważ każdy wykład przygotowywał ze słownikiem rosyjsko - polskim w ręku.

Z tego tłumaczenia wychodziły arcykomiczne teksty. Komiczność polegała m.in. na tym, że wykładowca spolszczał rosyjskie słowa np. zamiast powiedzieć: wałek obraca się wokół osi x. pan Makarewicz mówił – walik ruchajetsa na konto osi x albo walik wraszczajetsa na konto osi x.

Na jednym z wykładów, kiedy omawiał śruby i ich gwinty, powiedział: – śruby są prawo i lewo- okrętowe, zamiast prawo i lewo-skrętne.

Słuchaliśmy tych wykładów i jedynie wyławialiśmy wiadomości, a przedmiot dla mechanika był bardzo ważny. Stąd zaczęliśmy prosić wykładowcę, by raczej wykladał w języku rosyjskim. Wtedy, część z nas będzie mogła lepiej zrozumieć wykład i przekazać tym, dla których język rosyjski był tak samo trudny jak tłumaczony „makaronizm”.

Nasz wykładowca nie dał się zbić z pantałyku i nadal odwałął heroiczną pracę tłumacza z rosyjskiego na podobno-polski.

Pewnego dnia ubawił nas setnie omawiając napędy. Oświadczył, że samochód na przykład, posiada walizkę biegów. Nie pomagały nasze wyjaśnienia, że poprawnie mówi się skrzynia biegów, lub skrzynia przekładniowa. Wykładowca trwał przy swoim, tłumacząc, że w słowniku jest napisane, że rosyjska „korobka” to po polsku „walizka”. Podczas egzaminów pan Makarewicz był bardzo srogim i wymagającym egzekutorem wiadomości. Wymagał nawet poprawnego polskiego nazewnictwa.

☞ Profesor. Konstanty Miściuk wykładał chemię ogólną i technologię metalu, a że był niedosłyszający, używał aparatu słuchowego i głośniczka do wzmacniania jego głosu. Wykłady, z powodu głuchoty i skrzeczącego głośnika były nudne. Trzeba



było dobrze się wsłuchiwać by cokolwiek zrozumieć i zapisać w zeszytcie. Na egzaminach prof. był rygorystyczny i nie znoził półwiedzy.

Pamiętam, że pewnego jesiennego, pochmurnego dnia, gdy w sali panował półmrok, a do tego monotony głos wykładowcy co jakiś czas zanikał, część słuchaczy zamiast słuchać wykładu po prostu spała, a niektórzy nawet chrapali.

Profesor od czasu do czasu przerywał swój monolog, słuchał i dalej wykladał. Nagle przerwał wykład i zwrócił się do siedzącego z przodu pilnego studenta Zbyszka G. – Niech kolega zejdzie na dół do laboratorium i poprosi asystenta, by wyłączył ten silnik. Strasznie mi przeszkadza! Zbyszek wyszedł, śpiochy zostali obudzeni, a profesor zadowolony skomentował: „No! Teraz będziemy mieli spokój!”

☞ Ten sam prof. Miściuk egzaminował z technologii metali. Do gabinetu poprosił ośmiu studentów, sadzał wszystkich przy jednym stole i zadawał pytanie pierwszemu. Student zaczynał coś bąkać, bo wiedzę miał niekompletną, wtedy zniecierpliwiony profesor kazał odpowiadać drugiemu. Ten również nie odpowiadał śpiewająco, a tylko coś dodał do odpowiedzi poprzednika i wtedy to samo pytanie otrzymał trzeci... i tak dalej, aż do ostatniego. Ten ostatni, jeśli był na tyle inteligentny i zdążył dobrze przeanalizować pytanie, trochę się nauczyć z odpowiedzi poprzedników, podsumować poprzednie dobre fragmenty odpowiedzi i już w innej formie i kolejności zaprezentować swoją odpowiedź profesorowi, ten w cudowny sposób wypadł najlepiej ze zdających.

W indeksie otrzymywał piątkę, a inni czwórki i trójki. Tylko ten pierwszy oblewał egzamin.

Bywało czasem inaczej. Pierwszy był orłem i nie dał szansy następnemu. Wtedy metoda profesora zaczynała się od studenta odpowiadającego najgorzej.

☞ Pierwszy semestr był bogaty w płec żeńską. Na 224 przyjętych studentów było 25 dziewczyn. A były one różne. Jedne zdecydowanie chciały być inżynierkami, inne przyszły na studia, by, jak to się mówiło- „złapać męża”.

Te drugie, od samego początku miały wielkie trudności w nauce, a jeszcze większe w zaliczaniu ćwiczeń, kolokwium i egzaminów.

Najtragiczniejsze były dla nich ćwiczenia z fizyki i matematyki. Asystent od fizyki szczególnie lubił znęcać się nad bidulkami. W szczególności nad tymi, które nie bardzo umiały rozwiązywać zadania i którym zajęcia laboratoryjne lub ćwiczeniowe sprawiały kłopoty. Asystent kpił z ich wiedzy teoretycznej, z kierunku, jaki obrały, a nawet z nazwisk, którymi wówczas chciały się posługiwać używając przyrostków „ówna”. Ten odzierał bidulki z tych przyrostków i mówił zgryźliwie: „Przecież pani ojciec to zwykłe Jajko, to dlaczego, pani chce być ...ówna?”

Tej i podobnej presji nie wytrzymało wiele koleżanek. Jedne istotnie wyszły za mąż i na tym zakończyły edukację, inne przeniosły się na inne kierunki. Tylko nieliczne, odważne i uparte, znoszące wszelkiego rodzaju docinki dotrwały do końca. Tym należą się słowa uznania, a inne przy okazji serdecznie pozdrawiam.

## Życie w akademiku.

☞ Początki były trudne, a i później nie było lepiej.

Bratniak zawiesił swoją działalność - studenci mieli się uczyć, a nie dorabiać. Stypendia( i to nie zawsze w pełnej wysokości) były tylko dla tych, którzy byli w skrajnej sytuacji. Nieliczni z tej grupy mieli pełne - wynoszące w 1952 r. około 350 zł/m-c.

Ja miałem 210 zł/m-c. Byłem półsierotą. Ojciec zginął przy zdobywaniu Kołobrzegu. Pełne stypendia były dla dzieci członków spółdzielni produkcyjnych, aktywnych członków ZBOWiD-u i innych prominentnych (chyba nic się nie zmieniło). Aby móc kupić skrypty (były drogie), spodnie, buty i inne konieczne przybory np. kreślarskie (o suwaku logarytmicznym mogłem jedynie marzyć) oraz kupić środki czystości, musiałem dorabiać. Taką okazją był brak rąk do pracy w Porcie, oczywiście w godzinach nocnych. W tym czasie przez radio wzywano (informowano) grupy robocze wg im tylko znanego kodu.

Cała nasza paczka z pokoju i paru innych kolegów z akademika postanowiliśmy popracować. Do portu na wyznaczoną godzinę każdy docierał sam lub w grupie.

Przed bramą, brygadziści (pracownicy Portu) dzielili nas na zespoły i prowadzili do miejsca pracy. Raz trafiliśmy do układania kłoców drewna, mówiono, że jest to „papierówka”, która miała gdzieś popłynąć. Dźwig portowy podawał ogromne wiązki do ładowni, a tam „mróweczki” układały, czyli ształowały, czy coś w tym rodzaju. Wysiłek duży, a do końca pracy było jeszcze daleko.

Jedna kanapka z masłem czy margaryną (nie pomnę) na kilka osób, a tu przychodzi jakiś robotnik i mówi: „Panowie studenci, tamten statek rozładowuje cukier w workach. Można by tak zrobić, żeby się z jednego zaczęło sypać.” „Dobra” - mówimy i

delegujemy dwóch kolegów na łów. Nasz dozorca jakby tego nie widział. Dla niego ważny był załadunek statku na czas.

Po kilkunastu minutach wracają nasi, obładowani cukrem - w kieszeniach, a nawet w związanej koszuli. Przynoszą też parę nie całkiem świeżych pomarańczy czy mandarynek.

Rano, wycieńczeni, głodni i niewyspani, wracamy do akademika, by jeszcze coś zjeść - każdy to, co posiadał. Oprócz taniej kiełbasy końskiej żadnych innych wędlin nie jedliśmy. (Z tą kiełbasą i koniną to całkiem inne opowiadanie, ale później) Przed jedzeniem bierzemy prysznic, niektórzy już się gołą. Punktualnie o ósmej rozpoczynają się ćwiczenia z matematyki. Prowadzi srogi i wymagający asystent zwany „chłopem z puszczy”. Powód? Duża, krzaczasta broda, rzadki atrybut męskości w tamtych czasach.

W porcie byłem kilka razy. Tam nasza paczka miała znajomych, a nawet przyjaciół wśród robotników i dozoru. Niektórzy z nich byli ojcami, braćmi, bądź po prostu przyjaciółmi studentów z innych wydziałów uczelni. Praca była coraz bardziej „ciekawa i atrakcyjna”. Czasem mogliśmy coś niecoś zorganizować spełniając rolę sprzątaczy z rozerwanych i uszkodzonych ładunków towarów konsumpcyjnych. Musieliśmy jakoś żyć. Za kilkanaście godzin pracy otrzymaliśmy po 21 zł. Dla mnie było to 10% mojego stypendium. Dużo, nieprawdaż?

Co dobre, choć ciężkie, szybko się skończyło. Później pracowaliśmy przy budowie jednego z domów studenckich w charakterze „przynieś, podaj, pozamiataj”. W tym domu mieliśmy później zamieszkać.

☞ Pewnego zimowego wieczora w 1952 r. zostałem wyznaczony do pracy w „trójce społecznej”. Trójka miała zadanie dokonać kontroli w pokojach studenckich. Chodziło o to, czy w pokojach jest atmosfera nauki, czy też toczy się gra w brydża lub organizuje się balangi, czy nie znajdują się osoby

postronne i wreszcie czy jest czysto i panuje porządek. Za złe zachowanie w akademiku można było ponieść karę w postaci wyrzucenia z akademika.

Sprawdzane były wówczas wszystkie pokoje bez wyjątków. Praca „trójek” odbywała się w godzinach późniejszych. W tym zespole, jako student I-go roku, byłem najmłodszy. Dla mnie, który przed studiami przez 5 lat mieszkał w różnych internatach, życie w „stadzie” nie było niczym nowym, lecz w tym przypadku zdobywałem nowe życiowe doświadczenie.

W tym akurat dniu wyznaczono dla nas blok, w którym mieszkali medycy, a właściwie medyczki z PAM (Pomorskiej Akademii Medycznej).

Na piętrze grzecznie zapukaliśmy do pokoju i po usłyszeniu „proszę”, weszliśmy. Pokoik był schludny z miłą atmosferą. Na jednym z łóżek siedziała studentka pierwszego roku i pilnie coś powtarzała (rok studiów poznaliśmy po rozłożonych obok kosteczkach, czaszce i piszczelach itp.).

Druga przy stole, coś pisała, bo na chwilę uniosła głowę trzymając w ręku wieczne pióro. Zza parawanu wykonanego z koca, wyszła trzecia widocznie po kąpielu, bo włosy miała mokre, a ubrana była w szlafrok, trochę rozchylony. Tą trzecią, to myśmy znali, bo kto w osiedlu nie znałby Wery?!

O Werze krążyły legendy. Że na studia trafiła prosto z wojska, że ma za sobą kawałek szlaku bojowego, że... O resztę dbała sama. Nigdy nie stawiała w kolejkę po posiłek w stołówce studenckiej. Ona po prostu wybierała w kolejce najmłodszą studentkę lub studenta i stawiała przed nimi, by zaraz wziąć posiłek z okienka. Biada temu, kto protestował i mówił „koleżanka tutaj nie stała!”. Odwracała się i tak, by każdy w stołówce słyszał co ma do powiedzenia, oznajmiała: – Kolega chyba jest chory, albo trochę niedowidzący, albo mu coś na mózg usiadło. Albo, mówiła na zakończenie: – Zamknij mordę gówniarzu/ro, bo jeszcze nie dorosłeś/łaś, by zwracać

uwagę starszej studentce! Po czym brała posiłek i siadała przy stole i spokojnie prowadziła rozmowę z koleżankami z roku.

Tego wieczora Wera pierwsza nas powitała, oznajmiając swoim koleżankom: - O patrzcie dziewczyny! Jakie fajne chłopaki do nas zawitali! Co, macie zamiar u nas nocować? Pytając, patrzyła na mnie. Widok Wery, jej sposób bycia no i ubiór sprawiły, że byłem czerwony od stóp po czubki uszu. A co najgorsze, że to czułem!

Wera, do kolegów ze starszych lat, z którymi byłem w trójce powiedziała: - Wy możecie zostać, a ty - zwracając się do mnie. - Ty, spieprzaj do mamusi, bo masz jeszcze mleko pod nosem i bardzo się czerwienisz. Ty chyba jesteś jeszcze prawiczkiem.

Po chwili nasz „starszy trójki” nieśmiało zaczął mówić, że my tu służbowo, bo my sprawdzamy... I na to tylko Wera czekała. Na jej twarzy pojawił się diabelski uśmiezek, oczy zaczęły rzucić iskrami, a ona sama krzyknęła: - Sprawdzać?! Co sprawdzać?! I kogo sprawdzać? Mnie tu nikt, nigdy nie będzie sprawdzał! Jeżeli nie chcecie zostać, to won mi stąd i to już!

Stałem najbliżej drzwi. Kiedy je otworzyłem, po prostu wyparowaliśmy z pokoju. Wyraźnie słyszeliśmy, że Wera głośno się śmiała i zamartym z wrażenia koleżankom ciągle powtarzała: - Ale sp...ją, co?”

Na Werę nie było silnych. Podobno już, jako lekarz pracowała w szpitalu dla nerwowo chorych i podobno była ich postrachem?

☞ W owym czasie (lata pięćdziesiąte) wokół akademika (części żeńskiej) krążyli różni dewianci „żądni uciech”, a także „dewianci-zboczeńcy”. Dziewczyn w domach akademickich, należących do Pomorskiej Akademii Medycznej, Wyższej Szkoły Ekonomicznej, a także Politechniki (Wydział

Chemiczny) było sporo, a większość z nich była naprawdę „seksy”.

Pewnego wiosennego wieczora zjawiamy się u dziewczyn PAM, mieszkających na parterze w bloku 11 i widzimy, że one z wypiekami na buziach biegają całą grupą z wiadrem pełnym wody.

Pytamy: Co się stało, czy coś się pali? Jedna przez drugą wyrzucały z siebie słowa, jak maszynowe karabiny kule, że wokół akademika chodzi zboczeniec, który ma tylko płaszcz na sobie i już od godziny pokazuje swoje wdzięki. One chcą go upolować i połać zimną wodą, aby otrzeźwiać.

Tłumaczyliśmy im, że ten żywy medyczny eksponat nie jest szkodliwy i raczej spełnia dobry uczynek naukowy. Jednocześnie wyskoczyliśmy przez okna i staraliśmy się złowić ekshibicjonistę, który przedtem bawił się z dziewczynami w kotka i myszkę. Podobno wielokrotnie lały nań wodę, ale on zawsze w porę uskakiwał, rozchyłał płaszcz i odsłaniał swoje wdzięki. Niestety nasza interwencja się nie powiodła. Amator „łaskawych dziewczyn spojrzeń” był zawsze szybszy od nas i krył się na Cmentarzu Centralnym, w tylko dla siebie znanym miejscu.

Później polowaliśmy na niego długo, przebijając się nawet w dziewczęce ciuchy. „Żadnego pieszczot na odległość” nie mogliśmy złapać. Widocznie nie byliśmy wystarczająco seksy w babskich ciuszkach.

Krążyły o nim najróżniejsze opowieści, lecz co ciekawe, każda z dziewcząt zawsze widziała, co innego i z tych opowieści trudno było odtworzyć prawdopodobny portret pamięciowy przestępcy.

☞ W nowo oddanym do użytku akademiku przy al. Piastów często mieliśmy przerwy w dopływie energii elektrycznej. Nazywaliśmy ten akademik „Jasną Górą”, ponieważ bardzo

często był pozbawiany światła. Co można było wtedy robić? Spać, grać w brydża przy świecy, albo iść do „babińca”.

Żeby się dostać do dziewczyn z PAM konieczne było użycie fortelu. Domy te miały swoją ochronę w postaci portierni, w której królowały starsze panie. A były to groźne cerberki.

Pewnego wieczoru wybrała się „nasza czwórka” (Janek P., Włodek S., Kazio S. i piszący). Portiernię pokonaliśmy starym wypróbowanym sposobem. Jeden z nas podawał swoją legitymację i starał się zasłonić niewielkie okienko portierni. Reszta idąc na czworakach przenika do środka i jak najciszej udawała się do pokoju dziewczyn, przechodząc obok drzwi portierni. Tym razem się udało. Drzwi portierni były domknięte. Bywało, że portierka przez niedomknięte drzwi stawiała szlaban i wypad był niemożliwy. Tego, co się poświęcał, koleżanki ratowały z opresji wykradając jego legitymację (sposób pozostanie ich słodką tajemnicą).

Weszliśmy do pokoju, dziewczyny się uczyły. „Uczyły” to słowo nie najlepiej oddawało rzeczywistość. One po prostu kuły, powtarzając medyczne znaczenia po kilka razy. Nas oczywiście nikt się nie spodziewał. My jak zwykle byliśmy nie w porę.

W pokoju panował jakiś dziwny półmrok, którego nigdy przedtem nie było. Z pięćoosobowej „załogi” brakowało tylko „Dużej” Wandy. W tym dniu dziewczyny zachowywały się jakoś dziwnie. Ukradkiem patrzyły po sobie. Nasze pytanie: – czy mają coś do przegryzienia? – Pozostało, bez odpowiedzi... Staraliśmy się je rozweselić, opowiadając najnowsze zasłyszane dowcipy, ale ciągle nie mogliśmy zrozumieć zmiany w zachowaniu koleżanek. Nagle do pokoju wpadła Wanda i nie zorientowawszy się, że my jesteśmy w środku, zaczęła wykrzykiwać: – Która małpa, moje majtki na kloszu powiesiła? Nasze oczy mimowolnie powędrowały na lampę.



Janek zarumienił się po końcu uszu, Kazio milczkiem umknął do kąta, Włodek wydał z siebie rubaszne cha, cha, cha. Tylko mnie onieśmieliły kocie oczy, które na mnie uparcie patrzyły, a których właścicielką była sprawczyni dowcipu.

Zajście miało swój dobry skutek. Wandę nauczyły koleżanki porządku. Nigdy więcej, swoich „zimowych niewymownych”, nie wieszła na poręczu łóżka.

☞ Słuchajcie kochani! – krzyczał po uczelni „Morda”. „Dzisiaj ślub biorą Bożenka i Gienek, idziemy do USC”.

Tego nie trzeba było powtarzać. Natychmiast powołano delegację, która miała wręczać kwiaty. A my? My wszyscy oczywiście idziemy do USC na pl. Dzierżyńskiego. Szliśmy „gęsiego”, a było nas ponad 80 osób. Kiedy tak szliśmy kiwając się rytmicznie, bo jedna noga szła po chodniku, a druga po jezdni, ludzie do nas się uśmiechali, pytali o rodzaj manifestacji, peleton się rozrastał, bo dochodzili widzowie... Ten arce komiczny korowód szedł środkiem miasta, a czoło pochodu niosło „wielki” weselny bukiet chryzantem, bo innych kupić nie mogliśmy. Po prostu kwaciarnia nie miała innych kwiatów.

Przechodząc przez jezdnię (nie było tam wtedy świateł) przerwaliśmy potok, a raczej potoczek samochodów, a milicjant kierujący ruchem nie wiedział, co jest grane.

USC nie mogło pomieścić wszystkich gości. Tylko kilkudziesięciu mogło być świadkami uroczystości zaślubin i sakramentalnego „tak”.

Po wyjściu młodej pary, życzeniom i okrzykom nie było końca. Sformowaliśmy nawet orszak weselny, który ruszył w kierunku ul. Mickiewicza. Na przedzie szła młoda para, my za parą, znowu szliśmy gęsiego. Stale wznosiliśmy okrzyki na cześć nowożeńców, życząc im długich lat życia, dużej gromadki dzieci i pouczaliśmy, jak mają spędzić noc poślubną i miesiąc



Jeden z poznańskich osiłków złapał za rączkę, szarpnął i okno ustąpiło. Poznaniak zwracając się do matematyka powiedział: – Panie! Nie trzeba mieć tu, i pokazał na głowę, ale tu, i dotknął bicepsów!.

Nasi koledzy nie zdradzali, że znają pana asystenta. Trochę rozmawiali ze sobą, by w końcu zając się literaturą gazet.

Studenci z Poznania opowiadali kawały, wymieniali poglądy. Jednym słowem brylowali. Po dłuższej chwili, byli trochę zmęczeni sobą, bo inni nie brali udziału w zabawie, zaczęli rozwiązywać zadania matematyczne. Jedno z zadań nastęrczało im ogromny kłopot. Zaczęli dyskutować i w końcu doszli do wniosku, że zadanie jest nierozwiązalne. Pan Markowski słuchał, a minę miał człowieka, który nie może zliczyć do czterech. Nieśmiało, zwracając się do osiłka powiedział:

– A może, ja bym spróbował? Poznaniacy z ociąganiem podali mu zeszyt i z niedowierzaniem zapytali: – Pan chce to rozwiązać? Dobrze, niech pan pokaże, co potrafi! Markowski wziął zeszyt, popatrzył na zadanie, coś zamienił, coś zredukował, coś podstawił i po chwili oddając osiłkowi zeszyt oświadczył: – Miał pan rację, że coś trzeba mieć, ale nie tu (pokazał biceps), ale tu (dotknął głowy). Oczywiście nasi koledzy parsknęli gromkim śmiechem. Dopiero wtedy ujawnili, kim są i kto jest ten, który tylko z wyglądu zasługiwał na ksywę „Chłop z puszcy”.

## **Praktyki studenckie podczas wakacji.**

☞ Dla nas kilku wyznaczono praktykę wakacyjną w Stoczni Szczecińskiej. Był lipiec, ale prawie codziennie padał deszcz, chociaż nie było zimno. Aura była bardzo senna.

Szybko poznawaliśmy teren Stoczni i wiedzieliśmy gdzie można w wolnych chwilach „zadekować się”, aby pospać.

Zgodnie z programem praktyk mieliśmy zapoznać się z całokształtem budowy statku.

Wyposażony był wtedy statek dla armatora radzieckiego pod nazwą INGUL. Statek był prawie gotowy. Prowadzono jedynie jakieś roboty uzupełniające i poprawki. Na statku pracowało sporo ludzi i było tłoczno. Myśmy przeszkadzali robotnikom. Budowniczy oprowadził nas najpierw po górnym pokładzie, a później po całym statku. Poznaliśmy wszystko od mostka po zenę. Zobaczyliśmy także wymarzone koje. Budowniczy oddał nas w opiekę brygadziście, który i tak miał sporo kłopotów. Nasza obecność była mu zdecydowanie nie na rękę.

Trochę pracowaliśmy, ale po paru godzinach zauważyliśmy, że brygada nie była z nas zadowolona. Jeden z robotników powiedział: – Chłopaki, zjeźdźcie nam z oczu, bo my tu mamy akord, a wy się tylko płaczecie pod nogami. Odbyliśmy krótką naradę i chyba Wicek Zawidzki zaproponował nam, abyśmy skorzystali z kabin, w których są zaścielone koje.

Tak też zrobiliśmy. Jeden tylko został na straży, by nas zbudzić przed końcem pracy.

Nie wiedzieliśmy, że nad nami czuwał umyślny człowiek brygadzisty. On zobaczył, co się święci. Dyskretnie przyszedł i „zapędził” strażnika do innej kajuty, zamknął wszystko na klucz obiecując, że nas powiadomi o fajrancie. Nazajutrz, z chwilą stawienia się na statku, nasz „anioł stróż” wpuszczał nas do kajut, a później je zamykał i otwierał. Robił to tak, aby nikt nam nie przeszkadzał.

Praktykantami i przebiegiem praktyk zajmował się wyznaczony pracownik Stoczni oraz opiekun uczelniany. Pewnego, bardzo pochmurnego i deszczowego dnia, kiedy spało się nam

wyśmienicie, przybył do Stoczni nasz uczelniany opiekun - inż. Lorkiewicz. Traf chciał, że bardzo lubił Wicka. Razem z opiekunem stoczniowym udali się na nasz statek, aby się przekonać jak my pracujemy i jakie mamy uwagi lub życzenia. Po przybyciu na statek zaczęto nas szukać. Na statku jest wiele zakamarków. Prawie w każdym pracowali jacyś robotnicy. Budowniczy był chyba na naradzie, brygadzysta też gdzieś się zapodział. Opiekun stoczniowy zaangażował prawie połowę pracowników do poszukiwania studentów. O wypadek na statku, nie trudno. Wobec czego szukającym udzielało się nerwowe zachowanie obu opiekunów. Myśmy smacznie spali, niczego nie przeczuwając. Śniliśmy o pływaniu po szerokich oceanach i w ogóle, o wszystkim, co przyjemne.

Wiadomość o poszukiwaniach dotarła do naszego „klawiszawspólnika”. Pracował, jako mechanik. Przybiegł, otworzył drzwi, prawie ściągnął nas z koi i smarował ogłupiałych i śpiących smarem po twarzach i rękach. Powiedział: – Chłopaki, jak będą was pytać gdzieście byli, to wy mówcie, że byliście przy wale głównym, przy samej tylnicy.

Po chwili wchodziliśmy na korytarz, po którym prawie biegli nasi opiekunowie, budowniczy i jeszcze kilku robotników, a widząc nas całych i zdrowych, zaczęto nas pytać, gdzie nas nosiło. Nasz widok świadczył, że to, co mówimy było prawdopodobne.

Od tego czasu byliśmy przydzieleni, każdy z osobna do jednego z robotników i pracowaliśmy uczciwie do chwili przejścia do wydziału mechanicznego. Tam mimo naszych próśb niewiele mogli nam dać do roboty, bo każda wymagała dużych stoczniowych umiejętności. Do maszyn nas nie dopuszczano. Później znaleźliśmy dwa parowozy stojące w środku Stoczni, w których graliśmy w brydża lub spaliśmy. Warunki do spania były bardzo niewygodne, ale były. Parowozy zimą służyły do ogrzewania hal stoczniowych. Nie spaliśmy tylko w modelarni. Tam było bardzo przyjemnie i bardzo dużo ciekawej pracy,

przynajmniej dla mnie. Budowałem model nowego statku i... samolotu. Miga 15.

## **Wspomnienia z obozów wojskowych i Studium Wojskowego.**

☞ Po raz pierwszy jechaliśmy na obóz wojskowy do Mrzeżyna pociągiem do Trzebiatowa. Ze Szczecina do Trzebiatowa jechaliśmy kilkanaście godzin w bydłych wagonach. Ostatnie 11 kilometrów pokonaliśmy samochodami ZIS-5.

Widok zamykanych za nami rogatek obozowych nie był przyjemny.

W magazynie otrzymaliśmy worki, do których „wyfasowano” nam płaszcze zimowe (było lato), rogatywki, ubrania drelichowe, przepocone buty, onuce (na szczęście czyste), koszule (czyste, ale porwane i postrzępione), kąpielówki zwane dynamówkami, duże białe chusteczki (z plamami jakby po smarach), pasy, menażki, manierki, raportówki, niezbędniki itp. (wszystko jakby z demobilu).

Zapędzono nas do dużej łaźni, w której działało tylko kilka natrysków, a nas było ponad stu studentów.

Rozebraliśmy się do rosołu i ci, którym udało się dopchnąć, stanęli pod godnymi pożałowania sitkami. Najpierw trysnął ukrop, później zimna woda. Niektórzy już się namydlili cali, inni zdążyli tylko zmoczyć głowę. Reszta stała i czekała na swoją kolej. Idylla nie trwała długo. Zabrakło wody, nawet tej zimnej. Zaczęliśmy głośno interweniować.

Nagle znaleźli się „bogowie wojny” - kaprale. Chyba specjalnie dla studentów dobierano ich wśród sadystów. Wygonili wszystkich na zewnątrz. Uformowali kolumnę, wskazali morze i rozkazali : – Kierunek morze, biegiem marsz!

Golasy, trzymający w jednej ręce worek z ciuchami wojskowymi, a w drugiej swoje cywilne manele wraz z tobołkami, walizkami i zawiniątkami ruszyły biegiem w

kierunku morza. Co się wtedy działo?! Ostre szyszki raniły bosc stopy, walizki się otwierały, a ich zawartość lądowała na igliwiu, kaprale krzyczeli: – biegnijta, biegnijta, my będziemy za wami zbierać!

Kiedy „dopadliśmy” morskich fal, a właściwie falek, bo wiał tylko lekki wietrzyk, kazano nam wejść do wody tak daleko, żeby woda sięgała nam poniżej pępka.

Padł także rozkaz kaprała: – Siad, powstań, siad, powstań.... Tak kilka razy. Wreszcie kapral uznał, że wojsko jest już czyste i może przystąpić do „mundurowania się”.

Dodał: – Za pięć minut każdy jest ubrany i staje w szeregu, a kto nie zdąży ten mnie pozna...

Sceny dantejskie to przyszcz w porównaniu z tym, co się tam działo. Najpierw przystąpiliśmy do wymiany mundurów, bo jedni mieli za duże, a inni wyraźnie za małe. Taki sam los dotyczył butów. Wszyscy biegaliśmy jak opętani, krzyczeliśmy, przeklinaliśmy jak szewcy. Tylko kaprale stali i z zadowoleniem patrzyli na „uczonych”, bezradnych otumanionych „wojem” studentów.

Najgorzej było z owijaniem onuc. Niektórzy z nas widzieli je po raz pierwszy w życiu. A jak się je nakłada, by nie otrzeć stóp, wiedzieli tylko nieliczni. Ubieranie trwało znacznie dłużej i nie pomagały popędzania wydawane przez kaprali.

W końcu, po ubraniu wojska, które wyglądało dosyć żałośnie, uformowano oddział i poprowadzono do rejonu zakwaterowania, to jest do namiotów. Tam podzielono nas na „namioty” i rozkwaterowano. Udzielono instrukcji siania łóżek, poinformowano o pobudce i capstrzykach, i poprowadzono do stołówki. Oddział stale musiał śpiewać.

Nazajutrz okazało się, że zestresowanych, strudzonych i głęboko śpiących studentów, wojacy poborowi okradli z kilku płaszczy, kilku par butów, paru rogatywek i innego sprzętu. Za braki trzeba było wówczas płacić i to znaczne sumy, ale kogo to interesowało, że studenci byli zazwyczaj biedni.

W ten idiotyczny sposób „stare” wojsko udające się do koszar, uzupełniało wszelkie niedobory. Nieszczęścia zawsze chodzą parami. Wielu naszych kolegów musiało złożyć wizytę lekarzowi, bo nieumiejętnie zawijali w onuce mokre, unurzone w piasku nogi. Nogi, które później pokonały znaczną odległość pomiędzy morzem, podobożem, stołówką i powrotem (kilka kilometrów). Były one w opłakanym stanie. Koledzy mieli pokaźne obtarcia stóp.

Niektórzy, przez kilka kolejnych dni stawali do szeregu i szli na zajęcia w tenisówkach. Widok był komiczny dla wojska

Nigdy też nie przypuszczaliśmy, że zmiana ubioru cywilnego na uniform wojskowy, może być dodatkową atrakcją.

Bywało tak, że poszukiwaliśmy kolegę, z który mieszkał w akademiku w jednym pokoju, a który stał obok nas, podobnie ubrany i odzywał się po wywołaniu: – Nie drzyj się, tu jestem. Stoję przy tobie.

Szybko jednak nabieraliśmy wojskowej „ogłady”. Kiedy po miesiącu kończyliśmy obóz i musieliśmy zdawać wyposażenie do magazynów, oddawaliśmy wszystko w nadmiarze. Sierżant tylko mrucał pod nosem: – Chłopaki, takiego wojska to ja bym sobie życzył do końca życia.

☞ Na obozie byliśmy wyjątkowo żarłoczną „bandą”. Po całodziennym obcowaniu z przyrodą i po długim marszu lub ćwiczeniach, każdy z nas zjadłby konia z kopytami. A tu posiłki były raczej skromne w wyznaczonych godzinach. Smakowało wszystko. Nie przeszkadzały nawet robaki, które w postaci kożuszka pływały po zupie. A zupy były komponowane ze wszystkiego, co było w wojskowych magazynach. Z fasoli, makaronu, niełuskanego grochu, ryżu, nie zawsze świeżej kapusty oraz innych niezidentyfikowanych produktów. Zupa była gęsta, lecz rzadko pływało w niej mięso, z wyjątkiem



wspomnianego robactwa, którego przed jej zjedzeniem należało się pozbyć. Drugie dania były na stałe przywiązane do określonych dni tygodnia. Oprócz ziemniaków i kaszy były śledzie w poniedziałek i piątek; jaja na twardo w sosie musztardowym we wtorek. Kielbasa, tak zmyślnie krojona, że wydawało się, że jest jej dużo, a w istocie była zawsze „oszukana”, poniżej normy wagowej była w czwartek. W środy pisano w Jadłospisie, że dzisiaj jest „sztuka mięs” w jakimś sosie. Sztuka ta należała do sztuki kulinarnej kuchni wojskowej. Czasem było ją trudno zjeść, a najczęściej sztuką było najeść się do syta. W niedzielę był obiad wystawny. Zawsze ten sam kotlet mielony. Nazywaliśmy go „przełędem tygodnia”. Do tego oprócz ziemniaków, podobno obieranych, zawsze była rzadka pulpa czerwonych buraczków.

Od czasu do czasu bywały zupy pomidorowe z ryżem. Niektórzy je uwielbiali i zawsze były o te zupy jakieś targi i zakłady. Jeden z kolegów z Wydziału Elektrycznego założył się o kilkanaście paczek papierosów „Wczasowe”, że zje cztery miski tego specjału kuchni wojskowej. W misce mieściło się około półtora litra płynu, a miski były nalewane były jemu po sam brzeg. Kolega ten przy dopingu gawiedzi jadł tę zupę coraz wolniej i kiedy kończył ostatnią miskę, chwycił stos paczek papierosów i umknął do lasu.

Zakład wygrał, ze zdrowiem było gorzej. Ulubionej zupy miał po dziurki w nosie.

Śniadania i kolacje były standardowe. Rano, stale czarna, słodzona lura zwana kawą, chleb „komiśniak”, lepki jak glina i czarny jak ziemia. Chleb ten noszony w „raportówce”, pomiędzy posiłkami, smakował jak najprzedniejsza czekolada. Rzadko podawano twaróg lub żółty ser, a do chleba otrzymywało się małą kosteczkę masła - margaryny. Kolacje były podobne, chociaż czasem zdarzało się, że kuchnia serwowała bigos, po którym w nocy unosiły się namioty.

A wracając do śledzi powiem, że były duże i tłuste. Kiedy podano nam je po raz pierwszy, były całe z głowami i nieobrane ze skóry. Nie wszyscy ten przysmak chcieli jeść i oddawali go innym. W ten sposób Mirek Kononowicz najadł się śledzi do syta, a resztę zebrał do menażki, którą zaniósł do namiotu i zakopał w piasku pod swoim łóżkiem. Lodówek wówczas nie było na wyposażeniu. W nocy trochę ich zjadł, a resztę zostawił na później. Było lato. Temperatura zrobiła swoje. Po powrocie z ćwiczeń, mieszkańców namiotu uderzył potworny, trupi smród. Poczęto szukać przyczyny. Szukano by długo, gdyby Mirek się nie przyznał, że to on..., a właściwie śledzie przez niego ukryte są sprawcami tego zapachu. Zmuszono Mirka, aby wyniósł zepsute śledzie daleko poza obóz i zakopał. Namiot długo później wietrzono. Mirek - Sybirak tłumaczył się później, że życie na Syberii nauczyło go szacunku dla wszelkiego jada i chowania go na czarną godzinę.

☞ Odbywały się ćwiczenia w strzelaniu do celów naziemnych (makiet czołgów). Baterię stanowiły trzy działa przeciwlotnicze, kaliber 85 mm, które rozmieszczono zgodnie z zasadami sztuki wojennej. Obsługa zajęła swoje stanowiskach. My w charakterze widzów stanęliśmy kilkanaście kroków z tyłu armat. Mieliśmy patrzeć i uczyć się (przyszli oficerowie?). Niektórzy stali, inni siadali, lub po prostu kładli się na wrzosach. Kazik Drozd zwany „Bandytą”( na przekór temu, że był to dusza człowiek i dobry kolego) natychmiast zasnął. Padła komenda: „Ładuj”, a po chwili: „Cel, czołg z prawa – Ognia!”. Rozległ się potworny huk. Lufy odskakiwały do tyłu z takim impetem, że gdyby nie oporopowrotniki, poleciałyby prawie z prędkością pocisków, które je właśnie opuściły. Gazy wyrzucone przez otwarte komory zamkowe wyrzuwały trawę i porywając ją wraz z gałązkami, odrzucały w naszym kierunku.

Kilku stojących bliżej musiało szukać własnych rogatywek. Tylko Kazio smacznie spał, a przebudzony kuksańcem zapytał: – Co?! Już po ćwiczeniach?!

☞ Była niedziela, czas odpoczynku i załatwiania spraw własnych. Ja akurat miałem służbę w obozie i stałem, pod tzw. „Grzybkiem” (taki słupek z daszkiem dla wartownika). Odczuwałem jeszcze poranny chłodek, chociaż słońce już zahaczało korony drzew. Zapachy przecudnego nadmorskiego lasu mieszały się z zapachem namiotów, przepoconych butów wojskowych, pasów itp. A od czasu do czasu załatywał charakterystyczny smrodek z miejsca, w którym znajdowała się latryna.

Jedni czyścili buty pastą typu „szuwaks”, lub uzupełniali brakujące gwoździe w zelówkach kamaszy, inni już siedzieli wśród wrzosów i zawzięcie licytowali. Zygmunt Ossowski grał na gitarze i śpiewał o białej mewie, a jeszcze inni pograżeni byli w tylko dla nich ciekawych zajęciach i myślach. Taka idylla wolnego dnia, na obozie wojskowym.

Bardzo dobrze widziałem wychodzącego z latryny „człowieka olbrzyma”, czyli Ryśka Zambrzyckiego. Rysiek miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i około 120 kg żywej wagi. Przy nas – konusach był to prawdziwy Goliat.

Ogólny wygląd Ryśka był daleki od regulaminowego (wina wojska, bo nic na niego nie pasowało). Mundur miał rozpięty, pas wisiał na szyi. Spodnie przykrótkie, głowa bez nakrycia. A na nogach? Na nogach tenisówki lub „pepegi”. A tu jak spod ziemi wyrósł oficer dyżurny Sawa (malutka postać) w randze chorążego.

Chorąży podbiegł do Ryśka, zatrzymał go i groźnie zapytał:

– A wy skąd student? Rysiek wyprężył się i odpowiedział:  
– Z latryny obywatelu chorąży!

– Z latryny powiadacie? A jak powinien student wracać z latryny?” - ciągnął dalej chorąży.

– **Uszczęśliwiony!** huknął jak z armaty nasz szczęśliwiec nad głową chorążego.

Nie wytrzymałem. Padłem w piach jak rażony piorunem i zanosilem się od śmiechu. Śmiali się zresztą wszyscy, którym dane było oglądać ten niecodzienny skecz.

Podobno dialog ciągnął się dalej. Coś o znajomości regulaminów, które usiłował przekazać chorąży, a zgłębić Rysiek, o tym, kto i z kogo robi durnia i coś podobnego.

Zajście było szeroko komentowane, szczególnie wśród kadry oficerskiej. Chorąży S. gdzieś nam zniknął. A szkoda!

☞ Odział nasz, zwany baterią (ponad stu żołnierzy - studentów) wracał z ćwiczeń. Zajęcia były wyczerpujące. Rozkaz porucznika: „Bateria śpiewa” został wyraźnie zignorowany. Nawet nasz „Zapiewajło” - Włodek Kryński nie zareagował. Nikt nie rozmawiał. Każdy oddawał się własnym myślom i słychać było jedynie miarowy krok na granitowej kostce, drogi biegnącej wśród przepięknych, nadmorskich sosen wyrastających z wrzosów. Powietrze było czyste, pachniało igliwem i żywicą. Lekki wiaterek jakby popychał nas w kierunku obozu.

Nagle kolumnę marszową, od tyłu ku przodowi coś rozpedziło po lesie. Pierzchaliśmy złorzeczając sprawcy. Powodem był „Szufła”, który wypuścił nadmiar „dwukapuścianu -grochu”... A może ktoś inny, któremu udało się to wszystko zwalić na kolegę?

☞ Ta sama kolumna marszowa szła do amfiteatru na próbę chóru przed świętem 22-lipca. Śpiewaliśmy „Szumi dokoła las”.

Pieśń się nagle urwała, bo od czoła padła komenda: – Cisza, Bandyta śpi. Podaj dalej! Zapadła cisza i słysząc było tylko stukot gwoździ butów na ostrej granitowej kostce. Pobocza drogi były piaszczyste i miękkie. Kolumna łagodnie skręcała w lewo, tylko Kazio szedł prosto. Uszedł tak kilka kroków, po czym jedna noga zagłębiła się w piach. Nasz śpioch się obudził. Wszyscy, jak na komendę wybuchamy gromkim śmiechem. I może śmialibyśmy się bardzo długo, gdyby tamtędy nie przejeżdżał komendant zgrupowania (płk w roli generała), którego widok wojska tarzającego się w konwulsjach śmiechu wprawił w wyraźne osłupienie. Ostro kazał zaprowadzić porządek.

☞ Najzabawniejszą dla nas, była nauka własna, nieraz połączona z pogadanką politruka-podporucznika. Z tych co to: „Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”. Myśmy dopisywali: „*Nie pomogą szczerą chęci, z gówna gwiazdki nie ukręcisz*”.

Ostatnia sentencja pasowała do niego jak ulał. Ten dopiero dawał się studentom wprowadzać w maliny. Kiedyś opowiadał nam o patriotyzmie i bohaterstwie, oraz o konieczności oddawania życia za słuszną sprawę. Jako przykład przedstawił bohaterską śmierć czerwonoarmisty Matrosowa, który rzucił się na gniazdo karabinów maszynowych, aby ratować życie innych, a jednocześnie dodał: „A czy wiecie, że mundur Matrosowa jest w muzeum, a on sam pozostał w składzie tej jednostki w której walczył? To znaczy, że on jest na jej stanie (taki wojskowy zwrot)!

My - wojsko mieliśmy w tym czasie zajęcia w podgrupach. Jedni pisali listy do bliskich, inni grali w brydża lub szachy, inni po prostu drzemali. Tylko wyznaczeni przez nas (taki rodzaj dyżuru – służby), musieli brać udział w zajęciach. I właśnie

jeden z dociekliwych z tej służby, poprosił o głos i zadał nietuzinkowe pytanie: Obywatelu poruczniku, wyjaśnijcie nam problem pozostawienia Matrosowa na stanie jednostki. Jeżeli on jest na stanie, to czy otrzymuje przydział żywnościowy? I gdzie mu to jedzenie codziennie noszą?

- Jak to gdzie - odpowiedział podporucznik - oczywiście do muzeum, tam gdzie jest jego mundur. Dociekliwy tylko na to czekał i pytał dalej: - No i co z tym jedzeniem robią? Ktoś zjada, a może zlewają do beczki? Podporucznik nie zorientował się, że popełnił gafę i natychmiast odpowiedział: - No, chyba tak. A dociekliwy nękał oficera dalej: - A później? No, jak beczka już jest pełna, to, co z tym robią?

Tego już podporucznik nie mógł zdzierżyć i wypalił: - Jak to, co? To wy - student - człowiek wykształcony nie wiecie, że jedzenie się psuje i należy je wylać świniom?!

☞ Ostatnia noc na obozie wojskowym. Cywilne ciuchy już mieliśmy. Na dworze jest bardzo ciemno. Chmury, niskie i ołowiane pędzi wiatr sztormowy od morza. Huk fal uderzających o brzeg słychać wyraźnie w oddalonym o kilkaset metrów obozie.

Jutro będziemy szczęśliwi wracać do domu, gdzie czekają na nas najbliżsi. Namioty do połowy były podwiniete, bo nastrój był podniosły. Dawno już ogłoszono capstrzyk, ale jak do tej pory nikt jeszcze nie spał. Trwały rozmowy, a nawet rozlegały się salwy śmiechu. Wśród namiotów krążył jak widmo oficer - służbista o ksywie „Kurska Gubernia”, który był już rozwścieczony do białości, bo nikt nie słuchał jego ciągłych rozkazów „Wojsko śpi!”- „Nie gadać tylko spać!”

Powoli jakby się uciszało, rozmowy były nadal, ale prowadzone półgłosem. I nagle krzyk: „Alarm! Zbiórka na placu!”

To zdenerwowany porucznik krzychał trzymając za marynarkę któregoś z naszych kolegów. Naciągamy w ciemnościach nasze cywilne ubrania i udajemy się spieszenie na plac apelowy, gdzie kaprale formowali z nas czworobok.

Było tak ciemno, że nie widzieliśmy twarzy kolegów stojących po przeciwnej stronie czworoboku.

Na środku majaczyły dwie sylwetki. Był to oficer, który trzymał za ramię studenta. Studenta poznawaliśmy jedynie po jasnej marynarce. Oficer krzychał, że tego, którego trzyma będzie gnębił jeszcze dwa tygodnie, bo go zostawi na obozie, aby poznał, co to jest wojsko.

Starając się przekrzyczyć huk morza, tak się zaperzył nasz oficer, że na chwilę zwolnił uścisk. Na ten moment tylko czekał złapany na gorącym uczynku student, i już go nie było. „Kurska Gubernia” jak oparzony biegał w kółko, prawie twarzą dotykał twarzy studentów i już zachrypnięty krzychał: „Iwanowski wystąp!”. Zapamiętał takie nazwisko, które podał mu porwany student.

Miotał się biedak i przyrzekał, że będzie nas trzymał na placu do świtu. Sądzę, że każdy sobie pomyślał podobnie jak ja: „Możesz sobie straszyć! Kij ci w oko! Do świtu tylko parę godzin, bo to przecież lato!”

Wtem ktoś zaczął pouczać porucznika, że Iwanowskiego u nas nie ma, jest tylko Iwański.

Iwański wystąpił – uradowany - krzyknął oficer. Wystąpił Karol Iwański i mówi: „Jestem!” Oprawca w mundurze z gwiazdkami podbiegł do niego i zapytał: – To wyście tu byli? A widząc inną sylwetkę, w dodatku ubraną w ciemny garnitur, nacierał: – No, mówcie!

Karol zapewnił oficera, że to nie on, bo ten, którego trzymał obywatel porucznik był w jasnej marynarce. Porucznik kazał mu wstąpić do szeregu.

Jeszcze przez wiele minut oficer groził, że jak nie wystąpi winowajca, to za karę zostawi wszystkich na tydzień w wojsku i podda zaostrej dyscyplinie.

Wiatr się wzmaczał, morze coraz głośnie jęczało. Oficer w końcu „wypuścił powietrze” i kazał rozejść się do namiotów.

Rano na zbiórce patrzył wszystkim głęboko w oczy i pytał: „To wyście wczoraj źle się wyrażali o wojsku?” Studenta mówiącego coś o Balzacu i wojsku nie znalazł.

☞ Oficer, starał się wytłumaczyć, co to jest TRAJEKTORIA. Z regulaminów wojskowych nauczył się, że pocisk leci po trajektorii i termin ten uparcie powtarzał. Powtarzał nawet wtedy, kiedy „Faja” (Zbyszek Gniewoszewski), bo tylko on zwracał uwagę na takie szczegóły, podpowiadał oficerowi, że to tor lotu. Tak lepiej brzmi technicznie – mówił Zbyszek. – Co wy mi tam z tym torem lotu – powiada porucznik. Tor lotu to może mieć wrona, albo inny ptak, a nie pocisk. Pocisk leci po TRAJEKTORII – rozumiecie student?!

„Morda” (Henio Krenke) natychmiast zapytał porucznika, czy trajektorię można zobaczyć, no czy ją widać? Na to oficer: – Co wy student? Ona jest, ale jej nie widać! Bo to tak jak z jajami komara. On je ma, ale ich nie widać. Czyście zrozumieli, student? – O tak! Obywatel porucznik doskonale wytłumaczył, co to jest trajektoria – odpowiedział Henio.

☞ Była ładna, czerwcową pogodą. Dzień egzaminów z wyszkolenia wojskowego.

Egzaminy odbywały się w plenerze. Na boisku ustawiono działą p.-lot. kaliber 85 mm, przyrząd centralny, dalmierz, lornetkę



TZK i wiele innego sprzętu. Wśród tego „złomu” postawiono stoliki dla egzaminatorów i przygotowujących się studentów.

Jeden ze stolików dla zdającego, był ustawiony tak, że długą lufą działa można było niemal dotknąć głowy przygotowującego się do egzaminu. Po opuszczeniu zamka można było przez lufę doskonale podpowiadać. Do tego stolika ustawiła się pokazna kolejka studentów, którym przedmioty wojskowe nie były dobrze znane. Inne stoliki świeciły pustkami. Aby nie zdekonspirować tego wynalazku, naprędce stworzony „komitet” dokonywał selekcji i lepiej przygotowanych „przekonywał” do podchodzenia do innych stolików.

Ci słabsi podchodzili do tego specjalnego. Wyciągali „los loteryjny”, na którym widniały pytania z taktyki, uzbrojenia i innych przedmiotów, siadali przy stoliku, ustawiali kartkę z pytaniami tak, aby można było ją odczytać przy pomocy lornetki TZK (jak się okazało, doskonalej do odczytywania drobnego pisma z dużej odległości). Treść przekazywana była do zespołu „ekspertów”, którzy opracowywali odpowiedź, a specjalny sufler, niby uczący się przy armacie dokładnie dyktował odpowiedź siedzącemu przy stoliku. Ten notował, przez chwilę udawał, że jeszcze się zastanawia, po czym podchodził do egzaminatora i meldował, że jest gotów do zdawania. Po chwili wracał z roześmianą miną, świadczącą, że egzamin zdał.

W ten sposób uratowaliśmy wielu, którzy później, jako oficerowie rezerwy i tak nie musieli tej wiedzy wykorzystywać w praktyce. Chwała Bogu!

☞ Już, jako inżynierowie, po kilkumiesięcznej pracy zawodowej zostaliśmy powołani na dalszy ciąg szkolenia wojskowego do OSAP-lot (Oficerska Szkoła Artylerii przeciwlotniczej) w Koszalinie. Po ukończeniu tego kursu otrzymaliśmy stopień chorążego.

Z całej Polski przyjechało do Koszalina około 130 osób. Zakwaterowano nas na strychu szkoły.

Pomieszczenie było ogromne, bez żadnych przepierzeń. Podział na sektory wykonano przy pomocy szaf żołnierskich. Łóżka normalne, wojskowe z materacami. W powietrzu unosił się specyficzny zapach tego wojskowego wyposażenia.

Była zima. Wprawdzie łagodna, ale czas nie zbyt łaskawy. Każdego ranka usiłowali nas wypędzić na gimnastykę. Ubrani w buty, spodnie, koszule, wybiegamy na dziedziniec szkoły, gdzie ćwiczymy skłony, podskoki, bieg w miejscu i inne figury gimnastyki porannej.

Każdego dnia było nas coraz mniej i kiedy na gimnastykę wyszło tylko kilkunastu kursantów zarządzono kontrolę pomieszczeń. Po chwili odkryci w swoich kryjówkach, czym prędzej wybiegali na dziedziniec. Utworzono z nich specjalny oddział gimnastyczny, któremu porządnie dawano później w kość.

Potem opowiadano, że wielu znaleziono (inżynierów na wysokich stanowiskach) w szafach lub za nimi, zamaskowanych w łózkach lub w ubikacji. Inni po prostu ignorowali gimnastykę dla zasady.

☞ Bohdan Tomaszewski wspominając pobyt na obozie jesiennym w Warcisławiu k/Trzebiatowa opowiadał mi zdarzenie, które warto przypomnieć, bo oddaje ono ducha owych siermiężnych czasów. Już, jako pracownik „Junaka” został powołany na ćwiczenia do Wicka. Do jednostki pojechał JUNAKIEM z przyczepą. Każdej soboty zabierał jeszcze dwóch kolegów i jechali do Szczecina. Pora była licha, zimna jesień, a droga daleka. Jadący naciągnęli uszanki, płaszcze szczelnie zapięli, a nogi obłożyli gazetami. Tak opatuleni musieli wyglądać dziwacznie, bo w Płotach zatrzymał ich major LWP i

długo im się przyglądał. – Co to za dziwaczne wojsko? Nadaje się raczej do kozy w żandarmerii niż na polskie drogi – mruzczał pod nosem. Kiedy wreszcie dowiedział się, że to niedawni studenci – chorążowie, kazał natychmiast doprowadzić się do porządku i jechać dalej, ale... Jeszcze z oddali słyszeli jego śpiewną kresową: – No! Tylko mi wyglądajcie na Wojsko Polskie, a nie na jakieś tam Królowej Jadwigi.

☼ Na drugim obozie wojskowym w Mrzeżynie w większości byliśmy już posiadaczami dyplomów inżynierskich. Niby poważni, a jednak zachowywaliśmy się po szczeniacku.

Zakwaterowano nas w namiotach na łące nad Regą. Komary nie dawały nam żyć. W nocy nakrywaliśmy się płaszczpalatkami. One też nie zawsze chroniły przed długimi ryjkami komarzc ssących naszą gorącą krew. Każdy z nas otrzymywał przydziałowe papierosy „Wczasowe” i „Sport”, a palili tylko nieliczni. Komary jednak były sprawcami tego, że wielu zaczęło palić. Najpierw nieśmiało, nie zaciągając się wypuszczaliśmy dym, lecz później...

Lato w tym roku było jedynie nad morzem, a dokładnie nad morzem i kilka kilometrów w głąb lądu niebo było praktycznie bez jednej chmurki. W głębi lądu stale było pochmurno i padał deszcz. O tym donosili nasi najbliżsi w listach, no i przekonaliśmy się sami jadąc na ćwiczenia organizacji stanowisk bojowych pod Trzebiatowem.

To stałe słońce było powodem, że każdą wolną chwilę wykorzystywaliśmy na opalanie torsów. Kiedy byliśmy już opaleni na ciemny brąz, a z twarzy błyskały bielą jedynie zęby i białka oczu, ktoś przyniósł wiadomość, że znalazł zaciszne miejsce w szuwarach nad Regą, gdzie mimo komarów można opalać się nawet nago.

W to miejsce wybrało się ukradkiem jedynie kilku spośród nas i nagle okazało się, że cały brzeg Regi opanowany był przez „konspiratorów”. Sielanka trwała kilka dni. Nasze dolne partie ciała miały już kolor zbliżony do torsów.

Nagle dowiedzieliśmy się, że paru naszych kolegów miało pecha i wpadło w ręce żandarmerii, która tropiła maruderów. Bo jak się okazało, nie tylko studenci zażywali kąpiele słonecznych nad rzeką bez zezwolenia, zaniedbując zajęcia. Trzech naszych kolegów (Kazio Drozd, Włodek Kryński, i jeszcze jedna osoba) miało po prostu pecha.

W tym czasie nad Związkiem Radzieckim latały amerykańskie samoloty szpiegowskie, więc w wojsku atmosfera była napięta. Napięcie potęgowane było przez różnych politruków, a szczególnie wyższych oficerów „pol.-wych.” (wychowania politycznego).

Fakt wpadki naszych kolegów został wykorzystany dla celów propagandowych.

Z naszej baterii utworzono czworobok, kazano usiąść na trawie, a te złowione niebożątka posadzono w środku. Nad nimi, oprócz naszych dowódców stał major LWP. Tenże oficer zaczął od tego, że „Mydło”, bo tak ich nazywał, zamiast być czujnymi żołnierzami, gdy wróg, amerykański imperialista bezkarnie lata nad bratnim Związkiem Radzieckim, oni zamiast przygotowywać się do odparcia tego wroga, bumelują i zaszywają się w szuwarach rzecznych, by grać w brydża - grę imperialistyczną itd. itp. Ten monolog państwowo-twórczy zakończył tym, że za ten „ohydny występki” wyznacza karę dla naszych kolegów w postaci trzech dni aresztu ścisłego. Nasi koledzy w areszcie uczyli aresztantów gry w brydża, bo zawsze musieli mieć czwartego. Grali na betonowej posadzce i to tylko pomiędzy jednym i drugim zlewaniem przez „klawisza” posadzki wodą. Prycze były w czasie dnia przykute do ściany.

Skazani po odbyciu kary chodzili z czołem uniesionym i każdemu oznajmiali, że tylko oni są nobilitowanymi

żołnierzami. Bo, co wart jest żołnierz, który nie siedział w pierdlu?

☞ W każdej większej społeczności zawsze znajdzie się jakiś oryginał, nie całkiem pasujący do pozostałych. Wśród nas był Kazimierz, którego nazwiska już nie pamiętam, natomiast jego wyczyny są mi zawsze żywe.

Do Szczecina przyjechał Kardynał Stefan Wyszyński i zapowiedział, że chce się spotkać z młodzieżą akademicką w kościele św. Jana Chrzciciela (katedra była jeszcze ruiną). Spotkanie miało się odbyć rano o godz. dziewiątej. Wszystkie uczelnie zarządziły dzień studium wojskowego. Studentów zebrano i wyprowadzono poza Szczecin. Marsz w chłodny, słoneczny dzień nikomu nie przyniósł szkody. Mimo tego sarkaliśmy i to głośno.

Kardynał poczekał na młodzież. Spotkanie odbyło się o osiemnastej wieczorem. Było ono niezwykle podniosłe. Śpiewaliśmy tak, że mury kościoła drżały. Na drugi dzień również było spotkanie z Kardynałem, lecz kilku z nas nie mogło brać w nim udziału, bo wyznaczono dla nas służbę przy magazynku broni.

Broń to za dużo powiedziane. To był sprzęt z demobilu z przedziurawioną komorą zamkową. Na służbę w naszej grupie wyznaczono również Kazimierza, który powtórnie pragnął spotkać się z Kardynałem. On to właśnie wylosował zmianę pokrywającą się z godziną spotkania studentów (młodzieży) z dostojnikiem kościoła katolickiego.

Wyszedł na wartę wraz z dziurawą bronią w uniformie żołnierza. Dowódca warty, Włodek Skorupa osobiście go tam zaprowadził. Po kilkunastu minutach do wartowni wpadł z wrzaskiem i bronią Kazimierza ppłk. Steś. Krzyczał: – Warta! Warta. Co, do cholery u was się dzieje? Wartę trzyma broń sama

bez żołnierza? Ja was pod sąd wojenny postawię! My staliśmy a szeregu na baczność, Włodek był blady jak ściana i starał się wytłumaczyć, że wraz z bronią był student i że on właśnie musiał opuścić stanowisko. On to wszystko wyjaśni i zamelduje. Ppłk Steś, stary frontowy wiarus powoli ochłonął, kazał spocząć i wysłać innego studenta na wartę. Sam usiadł i zaczął niekończący się monolog dowódcy ojca, ubarwiając opowieść śpiewną, kresową mową różnymi rusycyzmami i przyrzekał, że ten student, który opuścił stanowisko będzie może nawet wydalony z uczelni i wcielony do wojska, by go tam nauczyli dyscypliny wojskowej.

Już miał się z nami żegnać, kiedy do „wartowni” wbiegł Kazimierz z wypiekami na policzkach: – Koledzy, co to było za spotkanie, cały kościół aż drżał w ..... I nie skończył kwestii, bo właśnie przed nim stanął Steś z marsową miną i pytaniem: – Dlaczego opuściliście student stanowisko?! Gdzieście byli?! Wy jesteście zakałą studium wojskowego!.

A student, który nigdy nie mógł się nauczyć stopni wojskowych, wypalił:

– Byłem na spotkaniu z Kardynałem Wyszyńskim obywatelu generale!

Myśmy zamarli, ale zamarł też ppłk. Steś. Takiej odpowiedzi nie mógł się spodziewać. Popatrzył przeciągle na studenta, mruknął coś pod nosem, machnął ręką i wyszedł. Kazio z miną rozkosznego dzieciaka skwitował: – No, ale mu powiedziałem. Co nie, chłopaki?!

☞ Na obozie, o trzeciej rano zaczęto wrzeszczeć „Alarm, alarm”. Zrywamy się i pospiesznie ubieramy. Załadunek w pełnym oporządzeniu z bronią w rękę, padł rozkaz kaprała. Działa na kołach za studebackerami, my na skrzyniach z amunicją. Noc deszczowa. Ołowiane chmury wiszą tuż nad

głowami. Jedziemy w nieznane. Nagle pada komenda: „Z wozu! Czołgi z lewej, do boju!”. Zeskakujemy. Broń osobista wyraźnie przeszkadza. Odczepiamy działa. Po obu stronach drogi mokradła. Działa muszą być posadzone na kocich łbach jezdni. Już „siedzą”. Działon na swoich miejscach. Armaty załadowane. Pada komenda: – Cel! Ognia!. Odpalamy. Cel zniszczony. Pada następna komenda: – Odbój. Już świta.

Wysłany zwiad organizuje „WPO” (wysunięty punkt obserwacyjny) i melduje: „W kwadracie X ściernisko, dobre miejsce do zorganizowania stanowiska bojowego baterii”. Niby zabawa, a ile w tym powagi!

Zajeżdżają samochody. Jest mokro. Wozy grzęzną wraz z działami po osie. Zaczynamy kopać działobitnie. Deszcz dalej leje. Płaszcz-pałatki całkowicie mokre. Stoimy w wodzie, w butach chlupie. Działa do działobitni prawie wnosimy, bo nie sposób wepchnąć.

Nagle jednemu z naszych kolegów koło działa przygniata nogę! Wrzeszczy w niebogłosey. Wzywamy pomocy! Sanitariuszy nie ma! Nie przewidziano służby medycznej w tej wojnie. Dowódca baterii gazikiem z rannym żołnierzem mknie do szpitala w Trzebiatowie. My pod dowództwem przebrzydłych kaprali dalej ćwiczymy

Ze stanowiska dalmierza i przyrządu centralnego podawane są dane, czyli namiary dla ustawień przyrządów dział. A wróg jest cholernie perfidny. Raz jest na ziemi, z prawa i z lewa, a tu nagle ukazuje się na niebie i to z wielu stron. Sam diabeł się w tym nie rozezna.

Radiostacja na „wpo” melduje, że z kierunku północnego naciera zagon czołgów, z południa skrzydło nieprzyjacielskich samolotów. A jakiś dowcipniś dodaje: „A środkiem batalion długonogich, cycatyh dziewcząt gna”.

Kaprała odbierającego meldunek zamurowało. – Przerwać łączność! – krzyczy. – Kto, wam, pozwolił na nadawanie pełnym tekstem?! To jest niezgodne z regulaminem. Podajcie

student natychmiast swoje nazwisko!  
– Co wy kapralu? - padła odpowiedź z WPO. - To nie wiecie, że właśnie to, jest niezgodne z regulaminem?! Ta dyskusja może trwałaby dłużej, ale studenci na „WPO” postanowili zakpić sobie z kaprała i kiedy ten krzyczał: – Odra, Odra, słyszysz mnie? W odpowiedzi usłyszał: – Wisła, Wisła, nie słyszę ciebie, nie słyszę .Ale ciebie widzę!

☞ Każdy dzień na obozie wojskowym w Mrzeżynie obfitował w jakieś niecodzienne wydarzenie. A wydarzenia te były różne. Czasem poważne, o których nie warto wspominać, a najczęściej komiczne, bo wynikały ze ścierania się dwóch rodzajów nastawienia do służby wojskowej, jednego poważnego do przesady, lansowanego przez „zawodowych” wojskowych i drugiego studenckiego, czytaj prześmiewczego.

Pewnego razu, bateria lekceważąco wykonywała jakieś rozkazy kaprała, który był wyjątkowo złośliwy, a przy tym również był człowiekiem bardzo ograniczonym. Postanowił dać nauczkę studentom, do których czuł jakąś urazę, a może chciał po prostu pokazać, kto tu rządzi.

Zaprowadził nas na wysoki piaszczysty brzeg nad morzem. Stał na wydmie i wydał rozkaz: – Zbiórka na brzegu morza. Wszyscy ruszyliśmy biegiem pokonując stromiznę, a przy tym nasypując sobie piasku do butów. Zdążyliśmy tylko uformować dwuszereg i usłyszeliśmy komendę: – Zbiórka na szczycie!. W ten sposób kilkakrotnie zbiegaliśmy na dół to znów wdrapywaliśmy się na szczyt. Rozkazy wykonywaliśmy w idealnym spokoju. W duchu życzyliśmy kapralowi, by się go własna matka wyparła.

Po pewnym czasie kapral uznał, że nas wystarczająco zmęczył, uformował kolumnę i skierował do obozu. Do obozu mieliśmy jakieś 3-4 km. Idąc po kostce odczuwaliśmy piach w butach i



któryś ze studentów zaczął głośno wzywać kaprała do zatrzymania kolumny, aby przewinąć onuce i wysypać piasek z butów. Kapral jakby tego nie słyszał i kazał śpiewać. Rozkaz powtarzał kilkakrotnie, a myśmy go nie wykonywali. Kapral się wkurzył i krzyknął: – Bateria biegiem marsz! Najpierw biegliśmy w miarę wolno, a kapral szedł z tyłu, nie biegł razem z nami. Myśmy przyspieszali, a kapral krzyczał: – Wolny krok. Wolny krok! Myśmy jeszcze bardziej przyspieszali. Odległość między nami i kapralem rosła. Po przebiegnięciu około kilometra rozlokowaliśmy się na polance. Zdjęliśmy buty dając ulgę zboliałym, otartym stopom i oczekiwaliśmy na bieg wypadków.

Po dłuższej chwili przybiegł i kapral, który bez słowa położył się na wrzosach obok nas. Od tej chwili pracował nad sobą. Wydawał tylko potrzebne komendy.



*Nasza bateria. Na pierwszym planie Zyga Ossowski.*



*Bojowa drużyna - od lewej: Rysiek Wittig, Gienek Bielakowski, Karol Langer, Bogumił Jaworski, Bohdan Chmielecki  
Stoją obok armaty, lub na niej siedzą . Armata oczywiście przeciwlotnicza, kaliber 85 mm. Doskonała do strzelania do czołgów.*



*Nasi wesółkowie*

*Od lewej u dołu: W. Skorupa, R Zambrzycki, Z. Ossowski  
Wyżej od lewej: L. Wyżykowski, K. Iwański, K. Drozd*



*Żegnamy kolegę, który idzie do cywila. Stoją w pierwszym szeregu. Od lewej: Niewolewski, Walków, Popielski, cywil(?) Szczepaniak, Wyżykowski, Czajka*



*Przy namiocie*



*Po przysiędze - Mrzeżyno*

## Sport i przygoda.

☞ Antek Karczewski, Janek Popielski i ja postanowiliśmy zostać szermierzami AZS. Antek i ja trenowaliśmy floret. Janek szablę. Treningi, które odbywały się w sali gimnastycznej na osiedlu przyciągały wielu wielbicieli, a szczególnie wielbicielek. To była nasza pierwsza publiczność, lecz taka nietypowa, która niemal na żywo ocenia nasze umiejętności.

By poprawić nasze „parowania”, chodziliśmy na Cmentarz Centralny, na treningi w plenerze, ale bez trenera. Broń, maski, ubrania i obuwie mieliśmy w pokojach studenckich. Broń, zatem była dostępna dla wszystkich, nawet dla tych, którzy nie znali prawideł fechtunku. Oczywiście zabranialiśmy brania do ręki floretu, lub szabli przez niepowołanych, ale czy można było czegokolwiek dopilnować?

Była sesja egzaminacyjna i każdy z nas uczył się do jakiegoś egzaminu. Nagle Włodek Skorupa zdjął z wieszaka mój floret i wykrzykując, że takiego szablistę jak Janek, natychmiast rozniesie, natarł na niego bez maski. Nie zauważył, że Janek jedną ręką odparował cios szablą, a drugą nałożył maskę. Janek spokojnie odparowywał każdy cios floretu Włodka. Ale jak to w fechtunku bywa, Janek musiał odczuć jedno z uderzeń Włodka, bo chwilę jakby się zawahał i zadał cios w gołą głowę Włodka. Ten natychmiast odparował, ale już nie floretem tylko twardą poduszką, która spadła na głowę Janka i powaliła go bez czucia na podłogę. Podbiegliśmy z Kazikiem Spalińskim do Janka, a ten ledwie oddychał. Ułożyliśmy kolegę na łóżku i zaczęliśmy go cucić. A Włodek stał w tym samym miejscu i powtarzał: – Ja naprawdę uderzyłem lekko! Ja tylko tak...

Niewinna zabawa młodych, pełnych energii ludzi, mogła się źle zakończyć. Janek długo narzekał na ból kręgosłupa szyjnych.

☞ Już, jako emeryci wspominaliśmy młodość, studia, ćwiczenia wojskowe, początki pracy zawodowej i późniejsze lata; Bohdan Tomaszewski przyznał się nam wtedy (...) – Czy wiecie, że dyplom ukończenia studiów odebrałem z uczelni dopiero po 20-tu latach pracy? Pracowałem w wielu zakładach, nawet, jako dyrektor. Nigdy nikt mnie nie zapytał, na jakiej podstawie piszę w kwestionariuszu, że jestem inżynierem? Okazuje się, że ten socjalizm nie był taki szczelny i wymagający.

## Twórczość studencka (fragmenty)

„Sen Zmora” Wiersz dedykowany śpiochom.

*Autor M. Walków, grudzień 1953 r.*

Wiesz, co mówił do mnie Włodek?

- „Dziś nie pójde na „pomiar”  
Nudzi ten nasenny środek,  
i gaduła - Władzio stary.”

„Pisać też nie będę, wszakże,  
Bo, to, prawie wszystko woda  
Spać, (ja) mogę w domu także.  
Spać „na sali - kości szkoda!”

I ja staram się wytrzymać.  
I przyrzekam nie spać, sobie  
Ale, jakże tu nie drzemać?  
Kiedy, drzemią tuż przy tobie?

Była raz taaaaka afera!  
Śpioch Kazimierz, spec od tego.  
Tuż pod bokiem Wendekera  
przez sen krzyknął: „szach kolego!”

Stary spojrzal: – Kto mi knoci?  
Ja wykładam, on się nudzi!  
To jest granda proszę cioci!  
Niech go, Krzywoszewski zbudzi!

To jest granda, ale śpi się.  
Trudno wytrwać, nie spać. Wierzcie!



No i nie ma, zdaje mi się  
Takich, co nie spali jeszcze.

*Wyjaśnię, że „pomiar” to wykład z miernictwa warsztatowego.*

**„Dla Mietka”** Wiersz okolicznościowy

*Autor Kazimierz Spaliński - styczeń 1954 r*

Dziś Twego święta nadszedł czas.

Przyjmij od zebranych tutaj nas  
skromne życzenia!

Niech naszych wzruszeń wspólna moc  
Trwa- choćby tylko jedną noc.

I niech zostaną wspomnienia.

Niech twojej twarzy w żaden dzień  
nie kryje smutku straszny cień  
- ni przygnębienia.

Na ustach twych niech uśmiech gości!

Idź poprzez życie wciąż radośnie,  
ku szczęścia dniom.

W życiu bywają ciężkie chwile  
i trzeba mieć naprawdę tyle  
samozaparcia,

by nie załamać się i trwożyć,  
przez życie iść i życie tworzyć  
otwarciem.

Bo bywa piękne i radosne,  
i w sercu swym wciąż czujesz wiosnę  
w rozkwicie.

Gdy masz przyjaciół Ci oddanych,  
szczerych, serdecznych roześmianych,  
do życia!

Chcę więc za przyjaźń między nami  
wznieść toast tymi kielichami.

Do dna!

Niech żyje przyjaźń przez wiek cały,  
oraz niech żyje nasz „mały” solenizant.

Hura!

### **Do mojej Milej?**

*Kazimierz Spaliński - 1954 r.*

O czym myślisz, może o miłości?  
Nie myśl Droga, nie warto się trudzić.  
Przyjdzie sama jak można najprościej,  
Przyjdzie i uczucia śpiące w Tobie zbudzi.

Miłość jest tak prosta, bez obycia.  
Przyjdzie sama, nawet nieproszona,  
zrani serce, starga ci uczucia,  
czasem zgaśnie, niewinnie wzgardzona.

Czasem jest burzliwa i szalona,  
nie zna przeszkód, granic ni rozdroży  
Ponad wszystkie ideały wyniesiona,  
w małych sercach - wielkie szczęście tworzy.

Ty zapewne tej miłości rada!  
Ja bym Tobie nawet nieba chciał przychylić.  
Lecz pamiętaj kłamać nie wypada;  
serce czasem też się może mylić.

**Wiersz dedykowany przyjacielowi Antoniemu  
Karczewskiemu, wrażliwemu opiekunowi podczas pobytu  
Kazia w szpitalu**

*Kazimierz Spaliński, 24.01.1956 r.*

Ty jesteś moim przyjacielem. Dla ciebie dziś pisać pragnę.  
Lecz nie wiem czy swe myśli nagnę, ku takim pięknym  
wzniosłym celom.

Gdybym naprawdę był poetą, napisałbym Ci hymn pochwalny.  
Lecz nim nie jestem. Daruj przeto, że może będę zbyt banalny.

Że nie dobioreę słów, wyrażen pięknych jak przyjaźń między  
nami.

I nie wycisnę łez ni wrażeń, do stóp nie rzucę Ci garściami.

Widzisz duch dobry podsycił żar poezji w mojej piersi.  
Cóż, żem do ręki pióro chwycił - gdy to dziś słowa nie nakreśli.

Daruj, że właśnie ku swej dumie, wybrałem Ciebie pośród  
wielu.

I że tak prosto, tak jak umiem dla Ciebie piszę przyjacielu!

Tak jak innych Cię poznałem, jak inni byłeś mi kolegą.  
Razem bawiliśmy się i smuciłem z Tobą, czy z tego czy innego.  
Lecz wtedy jeszcze nie myślałem, że nas połączy przyjaźń  
trwała.

Może dlatego, że zbyt mało cech charakteru twego znałem.

Przyjaciół w biedzie się poznaje, gdy ci współczuje i rozumie.  
Wtedy, gdy rękę ci podaje gdyś upadł i poradzić umie.

Ja Cię poznałem i dziękuję, swą przyjaźń Ci ofiarowałem.

Szczęśliwy byłem, iż w Twych bliskich grono się wpisałem.  
Dziś wspólną troską my żyjemy, lecz przyjdzie wkrótce i  
rozstanie.

I chociaż w świat się rozejdziemy - przyjaźń na zawsze  
pozostanie.

I kiedyś znów po latach wielu - gdy skroń siwizną Ci pokryje,  
pomyśl o starym przyjacielu, niech dawnych wzruszeń moc  
ożyje.

Ja o swych sprawach zamyślony i zasłuchany w nocy ciszę,  
może nad stołem pochylony - Twych wspomnień cichy szept  
usłyszę?

Wzruszenia łza na wargi spłynie - w sercu mym radość się  
zagości.

Szczęśliwy będę w tej godzinie, że nie zaznałem  
SAMOTNOŚCI!

*(Wiersz powstał w szpitalu przy ul. Unii Lubelskiej. Kazik miał  
poważne problemy ze zdrowiem, groziła mu trwała przerwa w  
studiach. Antek najczęściej odwiedzał Kazika w szpitalu – MW)*

## „Mów znowu ze mną”

*Kazimierz Spaliński, 1955 r.*

Dlaczego jesteś smutny mój kolego?  
Czy dla tego,  
że odchodząc wczoraj ręki ci nie podałem?  
Ja uważałem,  
Że to ty właśnie pierwszy uściśniesz dłoń moją -  
czekałem na twoją.  
Lecz ona odziana w czarną rękawicę -  
kryła tajemnicę.  
Na pożegnanie „Cześć” ci powiedziałem.  
Myślałem,  
że nie wypada nam odejść bez słowa -  
Lecz twoja głowa,  
była gdzieś w innym kierunku zwrócona  
- jak ona.  
Twe oczy w siną przestrzeń patrzyły -  
o czym myślałeś?  
Może o nowym spotkaniu miłosnym,  
bardziej radosnym?  
Może dlatego właśnie zapomniałeś -  
że przy mnie stałeś?  
Wiem, rozstaliśmy się wczoraj w złości.  
W sercu mym gości  
smutek niewyjaśnionej przyczyny.  
Zechciej więc winy oddać jakiemuś bądź przypadkowi  
- dziwnemu zbiegowi.  
Zapomnij tamtą chwilę nieprzyjemną,  
i rozmawiaj znowu ze mną.

**Epitafia** *(stworzyłem podczas wykładów mniej ciekawych  
w 1955 roku – MW)*

**„Kapralowi Studium Wojskowego”**

Pieklił się i łajał,  
W błoto kładł żołnierzy,  
A teraz sam leży.

**„Żona - grabarzowi”**

Tu leży mąż mój  
– grabarz z zawodu.  
Bardzo żałuję jego,  
I szukam innego.

**„Krystynie Soleckiej”**

Tu leży Krystyna Sol...  
Już umierała, ale nadal szeptała.  
– Wąsy zgol... wąsy zgol... *(zapuszczałem wąsy – MW)*

**„Społecznikowi”**

Za życia, wielce się uspołeczniał.  
Pomódl się przechodniu,  
Aby, na tamtym świecie,  
Tego, robić - nie chciał.

## **Podsumowanie.**

Kiedy poprawiałem i uzupełniałem teksty musiałem z konieczności powtórnie wgłębiać się w zapisane informacje o różnorodności pracy inżynierskiej, jaką wykonywaliśmy, jako absolwenci Politechniki Szczecińskiej, Wydziału Budowy Maszyn.

Przyznam, że sam byłem zaskoczony, w jak ogromnej palecie dziedzin musieliśmy się sprawdzać. Jakie musieliśmy pokonywać trudy, ile trzeba było dodatkowych godzin ciężkiej pracy, nieprzespanych nocy na dodatkowe doksztalcenia się? Ile trzeba było zmagać z zacofaniem lub tumiwizmem niedorośłych decydentów, często nadętych i ustawionych nieuków. Jak często musieliśmy udawać się w podróż „delegacyjną”, czasem przyjemną, a najczęściej nie bardzo, szczególnie w warunkach zimowych. Mimo naszej troski i zapobiegliwości o godną i bezpieczną pracę i godne zarobki klasy robotniczej, najczęściej zbieraliśmy upokorzenia od ówczesnej władzy. Władzy rozbudowanej, napuszonej, spanikowanej, często głupiej i wymagającej cudów. Władzy bez krztyny chęci wysiłku, aby pomóc (zdarzały się wyjątki) i od braci robotniczej, która, bywało, nie była wobec nas sprawiedliwa.

Mógłbym tak snuć opowieść na kilkadziesiąt stron. Właśnie w takich warunkach przyszło nam pracować i tworzyć, wykorzystując zdobyte w Szczecinie wykształcenie. I muszę przyznać, że możemy być dumni z naszych dokonań. Aby osiągnąć zamierzone cele, nie poddawaliśmy się przeciwnościom. One nawet zachęcały nas do tytanicznej pracy.

Jak już pisałem, różnorodność naszych zajęć była ogromna. Braliśmy udział w budowach i wyposażaniu elektrowni w Polsce (Dolna Odra, Stalowa Wola, Pątnów, Adamów, Konin, Turosszów, Opole, Bełchatów i wiele innych), w Czechosłowacji (Prunerov 2), w Niemczech Wschodnich

(Thierbach), w Holandii (Inselcentrale Hengelo), w Rumunii (CRAIOVA), w Jugosławii (KICEVO).

Budowaliśmy i braliśmy udział w rozruchu zakładów chemicznych w Policach, w Oświęcimiu. Projektowaliśmy, budowaliśmy oraz wyposażaliśmy statki: drobnicowce, masowce, rorowce, kontenerowce, specjalne do badania dna morskiego, chemikaliowce i inne. A także projektowaliśmy jednostki pływające dla żeglugi śródlądowej. Mieliśmy znaczący wpływ na rozwój stoczni remontowej GRYFIA.

Braliśmy udział w produkcji aparatów latających w Mielcu, w produkcji silników i nie tylko samochodowych. Pracowaliśmy tworząc i produkując pojazdy: motocyklowe (JUNAK), traktorowe (w tym MFP), samochodowe: Star, Jelcz, Autosan, Żuk, Nysa, Warszawa, Syrena, Fiat 125p, Smyk, Gryfia. Tworzyliśmy i produkowaliśmy maszyny rolnicze o szerokim przeznaczeniu. Maszyny do: hodowli zwierząt, uprawy roli, żniwne, służące do transportu w sadownictwie i wiele innych. Braliśmy udział w budowach i rozbudowach oraz modernizacjach różnych fabryk. Tworzyliśmy i rozwijaliśmy hydraulikę siłową, elektro grzejnictwo, produkowaliśmy druty nawojowe i kable elektryczne i energetyczne, kondensatory, pompy wirowe, ślimakowe, hydrauliczne i inne. Pracowaliśmy, jako zdolni inżynierowie w USA, w Nigerii w Niemczech, Czechosłowacji, Bułgarii, Holandii, Hiszpanii przy budowie huty stali PUERTO SAGUNTO, Włoszech, Jugosławii, Białorusi (fabryka płyt w Horodeji). Mieliśmy wpływ na pracę fabryki czekolady w Szczecinie. Braliśmy udział w produkcji elementów i mechanizmów okrętowych. Projektowaliśmy koksownie, zakłady produkcji elektrod grafitowych i węglowych, maszyn dla PKP do budowy trakcji kolejowych, takich jak: układarki torów, oczyszczarki i podbijarki tłucznia, pługi odśnieżne. Mieliśmy wpływ na potokowy remont taboru kolejowego, na remont maszyn rolniczych i traktorów. Projektowaliśmy i wdrażaliśmy aparaturę chemiczną dla kraju i



zagranicy. Rozwijaliśmy i mieliśmy wpływ na produkcję maszyn leśnych, na produkcję kontenerów o standardach europejskich. Byliśmy związani z morzem poprzez prace i role kierownicze w PŻM, w PRS. Nasz kolega był ławnikiem Izby Morskiej w Szczecinie i był ekspertem katastrof morskich. Pracowaliśmy z wielkim powodzeniem w fabryce produkującej opakowania blaszane. Byliśmy ekspertami w transporcie samochodowym, w projektowaniu i produkcji tanków i urządzeń dla przemysłu mleczarskiego, Braliśmy udział w produkcji mebli. Odpowiadaliśmy za sprawne działanie szeregu elektrociepłowni, papierni. I produkowaliśmy maszyny papiernicze. Braliśmy udział w sprawnym działaniu kombinatów budowlanych. Uruchamialiśmy fabrykę wielkich płyt w Płoni k/ Szczecina. Mieliśmy wpływ na produkcję elektronicznych przyrządów pomiarowych i innych wyrobów elektronicznych, na produkcję maszyn i urządzeń dla przemysłu elektrycznego i elektronicznego. Nasza praca odcisnęła piętno w produkcji porcelany technicznej. A także obsługiwaliśmy produkcję stalówek, spinaczy, dziurkaczy i pinezek. Nasi koledzy w woj. gdańskim, opolskim i szczecińskim kierowali UDT i należeli do kadry najlepszych fachowców dozoru technicznego.

Nie sposób jest wymienić wszystkiego, czym zajmowali się absolwenci z „Naszej Paczki”, bo każdy z nas pracował wiele lat i wiele się w tym czasie zmieniało i ulegało rozwojowi. Wszędzie gdzie pracowaliśmy mieliśmy osiągnięcia, o czym świadczą otrzymane świadectwa patentowe, nagrody ministerialne, nagrody na konkursach, dyplomy i odznaczenia, tak resortowe jak i państwowe. Dodatkowo pracowaliśmy dla środowiska, w którym żyliśmy i żyła nasza rodzina. O tych sprawach najlepiej przeczytać, zagłębiając się w opisy poszczególnych osób.

Jestem przekonany, że to, co zebrałem i opisałem w niniejszym opracowaniu jest dobrym materiałem mogący posłużyć

tym, którzy chcieliby badać historię pracy i życia w PRL i po. Na podstawie tego materiału śmiało można przystąpić do pracy magisterskiej z zakresu socjologii. Nasza grupa wywodząca się, na ogół z rodzin biednych, odartych przez wojnę, potrafiłszy i stworzyliśmy potężne drzewo życia dla pokoleń. Nasze dzieci, w znacznej większości zdobyły dyplomy wyższych uczelni, niektórzy są profesorami, zajmują się wieloma dziedzinami gospodarki, nauki, usług, kultury, służby zdrowia, obronności kraju i polityki albo biznesem. Ich następcy, a nasi wnukowie władający biegle językami zachodnimi posiadają dyplomy uczelni krajowych i zagranicznych, są wartościowymi pracownikami firm o znaczeniu europejskim i światowym...

To opracowanie nie może mieć zakończenia, bo życie trwa nadal.

**Marzę, aby znalazł się ktoś z młodszego pokolenia, kto będzie chciał kontynuować opis osiągnąć następnych po nas pokoleń...**

Zanim to nastąpi spróbuję rozpocząć następny rozdział.  
Nazwijmy go roboczo:

## NASZE POKOLENIA I ICH UDZIAŁ W ROZWOJU SPOŁECZNYM (informacje z 2018)



Pierwszy życiorys zawodowy, świadczący o tym, że doskonale wychowywaliśmy nasze następne pokolenia, przygotowując je do ciężkiej, ale jakże efektywnej pracy, nie tylko w Kraju, ale i na obczyźnie, dla dobra naszej Ojczyzny.

Życiorys ten otrzymałem od córki Jana Czajki – Magdaleny Doroty.

*„Dorota Olszewska ur. 16.05.1966 roku w Szczecinie, mieszka i pracuje w Stanach Zjednoczonych. Jest absolwentką Uniwersytetu Szczecińskiego Wydziału Filologii Polskiej oraz absolwentką pedagogiki specjalnej Uniwersytetu Northridge w Kalifornii (California State University, Northridge, CA, Special Education Teaching Credentials).*

*Dorota od roku 1994 jest pracownikiem Polskiej Macierzy Szkolnej w Los Angeles. Przez niemal ćwierćwiecze z pasją prowadzi zajęcia z języka polskiego z elementami historii i geografii w klasach trzecich, czwartych, piątych, szóstych oraz siódmych. W zajęciach z historii Polski i języka polskiego wykorzystuje atrakcyjne dla uczniów nowoczesne i aktywizujące metody nauczania.*

*Nieocenionym dorobkiem Doroty jest przygotowanie corocznych przedstawień opartych na najznakomitszych dziełach literatury polskiej takich jak: „Latarnik”, „Zemsta”, „Romantyczność”, „Śluby panieńskie”, „Dziady część II”, „Balladyna”, a z młodszymi klasami – inscenizacji na podstawie utworów*

*literatury dziecięcej, np. Juliana Tuwima i Jana Brzechwy („Pan Małuskiwicz i wieloryb”, Pchła Szachrajka).*

*Przed kilkunastu laty Dorota opracowała i uruchomiła stronę internetową szkoły [www.szkolapolska-la.org](http://www.szkolapolska-la.org), którą nadal pieczołowicie prowadzi. Prowadzi również gazetkę szkolną. Organizuje i prowadzi baliki dla dzieci polonijnych, na których dzieci uczestniczą w polskich grach i zabawach, zapoznając się z polską tradycją np. karnawałową z najlepszymi polskimi dziecięcymi utworami muzycznymi.*

*Dorota angażowała i przygotowywała uczniów do świątecznych przedstawień w Klubie Kultury i Sztuki im. Heleny Modrzejewskiej.*

*Z uczniami klas wyższych wydaje kwartalnik „Głos Ucznia”.*

*Podczas Festiwalu Polskich Filmów w Los Angeles Dorota organizowała dla uczniów wyjścia do kina na wyświetlane polskie filmy oraz spotkania z wybitnymi polskimi aktorami.*

*Specjalnością Doroty jest organizowanie spotkań uczniów z Sybirakami, uczestnikami Powstania Warszawskiego.*

*Dorota pisze felietony i artykuły na tematy edukacyjne oraz z życia szkoły dla „Polskiej Fali Radiowej” w Los Angeles, miesięcznika „News of Polonia”, miesięcznika społeczno – kulturalnego „Polonia Kalifornijska” oraz kwartalnika „Głos Nauczyciela”.*

*Dorota należy do pedagogów, którzy chętnie wspierają szkołę poza regularnymi godzinami pracy szkoły. Jedną z takich działalności jest pomoc w organizowaniu i prowadzeniu*

*„Zabawy Serduszkowej” dla dorosłych, z której dochód przeznaczany jest dla szkoły.*

*Silną domeną Doroty jest nieustające doskonalenie warsztatu nauczania . Chętnie uczestniczy w Zjazdach Nauczycieli polonijnych oraz w warsztatach metodycznych np. szkoły językowej GLOSSA z Krakowa, jak również samodzielnie prowadzi takie warsztaty dla innych pedagogów.*

*Dorota również prowadziła zajęcia z nauki języka polskiego dla dorosłych Amerykanów i Amerykanów polskiego pochodzenia.*

*Jako członek zarządu oraz prezes Klubu Kultury i Sztuki im. Heleny Modrzejewskiej sprowadziła do Kalifornii i gościła najznakomitszych przedstawicieli polskiej kultury, sztuki i nauki, między innymi: profesora Jerzego Bralczyka, Ewę Błaszczyk (koncert charytatywny na rzecz budowy kliniki „Budzik” dla dzieci po ciężkich urazach mózgu). Muzyka i kompozytora Krzesimira Dębskiego, piosenkarkę Urszulę Dudziak, Pierwszą Damę Marię Kaczyńską (ówczesną patronkę Festiwalu Filmów Polskich w Los Angeles), twórców filmu „Katyń”, aktorki Danutę Szaflarską, Danutę Stenkę, Magdę Cielecką, Annę Seniuk, aktorów Artura Żmijewskiego, Marka Probosza, Mariana Opanię, Wiktora Zborowskiego,, reżyserki Dorotę Kędzierzawską i Annę Ferens oraz wielu, wielu innych.*

*Jako nauczycielka Polskiej Macierzy Szkolnej oraz działaczka polonijna współpracuje z Konsulatem Polskim w Los Angeles (członek, a następnie prezes komisji wyborczej), ze szkołami polskimi na terenie całych Stanów Zjednoczonych, Towarzystwami Muzycznymi w Los Angeles, Polskim Salonem Artystycznym w San Diego, Ośrodkiem polonijnym w Arizonie, Klubem PIE z Inland Empire z Kalifornii, i ośrodkami polonijnymi w Kanadzie Kongresem Polonii Amerykańskiej Południowej Kalifornii, Związkiem Harcerstwa Polskiego,*

*Zespołem Tańca „Krakusy”, Kołem Żołnierzy Armii Krajowej i Kołem Lotników w Los Angeles.*

*Za swoją działalność oraz za wybitne osiągnięcia pedagogiczne, krzewienie polskości oraz duże zaangażowanie w życie społeczne Polskiej Macierzy Szkolnej w Los Angeles Dorota otrzymała dyplom uznania z rąk Konsula Generalnego Polski Krystyny Tokarskiej- Biernacik (2007).*

*Nagrodę Związku Artystów Scen Polskich otrzymała w 2009 roku za propagowanie polskiej kultury na obczyźnie. Odznakę honorową Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużony dla Kultury Polskiej” otrzymała w 2013 roku. Dyplom uznania County of Los Angeles od burmistrza Los Angeles za pełną zaangażowania pracę na rzecz społeczności Los Angeles, 2012 rok.*

*W 2017 roku Dorota Czajka – Olszewska otrzymała zasłużony Medal Komisji Edukacji Narodowej.”*



Drugi list, który mnie osobiście wzruszył swoim wprowadzeniem do życiorysu zawodowego, otrzymałem od własnej córki Grażynki. Moja córka wyraziła to, co może wyrazić każdy wyrosły z naszego pokolenia. Pokolenia pionierów tamtej epoki. Pokolenia pracowitego i twórczego starającego się żyć godnie dla swojej Ojczyzny. Życiorys zawodowy Grażynki w szczególny sposób wiąże się z naszym miastem Szczecinem, z fabryką pod nazwą POLMO oraz z absolwentami z naszego grona. Mam nadzieję, że Grażynka i Dorotka Czajka rozpoczną kolejny etap opisu historii rozwoju naszego grona - absolwentów z lat 1956 i 1957 PS w Szczecinie.

*„Grażyna Walków - mgr inż. (ur. 21.11.1956r. w Szczecinie), szkoła średnia V LO im. A. Asnyka w Szczecinie, absolwentka Politechniki Wrocławskiej i MIU; Zachodniopomorska Wyższa Szkoła Zarządzania Biznesem – studium podyplomowe; Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie – Psychologia Zwierząt; Polsko Japońska Wyższa Szkoła Technik Komputerowych – Bazy danych i Aplikacji.*

*Jestem z „wyżu demograficznego”, z pokolenia zrodzonego z dzieci wojny, dzieci przymusowych emigrantów z ziemi tzw. „dawnej Polski”, osadników i pionierów ziem tzw. Odzyskanych, skąd wyrzucono „miejscowych”.*

*Jestem dzieckiem pokolenia głodu, pożogi i poszukiwań tożsamości. Ale jednocześnie jestem dzieckiem pokolenia znającego wartość słów: patriota, honor, dobre imię, wytrwałość, współpraca, odpowiedzialność, wybaczenie. Wychowanie w takim duchu uformowało mnie taką, jaką jestem i w znacznej mierze powodowało moimi wyborami podczas dojrzewania i wchodzenia w dorosłe życie. Wyssane z mlekiem matki wartości były autentyczne i dla wielu z nas stanowiły naturalne zachowanie, a nie grę pozorów.*

*Może niewiele mieliśmy dowodów swojej historii i pochodzenia (moja babcia na przykład, według rodzinnej opowieści zniszczyła na granicy dokumenty i zdjęcia, „żeby się Ruski nie przyczepił i nie cofnął”, ale jedno wiedzieliśmy – jesteśmy z pokolenia bohaterów, wolnych i dobrych ludzi, którzy nie mają się, czego wstydzić i którzy patrzą w przyszłość z podniesionym czołem oraz z nadzieją na tylko lepsze jutro dla siebie i swoich bliskich.*

*Dziedzictwo, któremu należy dawać świadectwo całym swoim życiem, co też staraliśmy się, myślę, w większości czynić. Myślę*

*też, że wielu z nas postarało się w tym duchu wychować swoje dzieci (tym bardziej, że w ich wychowaniu uczestniczyli również dziadkowie, a w szczęśliwych sytuacjach i pradziadkowie). Oczywiście piszę za siebie, ale mocno wierzę, że takich jak ja jest więcej i świadczą o tym drogi życiowe i zawodowe dzieci i wnuków absolwentów Politechniki Szczecińskiej anno domini 1956 i 1957.*

*Strasznie to patetyczne, ale cóż poradzę ... Grażyna Walków.*

*11 czerwca 1980 roku broniłam przed komisją (za granicą) swoją pracę magisterską, a byłam już mamą 15 miesięcznego Oleczka (Aleksandra). I chociaż dostałam rekomendację do otwarcia przewodu doktorskiego, musiałam wracać do kraju i zacząć zarabiać na życie.*

*Zawsze miałam zacięcie dydaktyczne i wyobraziłam sobie pracę na uczelni, jednak realia tamtego okresu nie przystawały do marzeń – brak mieszkań, niskie uposażenie w budżetówce, fakt posiadania dziecka, ogólnie trudna sytuacja gospodarczo – polityczna w Polsce. Skontaktowałam się z wybranymi uczelniami niemal w całej Polsce (wybierałam politechniki, wyższe szkoły inżynierskie), ale żadna nie chciała mnie przyjąć, zazwyczaj podając powód – dziecko i brak zameldowania w danym mieście (poza Szczecinem). Zaczęłam rozglądać się za pracą w Szczecinie tu miałam oparcie w rodzinie. Determinacja i wsparcie Taty zaowocowało zatrudnieniem w FMS POLMO już 12 lipca 1980 roku. Tutaj zostałam projektantem systemów informatycznych w ośrodku przetwarzania informacji fabryki. Do moich obowiązków należało programowanie w języku **PL/I**, zapoznanie się z możliwościami i zastosowaniem w praktyce strukturalnej bazy danych **BOMP**, będącej dla fabryki podstawowym narzędziem do zapisu informacji o procesach technologicznych, i w rezultacie projektowanie systemów użytkowych, takich jak*



*techniczne przygotowanie produkcji, „wyroby gotowe, kadry i płace, karta kosztu normatywnego.*

*Zgromadzone do tej pory doświadczenie w ośrodku przetwarzania wymagało ode mnie również programowania w języku **FORTAN**, **ASSEMBLER**, **COBOL**. Po kilku latach byłam już specjalistą projektantem, a informatyzacja fabryki nabierała tempa. A dzięki determinacji załogi ośrodka, pod wodzą szefa Jana Praczyka, fabryka zaczęła być widoczna w całej Polsce. Na konferencjach poświęconych informatyce mogliśmy już pochwalić się specyficznym, ale dużym dorobkiem. W tym czasie pracowaliśmy na elektronicznej maszynie cyfrowej serii RIAD, czyli produkcie mijającej epoki.*

*Do kodowania programów używaliśmy kart perforowanych, a do przechowywania danych posługiwaliśmy się głównie taśmami magnetycznymi. Nieliczne dyski twarde miały pojemność 10 MB. Potrzeby rozwijającej się fabryki rosły i, aby osiągnąć więcej, musieliśmy unowocześnić platformę i zacząć wdrażać nowe technologie oraz nowe rozwiązania. Kierownik ośrodka JP nawiązał współpracę z IBM Polska i w miarę możliwości ( przy bardzo skromnych środkach na informatykę) zaczął kupować "nowinki" Pojawiły się pierwsze PC -ty. Maszyna licząca RIAD została najpierw zmodernizowana, a następnie zastąpił ją komputer **IBM- S/390**; karty perforowane zostały wyparte przez nowoczesne monitory i klawiatury, a strukturalna baza danych, przez stającą się standardem – relacyjną bazę **DB2**. Za punkt honoru wzięłam sobie: dostosować posiadane dane do nowych możliwości i samodzielnie przeprojektowałam strukturalną bazę danych technologicznych BOMP (element PICS) na relacyjną bazę danych technologicznych w środowisku **SQL/DS**.(=**DB 2.0**). Pociągnęło to za sobą konieczność samodzielnego zaprojektowania i oprogramowania serii programów użytkowych do kompleksowej obsługi przedsiębiorstwa (w środowisku **VM/SP** i **SQL/DS**, język **PL/I**).*

*Od tej pory, a był to już schyłek lat osiemdziesiątych, byliśmy stawiani za wzór: jak osiągać wysoki poziom informatyzacji zakładu przemysłowego. Nasz dorobek osobiście prezentowałam na międzynarodowej konferencji w Magdeburgu, poświęconej osiągnięciom w dziedzinie informatyki.*

*W latach 1987 do 1996 pełniłam w POLMO funkcję kierownika działu projektowania i programowania.*

*Kierowałam zespołem programistów i projektantów i kontynuowałam tworzenie oryginalnego zakładowego systemu informatycznego **klasy MRP**, poprzez analizowanie potrzeb użytkowników w zakresie istniejących i powstających systemów użytkowych.*

*W 1996 roku mój szef (Jan Praczyk) postanowił odejść na emeryturę i rekomendował mnie do objęcia po nim schedy – zostałam szefem służby informatycznej i organizacji fabryki.*

*Był to już niestety schyłek istnienia FMS POLMO; ciągłe zwolnienia spowodowały, że zostało nas niewiele, a potrzeby zakładu nie opierały się już na słowie „rozwój”, ale jedynie na słowie „przetrwanie”. Rozejrzałam się za nową pracą i, choć, jako pełnokrwistej patriotce lokalnej, było mi bardzo ciężko rozstawać się ze Szczecinem, w 1999 roku podjęłam pracę w Warszawie, w IBM Polska w zespole sprzedaży serwerów mainframe.*

*To już nie było to, co najbardziej lubiłam. Ale jak się okazało i tutaj przydało się moje dotychczasowe doświadczenie – wzięłam udział w prestiżowym projekcie pierwszej w Polsce instalacji aplikacji **ERP SAP R/3** na serwerze **S/390**. Generalnie zajmowałam się programowaniem systemów **ERP (SAP, Oracle, IFS)** wśród użytkowników platformy IBM mainframe. Jednak najbardziej tęskniłam za programowaniem. Języki, w których programowałam do tej pory i w których byłam biegłą, powoli, ale nieubłaganie odchodziły do lamusa, więc zdążyłam jeszcze popracować trochę w spółce konserwującej i wspierającej programowo systemy pisane w języku **PL/I i RPG**.*

*Od 2005 roku pracuję jako informatyk w zespole nadzorującym działanie systemów bieżących w banku PKO BP. W międzyczasie, chcąc być na bieżąco z ciągle zmieniającą się informatyką, i dlatego, że lubię się po prostu uczyć, zrobiłam studia podyplomowe w Polsko – Japońskiej Wyższej Szkole Techniki Komputerowej w Warszawie w zakresie: **Bazy danych i systemy**. Zgłębiłam tajniki JAVY, projektowania stron internetowych, odświeżyłam wiedzę w zakresie DB2 i SQL. Wszystko w ramach hobby i ewentualnych prywatnych zastosowań, bo w obecnej pracy zakres obowiązków jest zupełnie inny. Ja stąd odejdę na emeryturę, A pałeczkę informatyka oraz miejsce pracy przekazę młodszemu pokoleniu. Nie zakładam, że na emeryturze będę uprawiała wyłącznie „słodką bezczynność”. Mam jeszcze jedną pasję, której zamierzam oddać się w pełni. W SWPS (Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie, która obecnie jest już Uniwersytetem) w roku 2007 zdobyłam certyfikat psychologa zwierzęcego, który akurat w tym samym czasie został wpisany na listę zawodów.*

*Tak, więc, mam dodatkowy zawód – zoopsycholog. Czyli jestem osobą, która rozumie powody konkretnego zachowania się zwierzęcia i mogę wyjaśniać to ludziom z jednoczesnym uczeniem ich jak mogą sobie radzić z własnym podopiecznym psem. Konkretniej mówiąc zajmuje się psychologią psów i nauczaniem ludzi właściwego zachowania się względem zwierząt.”*



**Kolejny** list przysłał mi nasz wnuk Aleksander, któremu zaproponowałem, aby się podzielił swoimi osiągnięciami.

Nie będę o nim pisał, bo zajęłoby mi to wiele czasu. Był dla nas zjawiskiem, istotą najważniejszą, której poświęciliśmy wszystko. Najzabawniejszy był zawsze, dla nas dziadków, kiedy z nami wędrował po Polsce, i poza granicami kraju. Niektóre nasze wojaże obrosły w zabawne historie, które z przyjemnością opowiadamy w rodzinnym gronie. Olek zawsze gra w nich pierwsze skrzypce.

*„Aleksander Press , mgr inż.*

*urodzony w 1979 w Szczecinie, szkoła średnia V LO im. A. Asnyka, absolwent PS w Szczecinie, Wydział Informatyki.*

*Powtórzę za Wikipedią: Generation (X) – pokolenie ludzi urodzonych w drugiej połowie XX wieku, którzy nie wiedzą, dokąd mają zmierzać, społeczeństwo zagubione w chaosie współczesności, wykreowanych przez modę wzorców, szukające odpowiedzi na trudne pytania i sensu własnej egzystencji...*

*Ten opis jest prawdziwy niezależnie od szerokości geograficznej, natomiast na naszym, krajowym podwórku pokolenie X ma chyba mimo wszystko nieco bardziej unikalny wydźwięk. To chyba przede wszystkim pokolenie przemian. W przypadku osób urodzonych w drugiej połowie lat 70-tych, właśnie te przemiany pozwoliły przeżyć absolutnie wyjątkowe, na skalę światową, dzieciństwo i okres dorostania.*

*Pierwsze lata życia wśród stanu wojennego, pustych pól w sklepach i mięsa na kartki. Stanie w kolejce z rodziną o 3-j nad ranem po zakupy świąteczne, dwa kanały telewizji z Telerankiem budzącym w każdą niedzielę, i szkoła podstawowa z woźnym, workiem na buty zmienne i odgłosem kredy na tablicy. Zabawy*

*opierające się głównie na sile wyobraźni, jeszcze bez 'komputerowego' wspomagania – przynajmniej przez pierwszych kilka lat życia. Codzienne podwórko i coroczne obozy, czy kolonie budujące 'umiejętności stadne'. Wychowanie, mimo wszystko jeszcze w atmosferze szacunku dla autorytetów i pokory kształtującej umiejętność klasycznej dyplomacji. Szkoła średnia lat 90-tych, łącząca w niesamowity sposób zwiększoną potrzebę eksploracji, ze środowiskiem, które dzięki otwarciu Polski na świat, coraz bardziej takie możliwości dawało. Wyjazdy zagraniczne, już bez ograniczania paszportu do krajów 'bloku wschodniego', kontakt z magią pierwszych komputerów osobistych, a przede wszystkim rodzące się właśnie zero-jedynkowe połączenie ponad podziałami – czyli przez Internet.*

*Wszystkie te przemiany nie miałyby takiego wpływu na życie nad Odrą i Wisłą, gdyby poprzednie pokolenia nie włożyły tak gigantycznej pracy w odmianę Państwa, które po okresie transformacji, pozwoliło rozwinąć skrzydła wszystkim urodzonym w okolicach roku 1980.*

*Wypada też wspomnieć, że gdyby Aleksander urodził się rok później, należałby do pokolenia Y. A to mogłoby już stworzyć podstawy pod zgoła inny życiorys?*

*Tymczasem...*

*Studia na Wydziale Informatyki Politechniki Szczecińskiej ukończył w roku 2002. Jeszcze przed zakończeniem studiów zasmakował w odkrywaniu 'globalnej wioski' – świata, i dwie przerwy wakacyjne spędził na odkrywaniu kultur: amerykańskiej w roku 2000 i portugalskiej w 2001. Najpierw pracował w Atlantic City w jednym z tamtejszych kasyn, a rok później – zgłębiał tajniki giełdowej analizy technicznej w jednym z największych portugalskich banków: Banco Português de Investimento.*

*Jeszcze przed zakończeniem studiów otrzymał propozycję pracy w Globalnym Centrum Usług IT dla Biznesu w amerykańskim koncernie Procter & Gamble. Zaakceptowanie oferty pociągnęło za sobą przeprowadzkę do Warszawy i rozpoczęcie kariery zawodowej, która trwa do dnia napisania niniejszego życiorysu – a w przyszłości być może będzie trwała kolejne lata.*

*Charakterystyka pracy w tej konkretnej korporacji ma to do siebie, że rolę zmienia się co 2-3 lata, a poszczególne zadania mogą być diametralnie różne. Oto kilka przykładów z życia wziętych.*

*Zaraz po zatrudnieniu w pierwszym projekcie Aleksander był odpowiedzialny za rozwój systemu do obsługi promocji w „kanałach” sprzedaży firmy (Trade Fund Management). Projekt ten był pilotowym wdrożeniem rozwiązania tego typu w Procter & Gamble – w tym wypadku na rynek japoński. Zadanie Aleksandra polegało głównie na analizie potrzeb biznesowych w połączeniu z konfiguracją i oprogramowaniem aplikacji na platformie firmy Siebel.*

*W roku 2003, w P&G nastąpiła reorganizacja działu IT. Zarówno projekty jak i pracowników odpowiedzialnych za zadania techniczne (programowanie, obsługa baz danych, wsparcie techniczne, wdrożeniowe, etc.) przeniesiono do firmy HP, która miała od tej pory świadczyć te usługi dla Procter & Gamble, jako zewnętrzny dostawca. W trakcie przygotowań do tej reorganizacji, Aleksander został przeniesiony do nowo tworzonego w Warszawie działu Initiative Solutions, mającego za zadanie budowę globalnego systemu IT do obsługi inicjatyw, np. nowych produktów firmy wprowadzanych na rynek.*

*Wspomniana wcześniej pierwsza rola (Siebel/ Trade Fund Management) okazała się być jak dotychczas jedyną zawierającą elementy techniczne, czyli zgodne z kierunkiem*

*studiów. Obowiązki związane z kolejnym projektem były już, bowiem zorientowane na analizę potrzeb biznesowych, pośredniczenie w tworzeniu aplikacji tak, aby owe potrzeby były jak najlepiej spełnione, a w ostatniej fazie – wdrażanie rozwiązania w głównych centralach firmy, na poszczególnych kontynentach. Dwa lata spędzone w tej roli, obfitowały w zagraniczne wyjazdy, m.in. do Stanów Zjednoczonych, Wenezueli, Chin, Argentyny, Japonii, Singapuru, Szwajcarii i kilku innych krajów. System został z powodzeniem wdrożony na całym świecie i na jego bazie powstało w późniejszym czasie wiele innych serwisów kompleksowo obsługujących proces innowacji w P&G.*

*Kolejna rola, rozpoczęta w 2005 to pierwszy, bardzo mocny kontakt Aleksandra z „Produkcją i Łańcuchem Dostaw” (Supply Chain) – dziedziną działalności firmy, która przez kolejne 12 lat miała zostać główną osią rozwoju jego kariery. Dziedzina, o której mowa, jest bodajże najbardziej skomplikowaną częścią dużej korporacji, zawierająca w sobie działy i procesy zakupów surowców, produkcji, transportu, magazynowania i obsługi zamówień. To wszystko mieści się w skali 80 miliardów dolarów wartości rocznej sprzedaży, kilkuset fabryk i dziesiątków tysięcy klientów.*

*Aleksander został wówczas kierownikiem globalnego projektu, który miał za zadanie stworzenie systemu raportującego i analizującego jeden z najważniejszych wskaźników w logistyce każdej firmy: współczynnik wypełnienia zamówień (Case Fill Rate). Case Fill Rate to innymi słowy porównanie ilości produktów dostarczonych do zamówionych przez odbiorcę oraz analiza powodów, dla których konkretne zamówienia nie zostały zrealizowane. Był to kolejny globtroterski projekt, obejmujący wdrożenia w Azji, Europie i obu Amerykach.*

*Po ponad 2-ach latach i udanym wdrożeniu, zarówno nowego procesu biznesowego Case Fill Rate jak i obsługującego ten proces systemu IT, kolejna rola rozpoczęła się przeprowadzką, na okres ponad roku, do głównej siedziby firmy w Cincinnati (USA, Ohio). Rola ta miała na celu przeprowadzenie serii badań dotyczących wykorzystania informacji o sprzedaży i o stanach magazynowych pochodzących od klientów korporacji, czyli sieci handlowych oraz dystrybutorów. Informacji takich można używać do szybszego i bardziej precyzyjnego planowania produkcji i logistyki.*

*W trakcie pobytu w USA, Aleksander zdobył **certifikat PMP** (Project Management Professional), czyli szeroko uznawany na świecie dokument potwierdzający kwalifikacje w dziedzinie zarządzania projektami.*

*Po powrocie do Polski, kolejnym zadaniem postawionym przed Aleksandrem było stworzenie strategii analityki biznesowej IT (Business Intelligence) dla globalnej organizacji Supply Chain. Oznaczało to przeanalizowanie architektury systemów IT firmy w tej dziedzinie, rozwiązań oferowanych na rynku jak i potrzeb na następnych kilka lat.*

*W 2010 roku, Aleksandrowi dano pod opiekę dział operacji i wsparcia wszystkich rozwiązań i serwisów Supply Chain w regionie EMEA (Europa, Środkowy Wschód i Afryka). Zakres obowiązków zespołu kierowanego przez Aleksandra obejmował zarządzanie rozwiązaniami opartymi na platformie SAP i na kilkudziesięciu specjalistycznych aplikacjach obsługujących magazyny, fabryki i logistykę. Przez okres 3-ach lat, ponad 100 osobowy zespół zarówno pracowników P&G jak i poddostawców zapewnił płynne przejście z systemu obsługi zamówień z lat 80-tych na nowoczesny system SAP, a także*



*usprawnił procesy wsparcia systemami IT wg metodologii ITIL (IT Infrastructure Library – zarządzanie usługami IT przez procesy).*

*Naturalnym rozwinięciem tej roli było przejście Aleksandra do działu standaryzacji procesów ITIL i raportowania jakości zarządzania usługami IT we wszystkich działach firmy – także poza Supply Chain., czyli w działach IT obsługujących marketing, sprzedaż, czy księgowość. Przez cały rok 2013, Aleksander był odpowiedzialny za usprawnienie procesów zarządzania kryzysowego i wdrażania nowych rozwiązań w firmie. Aleksander uzyskał w tym czasie najwyższy stopień certyfikatu ITIL, czyli **ITIL Expert**.*

*Rok 2015 przyniósł niejako powrót do korzeni, czyli pracy nad kompleksowymi innowacjami IT, tym razem w dziedzinie prognozowania popytu (Demand Planning). Aleksander został szefem globalnego działu odpowiadającego za strategię i portfolio rozwiązań IT w Demand Planning. W tym samym czasie dział ten rozpoczął innowacyjny projekt zaprojektowania i wdrożenia systemu prognozującego popyt przy użyciu zaawansowanych algorytmów i uczenia maszynowego (Machine Learning). Projekt należał do 10 największych zadań IT w latach 2015 – 2017 w całym koncernie P&G. Zespół, którym kierował Aleksander był odpowiedzialny za stworzenie tego rozwiązania we współpracy z zewnętrznymi dostawcami, a potem wdrożenie go wszystkich centrach planistycznych P&G: w Singapurze, Chinach, Egipcie, Polsce, Kostaryce i Stanach Zjednoczonych. Badania rynku wskazały, że system zbudowany w P&G był na tamten czas najnowocześniejszym na świecie, ze wszystkich firm produkujących dobra szybko zbywalne (Fast Moving Consumer Goods).*

*Równocześnie z prowadzeniem projektu Aleksander kontynuował edukację branżową w jednej z najbardziej znanych technicznych szkół świata, czyli MIT (Massachusetts Institute of Technology). Roczny kurs w dziedzinie strategicznego zarządzania łańcuchem dostaw zakończył z tytułem Micro Masters in Supply Chain Management.*

*Udane wdrożenie projektu w roku 2017, przyniosło kolejną zmianę roli –rozszerzając obowiązki Aleksandra do pracy nad kompletnym portfolio innowacji IT dla całego działu planowania (zarówno popytu jak i produkcji, zamówień i logistyki w Europie.*

*Ponieważ w Warszawie zlokalizowane zostało w latach 2013-2017 centrum planistyczne (Planning Service Center), obsługujące operacje łańcucha dostaw na całym kontynencie europejskim, Aleksandra obarczono odpowiedzialnością za wszystkie serwisy wewnętrzne dostarczane dla tego centrum, a on sam trafił do wąskiej kadry zarządzającej 250-osobowym globalnym centrum usług w Warszawie. Rozwiązania, nad którymi obecnie pracuje zespół Aleksandra (w momencie tworzenia niniejszego życiorysu), dotyczą najbardziej awangardowych dziedzin IT, takich jak robotyzacja procesów, uczenie maszynowe czy sztuczna inteligencja.*

*Z perspektywy czasu – dzięki częstym zmianom ról i braku stagnacji, 15 lat pracy, bądź, co bądź, w jednej korporacji, ani przez chwilę nie spowodowały znużenia, czy zastoju.*

*Pokazuje to doskonale, że nie tytuł na wizytówce, ani strony CV z kilkunastoma firmami, w których się pracowało, dostarczają prawdziwej satysfakcji zawodowej.*

*Satysfakcję zapewnia praca nad pionierskimi projektami, wśród fantastycznych ludzi, którym zależy przede wszystkim na*

*sukcesie drużyny, a nie na indywidualności. Taką właśnie dla mnie, pozytywną atmosferę, zapewniło na przestrzeni lat Procter & Gamble.*

*A Politechnika Szczecińska? Cóż. Ktoś powiedział, że edukacja to nie Szkoła Umiejętności, a raczej Szkoła Życia. I chyba za to każdy z nas najbardziej ceni po latach swoją Alma Mater.”*

Aleksander nie wspomniał, że podczas pobytu w USA, nie tylko pracował, doksztalał się, ale zdobył licencję pilota. Ponadto z każdej podróży przywoził setki zdjęć dokumentujących realia świata. (MW)



Bardzo jestem zadowolony, że nasz najmłodszy wnuk Marcin Walków postanowił napisać parę słów o sobie. Przyznaję, że nawet jestem zdumiony jego postawą, bo Marcin należy do osób bardzo powściągliwych.

Mam nadzieję, że będzie dobrym początkiem dla tak zwanej Trzeciej Zmiany w naszej RODZINNEJ książce.

Nasz Marcin urodził się w 1991 roku w Szczecinie. Ukończył gimnazjum i szkołę średnią w V LO im. A. Asnyka. Jest mgr inżynierem, absolwentem ZUT (Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego) Wydziału Elektrycznego. Jako drugi wnuk był oczkiem w głowie całej naszej rodziny. Najbardziej był hołubiony przez dziadków ( z obu stron), a 12 - letni Olek (pierwszy nasz wnuk - syn córki) podczas zabawy stale mu asystował. Najchętniej przy komputerze, bo rodzice kupili Marcinowi taki przyrząd dość wcześnie, jeszcze przed pójściem do szkoły.

Marcin, kiedy był jeszcze szkrabem i mógł wymuszać zabawę w technikę, to najczęściej byliśmy zmuszani wyciągać wszystkie w domu „kable”, które mógł maluch łączyć i podłączać. Oczywiście strześliśmy go, aby broń Boże nie włożył wtyczki do gniazdka. Na szczęście wystarczyło usiąść na wtyczce, co dla malucha znaczyło, że przewód był podłączony. Wtedy zabawa mogła trwać godzinami, bo wszystkie zabawki były uruchomiane przy mocy tego samego (w peletonie) kabla. A kiedy miał już kilka lat i przychodził z rodzicami na działkę dziadków, koniecznie chciał wbijać gwoździe w deskę. Oczywiście do rączki dostawał młotek z twardej gumy, deskę w miarę szeroką i grubą, a gwoździe zawsze były kilkucalowe. A przy tym za bardzo nie hałasował i miał doskonałe zajęcie na kilkanaście minut, aż się zmęczył. Pochwałę od dziadka otrzymywał za proste i całkowicie white gwoździe w deskę, aż po łebek.

### ***„Marcin Walków***

*Urodziłem się i wychowałem w Szczecinie.*

*Na Świerczewie mieszkalem do 12-go roku życia i uczęszczałem do szkoły podstawowej nr 51. Moimi przewodnikami po*

*Pogodnie byli Dziadkowie ze strony mamy, natomiast Ci od*

*strony Taty w centrum miasta pokazywali mi najciekawsze miejsca.*

*Zainteresowania zaszczepił we mnie tata Jarosław, a w nim jego tata Mieczysław.*

*Dziadek zawsze wspomina wbijanie gwoździ w deskę przy pomocy gumowego młotka. Ja pamiętam szczególnie ten ogromnie długi i gruby gwóźdź, o długości „kolejowej” (około 8 cali- przyp. MW). Kiedy go wbilem na całej długości dziadek mnie chwalił. Teraz przyznaję, że to cenna umiejętność w życiu, bo” nigdy nic na siłę”*

*Gimnazjum i liceum „spędziłem” w klasach z dużym naciskiem na matematykę, ale nie myślałem o studiach technicznych.*

*Pierwotnie miała to być ekonomia – Mama łapała się za głowę, tata chyba się nie dziwił.*

*Nie przykładałem się wtedy do przedmiotów ścisłych, z informatyki miałem zaledwie trójkę (jednocześnie nie można było oderwać Marcina od komputera i mieliśmy często poważne scysje – przypomina przy każdej okazji dziadek Mietek).*

*Pierwszy rok studiów zacząłem jednak na Elektronice i Telekomunikacji, żeby „pójść w ślady ojca”.*

*Mama wtedy była spokojna, a tata łapał się za głowę. Jednak coś się zmieniło, zainteresowałem się żywo informatyką i programowaniem (dodam, że na początku grafiką komputerową, a później bardziej technikaliaami` i programowaniem.*

*I tak codziennie dłuubałem przy „kompie”, więc czemu nie poświęcić trochę czasu na język ”C” – pomyślałem.*

*Na drugim roku poszedłem za ciosem i zgłosiłem się na warsztaty „Akademia Programowania C/C++ Embedded”.*

*Po trzecim roku dostałem się na praktyki do TIETO, gdzie spędziłem dwa miesiące, w pracy jednak tam nie zostałem, chociaż nawet kusili pół etatem.*

*Po obronie pracy inżynierskiej okazało się, że Pan Dziekan miał inną wizję rozwoju wydziału, zamknął rekrutację na Elektronikę i Telekomunikację, a mi pozostawił jedyny wybór – Automatyka i Robotyka na drugim stopniu nauczania.*

*Niespecjalnie odpowiadało mi wyliczanie skomplikowanych, niepraktycznych równań w Matlabie, więc pomyślałem o Erasmusie.*

*Wyjechałem do Pavii pod Mediolanem (18 tysięcy studentów w 80 tysięcznym mieście). Przynajmniej nie musiałem już określać położenia statku nad punktem wiercenia (prowadzący zrobił sobie z tego 3 stopnie naukowej kariery, a ja dziękuję za coś takiego).*

*Włochy nauczyły mnie bardzo dużo: organizacji, dogadywania się z ludźmi i ciekawych zagadnień związanych z przetwarzaniem informacji. Zaawansowana architektura komputerów, robotyka, zabezpieczanie informacji, inżynieria oprogramowania – masa praktycznych projektów, przystępnej teorii i inspirujących wykładowców.*

*Zabawny kontrast, bo spodziewałbym się po rodakach właśnie tego samego*

*Żywo myślałem o zrobieniu doktoratu, bo chciałem powiązać inżynierkę z medycyną. Robiłem pracę inżynierską z zakresu badania nowotworów przy użyciu bioimpedancji.*

*Chciałem kontynuować współpracę (po udanej pracy inżynierskiej) z profesorem Janem Lubińskim (patomorfolog-genetyk) z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. (Dziękuję jeszcze raz, Profesorze!).*

*Niestety rzeczywistość na magisterce okazała się zupełnie inna – betonowa struktura – słaba współpraca z innymi uczelniami, przemysłem, brakowało elastyczności i, wtedy, sensownej wizji.*

*Z perspektywy roku 2020 „wygląda” jakby coś przez 5 ostatnich lat się zmieniło, na lepsze.*

*Później wyjechałem na dwa miesiące do Kataru. Świetne jedzenie, bardzo dobry „karak’ (szczerze polecam) inna kultura, inni ludzie, dużo biedniejszych wśród bogatych, bezkresna, sucha i surowa w kolorze beżu pustynia, rajdy.*

*Zakres stażu obejmował PoC (ang. Proof of Concept) w języku C++ z wykorzystaniem Bloom filter, czyli jak przeszukać zaszyfrowane dane w chmurze bez konieczności dekrypcji.*

*Po powrocie do kraju najpierw próbowałem rozwijać rodzinną firmę, ale to mi nie odpowiadało, musiałem być bliżej IT, a branża morska na „full – time”, to nie to.*

*Znalazłem pracę w Nordic Consulting and Development Company, w której zajmowaliśmy się wdrożeniami dla branży ubezpieczeń. Poznałem tam wiele wspaniałych osób, które pomogły mi rozwinąć skrzydła i poznać tajniki przemysłu IT.*

*Uznałem, że będę tam pracował maksymalnie 12 miesięcy i uderzę do Warszawy lub innego większego miasta.*

*Obecnie pracuję w LINGARO, gdzie nauczyłem się prawdziwej pracy z ludźmi, najnowszych technologii oraz łączenia biznesu IT – mój pełny profil zawodowy można sprawdzić tutaj <https://www.linkedin.com/in/azureandbigdataleader/>.*

*Dodatkowo pracuję nad własnym projektem, z kolegą – jego wiedza nieraz pomogła mi w Unixie i szeroko pojętej wirtualizacji albo po prostu w „chmurze”. Poza pracą sporty rakietowe, spontaniczne wyjazdy*

*samochodowe, bo przygoda zwana życiem, nie tylko na „kompie,, się zasadza i kończy.*

*Jeżeli chcesz się ze mną się skontaktować – napisz na [LinkedIn](#)*

*Marcin”*



Otrzymałem również list od wnuka Bożenki i Eugeniusza Zdunów Patryka. Bardzo się ucieszyłem, bo napisany jest z wielkim uwielbieniem dziadków naszych akademickich przyjaciół. Ten list świadczy, że MY (z „A to My” daliśmy naszym wnukom ( prócz rodziców) nasze serca i naszą miłość, a także zaszczepiliśmy w nich dążenia do wiedzy. Jesteśmy z Was dumni!

**Patryk Zdun** ur. 21.05.1990 roku w Szczecinie, IV LO im. Bolesława Prusa w Szczecinie, jest absolwentem ZUT (Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego) Wydział Techniki Morskiej o specjalności: oceanotechnika – projektowanie i budowa okrętów; transport – logistyczne zarządzanie transportem zintegrowanym; budowa jachtów – projektowanie jachtów i pływających jednostek sportowych.

Oto, co sam napisał o sobie:



*„Przyszedłem na świat w maju 1990 roku. Dla rodziców i dziadków moja edukacja zawsze była najważniejsza. Żadne z nich nie miało wielkiej firmy, którą mogliby mi po sobie zostawić, więc wiedzieli, że najlepszym, co mogą mi zaoferować jest swoja miłość, dobra edukacja i zaszczepienie pasji. Rodzice posłali mnie do prywatnej szkoły podstawowej, której wybór był obarczony wymogiem wysokiego poziomu nauczania i indywidualnego podejścia do każdego z uczniów. Zarówno Dziadek Gienek jak i Babcia Bożenka byli już na emeryturze, gdy rozpoczynałem swoją edukację. Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy lat, to widzę ile wysiłku i czasu poświęcili mojej nauce. Pomoc przy zadaniach domowych, wspólna nauka, wożenie na dodatkowe zajęcia pozalekcyjne poskutkowało kończeniem kolejnych klas z coraz lepszymi wynikami.*

*O ile dobrze pamiętam po szkole podstawowej średnia ocen sięgnęła 5,7 a po gimnazjum 5,9. Otrzymałem możliwość dostania się do każdego liceum, które bym sobie wymarzył. Wybrałem 4 Liceum Ogólnokształcące imienia Bolesława Prusa w Szczecinie. Raczej mniejszej wielkości szkoła, która dzięki wspaniałej Pani Dyrektor Danucie Rodziewicz –zasłynęła z tego, że kierowała „miejscem”, w którym spotykają się najlepsi nauczyciele w Szczecinie. Nauczyciele, którzy mają dość wysiłku szczurów w szkołach olimpijskich, gdzie wystarczy by uczeń był dobry z jednego przedmiotu, wtedy można z innych go przepchnąć dalej.*

*Mogę powiedzieć śmiało, że uczyła mnie sama śmietanka kadry nauczycielskiej naszego miasta. Wybrałem oczywiście klasę matematyczno-fizyczno-informatyczną, którą również ukończyłem na pierwszym miejscu, a nawet, jako najlepszy uczeń płci męskiej, w całej szkole. I tym razem wszystkie uczelnie stały przede mną otworem, ale ja nie chciałem wszystkich... Chciałem tą jedną! Szkoda tylko, że dziadek nie*

mógł tego zobaczyć – jego wnuk, jako pierwszy na liście studentów, otrzymał indeks z rąk samego Rektora Politechniki Szczecińskiej, która właśnie tego samego dnia, podczas tej samej uroczystości, przerodziła się w Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie.

Już, jako małe dziecko przejawiałem zainteresowanie techniką, budownictwem, projektowaniem. Moją ulubioną zabawką były zawsze klocki lego, z których konstruowałem statki, samoloty, mechanizmy. I tak szczerze mówiąc chyba nigdy z nich nie wyrosłem. Już w tamtym momencie widać było, że jestem raczej umysłem ścisłym i pójdę w śladami dziadków.

Dziadek najpierw mojemu tacie, a później obaj, ze zdwojoną siłą zaszczepili mi miłość do wody. Więc jak miałem się im oprzeć? No i przepadłem. Dziś, tak jak oni nie wyobrażam sobie spędzania wolnego czasu gdzie indziej niż nad jeziorem, rzeką czy morzem. Dziadek był zapalonym wędkarzem. Od wiosny do jesieni każdy weekend spędzaliśmy na wędkowaniu nad rozlewiskami Odry, czy pobliskimi jeziorami. Chłoniłem nie tylko styl bycia i hobby, ale również pasję do otaczającego nas świata, z dala od zgiełku miasta i doczesnych problemów. Tylko my, woda, ryby, zwierzęta, roślinność. Tak jak Dziadek, mimo umysłu stricte technicznego, pokochałem przyrodę i wszystko, co z nią związane. Pomogło mi to w późniejszych latach podczas nauki biologii, geografii czy chemii. Babcia z kolei zaszczepiła mi miłość do liczb i techniki, przez co już od przedszkola wyprzedzałem swoich rówieśników zdolnościami matematycznymi. Zawsze wspierała mnie we wszystkich zadaniach domowych z matematyki, geografii, dziadek zaś z przyrody i angielskiego. Babcia знаła każdą miejscowość w każdym zakątku świata i zawsze potrafiła coś ciekawego o niej opowiedzieć. Dziadek zaś znał każde drzewo w naszym parku i pomagał mi w tworzeniu przepastnych zielników. Pasja do matematyki znajdowała ujście w licznych kolach naukowych i konkursach. Trygonometria, równania kwadratowe, rachunek

prawdopodobieństwa, w podstawówce niewiele dzieci mogło się poszczycić taką wiedzą. Sam nie wiem, kiedy znajdowałem na to wszystko czas. Czas w szkole plus koła matematyczne, przyrodnicze, teatralne, dwa razy w tygodniu dodatkowy angielski i dwa razy niemiecki, dwa razy basen i dwa zajęcia aikido. Tak i to tylko w podstawówce! W gimnazjum doszły jeszcze do tego dodatkowe zajęcia z Chemii w II Liceum Ogólnokształcącym. Było tego naprawdę dużo. Wraz gimnazjum doszły kolejne przedmioty, które stały się moim konikiem – fizyka i chemia.

Więź z dziadkami mogę porównać do takiej samej, jaką mam z rodzicami. Kiedy byłem mały to zawsze chętnie spędzałem dużo czasu w domu dziadków. Jako typowy wodniak nie mogłem spać w normalnym łóżku. Dziadek musiał dmuchać mi ponton i dopiero to uważałem za najlepsze łóżko na świecie. Wakacje spędzałem po połowie z rodzicami i w połowie z dziadkami. Rodzice zabierali mnie na wycieczki zagraniczne lub nad jezioro – początkowo z przyczepą kempingową, potem do domków, aż w końcu na jachcie. Drugą część wakacji spędzałem z dziadkami również albo nad jeziorem albo nad morzem. Przed końcem roku szkolnego, gdy oceny były już wystawione zawsze na paręnaście dni wyjeżdżałem z Babcią do Dziwnówka. A w środku lata z obojgiem na tydzień lub dwa do Krynicy Morskiej. Od 1998 roku przeprowadziliśmy się do domu dziadków gdzie mieszkamy do dnia dzisiejszego. Więc już nie musiałem wybierać czy spędzam czas z rodzicami czy dziadkami, miałem wszystkich na miejscu. Dziadkowie to również miłość do zwierząt. W domu zawsze były minimum 2 psy i 2 albo 3 koty. Wraz z Dziadkiem założyliśmy oczko wodne w ogrodzie z rybami, które sami złowiliśmy. Były tam zarówno pospolite płotki, okonie czy wzdregi, ale również węgorze czy basy słoneczne. Dziadek to również była złota rączka. Potrafił wszystko naprawić, zrobić sam. Tą umiejętność również od niego nabyłem. Zawsze uwielbiałem spędzać z nim czas w

*garażu tworząc modele jachtów, samolotów, razem nawet robiliśmy drewniane meble do ogrodu i na działkę. Teraz dla mnie garaż jest drugim domem, dzięki dziadkowi posiadam tam mnóstwo narzędzi, przez co mogę naprawić wszystko od miksera po samochód.*

*W 2000 roku rodzice pokazali mi uroki żeglarstwa. Kolejna pasja zakorzeniła się głęboko w moim sercu. Połączenie żeglarstwa wraz ze ścisłym umysłem wpłynęło na całą resztę mojego życia. Tak w 5 klasie szkoły podstawowej stwierdziłem, że chcę budować jachty! Wybór uczelni był prosty, Politechnika Szczecińska tak jak dziadkowie, lecz po drodze solidne przygotowanie. Liceum z najlepszymi nauczycielami przedmiotów technicznych - matematyką i fizyką.*

*Liceum było ciężkim momentem w moim życiu. Z jednej strony klarowała się moja przyszłość, szedłem w kierunku, w którym dwa pokolenia wcześniej podążał Dziadek. Z drugiej od samego początku nagła choroba Dziadka i bardzo bolesne odejście w 2007r. Minęło już prawie 11 lat, a dalej bardzo ciężko mi o tym mówić.*

*Po liceum kierunek: studia. ZUT w Szczecinie i Wydział Techniki Morskiej. Kierunek Oceanotechnika – Projektowanie i Budowa Okrętów. Tu nieco zboczyłem ze ścieżki Dziadka. Gdyż on poszedł w stronę bardziej mechaniczną, silownie okrętowe. Ja zaś w projektowanie kadłubów. Dzięki solidnemu przygotowaniu poprzez ciężką pracę dziadków, a potem solidnej nauce w liceum, matematyka, fizyka, mechanika nie stanowiły dla mnie problemu.*

*Od zdania prawa jazdy zacząłem się interesować motoryzacją i mechaniką samochodową, czyli tym razem pasją odziedziczoną po Babci. Nie obyło się to bez echa podczas studiów. Tym razem wszystkie przedmioty związane z silnikami szły mi jak z płatka. Studia rozpoczynało nas trochę mniej niż za czasów dziadków, bo chyba 36 osób. Ale ukończyli również najwytrwalsi, bo tylko 4 osoby z początkowej puli. Studia drugiego stopnia*

*rozpocząłem na tym samym wydziale tylko, że na kierunku transportu i logistyki. Uznałem, że to będzie dobre uzupełnienie wiadomości, aby w przyszłości pracować w stoczni jachtowej. W tym samym czasie rozpocząłem studia podyplomowe budowy i projektowania jachtów, by doprecyzować swoją specjalność. Projekty jachtów, jako praca dyplomowa inżynierska i ze studiów podyplomowych, zaś pracą dyplomową magisterską był projekt stoczni jachtowej. Utrzymując poziom najlepszego studenta na początku, również finiszowałem, jako, najlepszy student na wszystkich ukończonych kierunkach. Wysoki start i koniec pozwolił mi na szukaniu wymarzonej pracy. Takiej pracy, którą ja wybiorę, a nie, która mnie wybierze. Takiej, w której będę spełniał swoje pasje i będę mógł poświęcić serce.*

*W 2012 roku poznałem swoją obecną małżonkę. Oczywiście łatwo się domyślać gdzie się mogliśmy poznać – na wodzie. Oboje widzimy taką samą pasję w żeglarstwie i wspólnie dążymy do realizacji marzeń. Pobraliśmy się w 2014 roku. Julia obecnie jest Panią Weterynarz, czyli również robi to, co zajmuje sporą część i mojego serca – opieka i pomoc zwierzętom. Pochodzi z miejscowości Mogilno między Gnieznem, a Inowrocławiem. Łączy nas nie tylko miłość, ale uzupełniają ją również wspólne pasje. Nawet, kiedy siedzę w garażu naprawiając coś przy samochodzie, czy jadę na zlot motoryzacyjny, żona zawsze dzieli ze mną ten czas. Ma również bardzo dobry kontakt z moją Babcią, co szalenie mnie cieszy. Dogadują się bardzo dobrze. Aż za dobrze!?*

*Tak samo pamiętam właśnie swoich dziadków. Urlop i czas wolny, jak tylko mogli to zawsze spędzali razem, czy to nad jeziorem, morzem, czy uprawiając działkę lub ogródek. Oboje to ludzie z wielkim sercem dla siebie i otaczającego świata. Dziadek kochał przyrodę i zwierzęta. Babcia nie wyobraża sobie życia bez ogrodu i setek gatunków kwiatów w każdym wolnym*

*miejscu. Kiedy posiadali działkę na Mierzynie opiekowali się grupą kotów bezdomnych. Bez względu na porę roku, czy pogodę, niemal, co drugi dzień jeździli, aby zawieść im ciepłe jedzenie.*

*W poszukiwaniu pracy wspierała mnie cała moja rodzina. Otrzymałem oferty z Warszawy, Słupska, Gdyni, Świnoujścia, ale ostatecznie podjęliśmy z Julią decyzję, że chcemy zostać w Szczecinie. Wybrałem fabrykę w Goleniowie, do której obecnie dojeżdżam codziennie. Teoretycznie praca jak każda inna, szary budynek fabryki, 3 zmiany na produkcji z prawie 700 pracownikami. Mało, kto wie, że w tym szarym, z zewnątrz niczym niewyróżniającym się budynku mieści się stocznia wchodząca w skład Hanse Group – drugiej największej stoczni jachtowej na świecie. Hanse Yachts była małą firmą założoną przez Michaela Schmidta w 1990 roku w Niemczech w Greifswaldzie, 150km od granicy z Polską. Zaczynając od jednego modelu, a właściwie od odkupienia praw wykonywania szwedzkiego jachtu Aphrodite 291, w ciągu niespełna 30 lat rozrosła się do producenta czterech (4) marek jachtów żaglowych: komfortowej Hanse, sportowego Dehlera, luksusowego Moody i przystępnej cenowo Varianty; dwóch (2) marek jachtów motorowych: Sealine i Fjord; i od 2017 roku marki katamaranów Privilege. Obecnie ponad 30 różnorodnych modeli, w przedziale od 70 000 euro do ponad 2 000 000 euro w wersji podstawowej.*

*W oddziale w Goleniowie produkowane są kadłuby, pokłady, elementy laminatowe i od 2016 roku również w całości mniejsze jednostki firmy. Ja zostałem zatrudniony początkowo na stanowisko inżyniera produkcji mając na celu uruchomienie linii kompletnej zabudowy jachtów Hanse 315 i 385. Z czasem zacząłem przejmować kompletną opiekę nad wszystkimi modelami - od momentu, gdy jeszcze były matą i żywicą w magazynie po gotowy produkt dla klienta. Zacząłem od Hanse 315, 345, 385 i 415. Powoli jednak dochodziły kolejne modele:*

*H455 i H505, następnie wszystkie modele Dehler 29,32,34,38,42,46. Kolejnym krokiem było uruchamianie produkcji zupełnie nowych modeli jak Hanse 548, 348, 388 i 418. Zawsze pod moją opieką mam również nowych członków zespołu inżynierów, czy stażystów.*

*Moja praca polega głównie na tworzeniu i dostarczaniu dokumentacji produkcyjnej, tworzeniu list materiałowych, weryfikacji projektów, wdrażaniu nowych produktów, kontroli procesu, akceptacji, bądź odrzucaniu zmian, usprawnianiu procesu i podnoszeniu, jakości produktu. W obecnej chwili w firmie pracuje 5 inżynierów produktu. Na około 30 modeli, mnie przypada opieka nad 13-toma modelami, które stanowią ponad 50% produkcji firmy, która sięga ponad 600 jachtów rocznie.*

*Nie wiem, co przyniosą najbliższe lata. Czy będą to lata kolejnych zmian i nowych wyzwań, czy tym razem czas na odrobinę spokoju i stagnacji? Na pewno szykujemy się z żoną do budowy własnego domu na obrzeżach Szczecina. Gdzieś z tyłu głowy ciągle jest marzenie własnej stoczni jachtowej albo utrzymania żeglarstwa, jako pasji, a zwiążanie się z przemysłem motoryzacyjnym. Jakakolwiek mnie przyszłość czeka, to na pewno będzie to któraś ze ścieżek, którą przede mną przecierali: Babcia albo Dziadek.”*



Kolejny list otrzymałem od **Ewy Ingeborgi**, córki mojej najlepszej koleżanki Krystyny Soleckiej, z którą się znamy z ławy szkolnej, szkoły średniej tzw. „Szkoły na Racibora” w Szczecinie, która najpierw była dla nas Szkołą Techniczną lub Państwową Szkołą Techniczną, później Państwowym Liceum Mechanicznym, a dyplom technika otrzymaliśmy z Technikum Budowy Okrętów i Energetyki.

Z Krystyną będziemy później siedzieli w jednej ławie na uczelni i słuchać będziemy wykładów Profesora Kamila Wendekera, człowieka, którego wysoko ceniliśmy i o którym z przyjemnością wspominamy (nawet w niniejszym opracowaniu).

*„Ewa Ingeborga Kotwica, córka Krysi Soleckiej i Alka Skowronka – pary mało typowej, jak na swoje czasy, bo przekładającej miłość i wzajemną wierność nad papierki i oficjalne związki.*

*Inżynier budownictwa ogólnego, specjalizacja – konstrukcje drewniane. Autorka jedynej, jak na razie w Polsce podręcznika, dotyczącego projektowania konstrukcji drewnianych według najnowszych norm (Eurokodów) oraz paru mniej lub bardziej nudnych polsko – angielskojęzycznych publikacji o drewnie konstrukcyjnym i przepisach z nim związanych.*

*Oficjalnie Ewa, prywatnie Inga, żona jednego męża Krzysztofa (też inżyniera, tyle, że elektryka automatyka) i mama dwójki dzieci:*

*– dorosłej już Uli, będącej również inżynierem budownictwa ogólnego i pracującej z konstrukcjami drewnianymi (tak, zboczenie zawodowe matki i ciągnięcie dziecka po budowach miało tu pewien wpływ), studiującej równolegle drugi fakultet – anglistykę. Niezależnie od podstawowego wykształcenia technicznego Ula jest autorką fanficków (ang. fanfic) oraz często korektorką moich lżejszych i cięższych tekstów*



*technicznych.*

*Pasją do Tolkiena i corocznych wyjazdów na spotkania fanów Tolkiena w postaci obozu przetrwania (namiot, brak wody i prądu, czasami fajne burze) zaraziła prawie całą rodzinę (no, Krzysiek się na razie opiera).*

*– 10,5 letniego Marcina, obecnie piątoklasisty, który jest dowodem na to, że dziecko zaczynające edukację w pierwszej klasie, jako sześciolatek, świetnie sobie radzi w szkole i zdobywa całkiem niezłe lokaty w międzyszkolnych konkursach w wielu dziedzinach (od matematyki i przyrody do języka polskiego i języków obcych), – mimo, że jest najmłodszym w klasie. Marcin gra na gitarze i czasem na nerwach, ale to w tym wieku normalne. Jego hobby to gra w tenisa i czytanie książek. Wszyscy kochamy góry, zwłaszcza Alpy.*

*Mama Krysia Solecka, jedna z niezniszczalnego grona najlepszego rocznika szczecińskich inżynierów mechaników zaszczepiła mi (stety, lub niestety) potrzebę postępowania zgodnie z zasadami i ostrego reagowania na zauważone nieprawidłowości. To nie jest dobrze widziane (rzez otoczenie w Polsce... a, że do tego dyplomata ze mnie kiepski – często dość hmm, gwałtownie potrafię reagować, gdy ktoś w moim otoczeniu zawodowym czy prywatnym nagina przepisy, czy je wręcz łamie. Nie akceptuję powszechnego w Polsce podejścia, że szacunkiem otacza się kombinatora, który potrafi się „ustawić” i odpowiednio nagiąć przepisy, lub wszystko sobie „załatwić”, a deprecjonuje się ludzi przestrzegających zasad i zgłaszających przypadki naruszenia przepisów, do właściwych organów. Dlatego też często słyszę, – o co pani chodzi?? Wszyscy akceptują ten czy inny stan rzeczy, papierki są załatwione (cóż z tego, że załatwianie nie ma wiele wspólnego z dochowaniem procedur) – a pani się czepia i mówi, że coś jest nie tak. Cóż – z reguły mam to „gdzieś” i robię swoje zwłaszcza, gdy zauważone*

*naginanie zasad może dla kogoś być mało bezpieczne.*

*Mama Krysia zwana przez wnuki (a teraz już i przez nas) Kiką, pokazała mi też, że obok człowieka i jego problemów nie można przechodzić obojętnie, że nawet, gdy swoich spraw jest na głowie dużo, należy pochylić się nad każdym, kto potrzebuje pomocy. To też nie ułatwiało dzieciństwa... człowiek chciałby tu coś z własną matką obgadać, a ona wychodzi, bo np. natknęła się na jakąś patologiczną rodzinę z zaniedbanymi dziećmi i musi sprawdzić, czy mają co jeść. Ale to jest pewnego rodzaju znamię, bo człowiek po takich przeżyciach z dzieciństwa, sam nie potrafi się później inaczej zachować.”*

**Serdecznie dziękuję pierwszym osobom, które chciały podzielić się swoimi osiągnięciami. Oczekuję na następnych. Proszę, przysyłajcie na mój adres, który znajdziecie na stronie – [www.absolwenci56.pl](http://www.absolwenci56.pl) – autor.**

**C D N (?)... Myślę, że NASTĄPI!**